

KAROLINA GŁOGOWSKA

# OSTATNI



# DIAMENT



KAROLINA GŁOGOWSKA

**OSTATNI  
DIAMENT**





Copyright © Karolina Głogowska, 2023

Wydanie I

Warszawa MMXXIII

Redakcja: Gabriela Niemiec

Korekta: Krystian Gaik, Beata Wójcik

Projekt okładki i stron tytułowych, ilustracje na I stronie okładki: Tomasz Majewski

Skład i łamanie: Cyprian Zadrożny

Konwersja do EPUB/MOBI: [InkPad.pl](http://InkPad.pl)

Wydawnictwo Mięta Sp. z o.o.

03-707 Warszawa, ul. Floriańska 14 m 3

[biuro@wydawnictwomieta.pl](mailto:biuro@wydawnictwomieta.pl)

[www.wydawnictwomieta.pl](http://www.wydawnictwomieta.pl)

ISBN 978-83-67690-12-6

# Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog

I Jungle, baby!

II Nieoszlifowany diament

III Zaginiecie

IV Małżeństwo

V Szantaż

VI Apartament na pięttrze

VII Ciao, amore

VIII Rubin

IX Zabójstwo

X Dreamtime

XI Zemsta

Epilog

Podziękowania



## PROLOG

Gdyby nad ranem nie zerwał się silny północny wiatr, pewnie tak szybko nie znaleziono by ciała. Minęło zaledwie kilka godzin, więc tak naprawdę nikt nie wiedział, że w ogóle należy rozpocząć poszukiwania.

Duże, ciężkie krople deszczu spadały coraz gęściej. Dorota położyła wiosło w poprzek kajaka i zacisnęła mocniej sznurek w kołnierzu kurtki. Odwróciła się w kierunku mostu Toruńskiego, który był już za nimi.

– Może się cofniemy i przeczekamy?

– Tę mżawkę? Zaraz przejdzie – stwierdził Tomasz i zaczął wiosłować jeszcze szybciej.

Dorota w końcu też chwyciła za wiosło. Nie chciała wyjść na marudę czy słabeusza. To był ich pierwszy wspólny wyjazd, a Tomek bardzo jej się podobał. Miał hopla na punkcie starych fortyfikacji, murów obronnych, twierdz i tym podobnych. Koniecznie chciał zobaczyć gdańskie bastiony. Ona wolałaby wygrzewać się teraz w jacuzzi, ale widząc, jak chłopak nakręcił się na ten weekend, postanowiła ustąpić. Pomyślała, że następnym razem pojedą do jakiegoś wypasionego hotelu ze spa. Żadnego łożenia, żadnej zbędnej rekreacji. A kiedy będą już na serio razem, wybije mu to dziwne hobby z głowy.

Z każdym kolejnym pokonanym metrem Dorota coraz bardziej przekonywała się, że nie cierpi tak zwanych wodnych atrakcji. Może rzeczywiście nie groziło im niebezpieczeństwo, ale jej było zimno, wiatr spychał ich na różne strony, czuła coraz większe parcie na pęcherz, a teraz dodatkowo miała mokro za kołnierzem. Nie znosiła tego uczucia.

– Ale czad! – Tomek był zachwycony. Dopłynęli do czegoś, co wyglądało jak brama, więc w Dorocie obudziła się nadzieja, że to oznacza koniec wycieczki. – Kamienna Śluza z siedemnastego wieku... Miała chronić Żuławy przed

zalaniem, w razie gdyby podniósł się poziom morza – wyjaśnił z entuzjazmem. – Kiedyś tu była fosa. Ekstra, co nie?

Dziewczyna wysiliła się na uśmiech.

– Jest tu gdzieś toaleta? Bo bardzo muszę... – Nie chciała wchodzić w fizjologiczne szczegóły.

Zaczęli się spotykać miesiąc temu i właściwie dopiero w ten weekend doszło między nimi do pierwszego intymnego zbliżenia. Zamiast się rozluźnić, Dorota wciąż była skrepowana tym faktem.

– Toaleta? Tu? No raczej nie... – zaśmiał się. – Najwyżej wysikasz się do wody.

Nie bawiło jej to. Zwłaszcza że Tomek znowu zabrał się do wiosłowania.

– Nie wracamy?

– Skoro już tu jesteśmy, to dopłyniemy chociaż do bastionu Żubr. To zaraz na lewo...

Dziewczyna miała niewyraźną minę. Zaczął żalować, że nie została w hotelu. Gdyby był sam, popłynąłby dalej, wzdłuż pozostałych bastionów, aż do Polskiego Haka, i dopiero tam zawrócił na Żabi Kruk. Mimo wszystko to była ich pierwsza wyjazdowa randka, a on nie chciał Doroty zbyt mocno męczyć. Nie od razu. Postanowił, że będzie przekonywał ją do swoich pasji stopniowo.

Kiedy zbliżali się do celu, dziewczyna dygotała z zimna.

– Dobra, wracamy! – zdecydował Tomek, a ona wyraźnie odetchnęła.

Zatrzymał się jeszcze tylko, żeby obfotografować kamienne wieżyczki nazywane Czterema Dziewicami, a potem ruszyli z powrotem w kierunku śluzy.

– Ale jazda! – zawołał.

– Co jest? – Dorota utkwiała wzrok we wrotach śluzy. Były zamknięte. – Co to znaczy? Zaraz się otworzą, tak? – dopytywała.

Podpłynęli bliżej, gdzie ustawiły się już dwa inne kajaki z ludźmi, którzy podobnie jak oni zostali uwięzieni w tej części Motławy.

– Dopiero co były otwarte... – Dorota wciąż nie dowierzała, że nie mają jak wrócić.

– Te wrota potrzebują około piętnastu sekund, żeby się zamknąć, jeśli na Motławie jest cofka. Czasem tak się dzieje, kiedy zaczyna wiać z północy – wyjaśnił chłopak z niebieskiego kajaka.

– Trzeba zadzwonić do ludzi, którzy to obsługują – stwierdziła rzeczowo Dorota, ale chłopak tylko się zaśmiał.

- To jest samoczynne i bezobsługowe urządzenie... perelka hydrotechnicznej myśli - perorował.

- Zajebicie... - Dorocie w jednej chwili przestało zależeć na robieniu dobrego wrażenia. - To co teraz?

- Możemy zrobić przenoskę górą... - stwierdził Tomasz. - Jest jakieś zejście po drugiej stronie?

- Betonowe schody - odparł chłopak, który najwyraźniej znał te okolice. - Albo zjazd w kajaku po skarpie.

- Żadnych zjazdów! - zdecydowała Dorota podniesionym tonem, którego Tomek jeszcze u niej nie słyszał.

Tak naprawdę był podekscytowany tą sytuacją. Nawet nie liczył na taką atrakcję jak widok zamykającej się śluzy. Wynagrodziło mu to nawet fakt, że ostatecznie z powodu dziewczyny musiał skrócić spływ. Dorota niepotrzebnie robiła aferę. Tylko ona była zdenerwowana.

- Mój ojciec jest z Biskupiej Górki - stwierdził nagle chłopak. - To niedaleko. Opowiadał, że w latach osiemdziesiątych urządzali tu sobie z kolegami kąpielisko. Skakali z mostu albo z szyny...

- Muszę siku. Czy gdzieś tu można się wysikać? - Rzewne wspominki nie zrobiły na Dorocie wrażenia, bo przerwała je w niezbyt uprzejmy sposób. Ewidentnie puściły jej nerwy. Tomkowi było za nią wstyd.

- Jeśli już, to w krzakach - poradził chłopak, niezrażony jej zachowaniem. - Możecie odpłynąć kawałek za wieżę i tam jest taka wysepka. Tylko uważajcie, bo oprócz meneli nikt tam nie zagląda. Można się natknąć na szkło i inny syf.

Wiosłowali w milczeniu. Ona nawet z większym zaangażowaniem, bo parcie na pęcherz było już bardzo bolesne. Dobili do brzegu i Tomek przytrzymał się gałęzi, żeby dziewczyna mogła wyjść na brzeg. Kiedy zniknęła w krzakach, znowu pomyślał o tym, że gdyby był sam, bawiłby się zdecydowanie lepiej. Po chwili usłyszał przesywający krzyk.

- Kurwa, co znowu? - powiedział do siebie. Może nadepnęła na szkło albo zobaczyła szczura.

Dorota zaczęła wołać go przerażonym głosem, więc wyskoczył z kajaka i pobiegł w jej kierunku. Kiedy do niej dotarł, stała nieruchomo i wpatrywała się w coś, co leżało na brzegu. Podeszedł bliżej i zobaczył unieruchomione w trzcinach, odwrócone do nich plecami ciało kobiety.





## I

# *Jungle, baby!*

O dziewiętnastej było już całkiem ciemno, ale temperatura nadal nie spadała poniżej trzydziestu trzech stopni. Brak słońca na niebie sprawiał natomiast, że opuszczenie klimatyzowanego pokoju w hostelu Happy Monkey w Kuala Lumpur wreszcie nie równało się zstąpieniu do piekła.

We wspólnej części wypoczynkowej, zaaranżowanej naprzeciwko recepcji i otwartej na ulicę, furkotały dwa wiatraki, przyjemnie wprawiając w ruch duszne powietrze. Luiza usadowiła się obok jednego z nich i czekała na przyjaciółkę, która dopiero obudziła się z drzemki. A właściwie z kilkugodzinnego snu, bo mimo że przyleciały do Kuala Lumpur trzy dni temu, nadal męczył je jet lag.

Młody mężczyzna, na którego Luiza zwróciła uwagę już przy śniadaniu, poprosił o klucz do swojego pokoju, zdjął przybrudzone japonki i przysunął je stopą do kupki innych klapków oraz sandałów pozostawionych przez gości.

– Najlepsza jest citronella – odezwał się po angielsku z twardym akcentem.

Luiza w pierwszej chwili nie zorientowała się, że mówi do niej.

– Olejek z trawy cytrynowej. Na komary – wyjaśnił. – Zawsze najlepiej używać tego samego co lokalsi.

Dopiero teraz przestała się drapać po łydce.

– A co lokalsi polecają na malarię? – zapytała z ironicznym uśmiechem.

– Spokojnie. W takich turystycznych miejscach raczej trudno o komara z malarią. Już prędzej gdzieś w tropikalnym lesie.

– Hm... na przykład takim jak Taman Negara?

- Ha, ha, też się tam wybierasz?

- Taki mamy plan. Autokarem do Jerantut, a potem mikrobusem do Kuala Tahan.

- Znam lepszy sposób. - Mężczyzna zdjął kapelusz i usiadł na sofie naprzeciwko Luizy. - A przynajmniej atrakcyjniejszy.

- Jaki?

- Łódź.

- Hm... no nie wiem. Czy to bezpieczne?

- Żartujesz? Przyleciałaś na wakacje do Malezji i pytasz, czy poruszanie się łodziami jest bezpieczne? - Włożył rękę głęboko do wypchanego plecaka, pogrzebał w nim i wyjął niewielkie pudełeczko. - To na bąble. Poza tym mam na imię Sasza. - Wyciągnął do niej dłoń.

- Luiza - odpowiedziała.

- Weź, przyda ci się. - Powstrzymał ją, gdy chciała oddać mu maść. - Lecę. Miło było cię poznać. Pewnie do zobaczenia w okolicy.

Hanka wzięła ze sterty plastikowy talerz i nałożyła sobie trzy roti z kawałkami bananów. Polala całość miodem i wróciła do stolika.

- Chcę to jeść codziennie rano do końca świata.

- A ja chcę pić tylko sok z arbuza. Mogłabym się nim nacierać... - Luiza pociągnęła napój przez słomkę i zamruczała. - O, patrz - ściszyła głos - to ten facet.

- Ten z wczoraj? - Hanka obserwowała Saszę, który stał na chodniku przed hostelem i rozmawiał z tęgą Malajką w żółtym hidżabie. - Matko, jakie ciacho. Już go zaklepałaś?

- Weź... - Błada skóra Luizy, i tak w tym upale non stop zaczerwieniona, teraz jeszcze pociemniała.

Po śniadaniu pojechały zwiedzać jaskinie Batu, a kiedy wróciły, znowu padły na trzy godziny do łóżka.

- Wiesz, co jest najlepsze? - zapytała Luiza. Tym razem również wstała pierwsza. - Że za każdym razem budzę się potwornie głodna.

Ciężkie pomarańczowe słońce opadało powoli między drapaczami chmur, wypełniając ulice Bukit Bintang ciepłą poświatą. Kiedy zrobiło się ciemno, zawieszony nad straganami lampiony rozblęły na czerwono. Ciepłe powietrze

wydobywało z zaułków słodko-kwaśną woń odpadków i resztek owoców, ale był to przyjemny zapach. Luiza zatrzymała się na chwilę, bo tuż przed nią przebiegł szczur wielkości borsuka i schował się za śmietnikiem.

Jalan Alor tonęła w plastiku i wszystkich kolorach świata. Fasady niskich budynków były upačkane ęarówiastymi szyldami knajp, zdjęciami potraw i logotypami sklepów z tanią odzieęą. Stragany miały czerwone, niebieskie i ęółte zadaszenia. Pomiędzy nimi poustawiano rzędy stolików i krzesel – oczywiście również plastikowych. Trudno było znaleźć wolne miejsce.

Stary Małaj pomachał do nich, zachęcając do zakupu orzeszków ziemnych ze swojego przewoźnego sklepiku, czyli z kosza przymocowanego do skutera. Gdzieś dalej Luiza poczuła zapach smaęeniny i sosu ketjap manis, więc ssanie w ęoładku stało się jeszcze bardziej dokuczliwe.

– Muszę, po prostu muszę! – zawołała Hanka i zanurkowała w tłumie. Wyłoniła się przy stoisku z wyłożonymi na kruszonym lodzie granatami.

Luiza podeszła do niej i zahipnotyzowana patrzyła, jak młoda dziewczyna w hidżabie odkrawa końcówki owocu, wkłada granat do metalowej wyciskarki, a miażdęone kosteczki pękają i puszczają purpurowy sok.

– Chyba zjadłabym satay... – zastanawiała się Luiza.

– Znowu? Tu jest do wyboru jakieś pięć milionów innych dań.

– Jak chcecie, to pokaęę wam najlepsze ęarcie w okolicy. – Za Luizę zmaterializował się Sasza.

– Ej, no raczej! – Hance błysnęły oczy, może na myśl o jedzeniu, ale równie prawdopodobnie na widok atrakcyjnego mężczyzny.

Sasza złapał Luizę za rękę. Nie protestowała. Jego dłoń była sucha, ciepła i silna. Przepychał się wśród turystów, potem lawirował między samochodami i skuterami, osłaniając dziewczyny.

– Jakby co, to jestem chętna nawet na trójkąćik – szepnęła Hanka, chwytając za ramię Luizę, która zgromiła ją wzrokiem. Na szczęście na ulicy było potwornie głośno i Sasza nie usłyszał tego wyznania.

Skęcili w stronę parku oraz podświetlonej na niebiesko wieży telewizyjnej Menara i szli jeszcze kilkaset metrów. Tłum się przerzedził, zrobiło się ciszej, bardziej kameralnie. Na jednej ze ścian zobaczyli szyld z napisem „Warung B&R” i weszli w coś w rodzaju podwórka, na którym znajdował się taras niepozornego lokalu. Niemal wszystkie stoliki były zajęte przez lokalsów. Na

ekranach dwóch wielkich telewizorów leciał jakiś mecz. Sasza najwyraźniej znał właściciela i większość kelnerów, bo wszyscy się z nim witali.

– Jest menu? – zapytała Hanka, kiedy już usiedli. – Mój żołądek zaczął już trawić sam siebie.

– Po angielsku nie ma, ale i tak musicie zamówić nasi kandar.

– Co to jest? – zainteresowała się Luiza.

– Ryż na parze z różnymi dodatkami. Curry, owoce morza, warzywa. Albo mięso. Nie zawsze jest to samo.

– Chcę wszystko – zadeklarowała Hanka, rzuciwszy plastikowym menu.

Dziesięć minut później na stół wjechały talerze z ryżem, rybą w czerwonym curry, skrzydełkami kurczaka, skorupiakami, jajkiem, smażonymi warzywami i czymś, co Sasza nazwał gorzkim melonem, a co było zielone i bardziej przypominało ogórka. Na tym wszystkim ułożono jeszcze pulchne papadamy.

– Słodki Jezu... – westchnęła Hanka. – Dobrze, że wykupiłam droższe ubezpieczenie. Jeśli umrę z przejedzenia, to powiedz mojej mamie, że nie żałuję.

– Zaczekaj... – powstrzymał ją Sasza. – Żeby docenić nasi kandar, musisz najpierw spróbować każdej rzeczy z osobna, a potem wszystko wymieszać.

Jedli w milczeniu dobre pięć minut. Dziewczyny tylko co chwilę pojękiwały z zadowolenia.

– Jesteś Rosjaninem? – zagaiła Hanka, kiedy zaspokoila pierwszy głód.

– Mama Niemka, tata Rosjanin. Nie pytajcie, nie wiem, jak to wyszło... – Wszyscy troje zaczęli się śmiać. – Żartuję, wiem oczywiście. Ojciec jest synem dyplomaty, więc podróżowali po świecie. Poznał moją mamę na studiach w Berlinie. Ona jest znaną wiolonczelistką. – Sasza wyjął smartfon i pokazał nagranie w mediach społecznościowych. Piękna blondynka o figurze modelki grała solowy koncert w jakiejś starej operze.

– Wow... – skwitowała Luiza. – A ty na czymś grasz?

– Jak każdy szanujący się nastolatek przeszedłem etap fascynacji gitarą... – zaśmiał się Sasza. – Ale nie mam wielkiego talentu. W ogóle jestem raczej rozczarowaniem dla rodziców. Zamiast iść do poważnej pracy, podróżuję po świecie.

– Ale nie jesteś żadnym blogerem-influencerem czy coś? – zapytała Hanka.

– Broń Boże. Pracuję dla Reutersa.

- O wow - wyrwało się znowu Luizie i tym razem poczuła się bardzo mało elokwentna.

- Jak wasz posiłek? - zapytał Hindus, który podszedł do stolika i zaczął zbierać puste talerze.

- To było mistyczne doznanie - podsumowała Hanka. - Osiągnęłam nirwanę.

- Tak, pyszne - dodała Luiza. Nagle zapomniała wszystkich wyszukanych słów po angielsku i coraz bardziej się tego wstydziła, zwłaszcza przy przyjaciółce, która od dziecka uczyła się od prywatnych native speakerów.

- Przepraszam, że się odważę... - Hindus niespodziewanie zwrócił się do Luizy. - Ale ja ciebie już widziałem.

- Naprawdę? - zdziwiła się. - Tutaj? To znaczy na pewno nie w tej restauracji, jestem tu pierwszy raz.

- Może na Jalan Alor? - zasugerowała Hanka.

- Nieee. - Hindus się zamyślił. - Zaczekajcie. Wy dwie jesteście z Polski, tak? Dzień dobry. Dziękuję. Kurwa. Piwo - zaczął wymieniać pojedyncze słówka.

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

- Skąd wiedziałeś? - Hanka uśmiechała się i patrzyła porozumiewawczo na Saszę.

- Polki są piękne. Takie delikatne. Wiem! - zawołał Hindus. - Widziałem cię w Warszawie, na lotnisku.

- Ale numer. - Hanka trąciła Luizę łokciem. - Teraz? Przyleciałyśmy trzy dni temu. Byłeś w Polsce?

Hindus pokręcił głową.

- Teraz nie. Rok temu.

- Hm... - zdziwiła się Luiza. - Może w grudniu? Leciałam do Rzymu.

- Tak, to chyba było w grudniu. Jesteście z Warszawy?

- Z Gdańska.

- Niemożliwe! Moja dziewczyna mieszka w Gdańsku - oznajmił Hindus. Dziewczyny były zaskoczone nie tyle samym zbiegiem okoliczności, ile faktem, że mieszkaniec Kuala Lumpur zna nazwy polskich miast. - Bardzo chciałbym ją odwiedzić, ale nie mogę. - Skinął głową na człowieka za barem. - Rodzinny biznes. Brat miał przejąć, ale zmarł niedawno i zostałem tylko ja. Pomagam też wujkowi prowadzić sklep. Bardzo dużo pracy i problem z wyjazdem. Ale może ona przyleci znowu niedługo - powiedział, jakby pocieszał sam siebie.

- Gdzie się poznaliście? - Sasza, który wcześniej tylko przysłuchiwał się wymianie zdań, włączył się do rozmowy.

- Tutaj, mój przyjacielu. Ania projektuje biżuterię. Przyleciała rok temu na targi, a ja byłem jej przewodnikiem. Zakochaliśmy się w sobie...

- Pewnie z bursztynu - stwierdziła Hanka, ale chłopak nie rozumiał, o co jej chodzi. - Bursztyn. Takie brązowe albo żółte kamienie z żywicy. - Hanka starała się tłumaczyć prosto i obrazowo. - Wydobywa się je z morza. W Gdańsku jest tego sporo.

- Aaa, tak, właśnie tak. Bursztyn. To Ani kamienie. Ech... bardzo za nią tęsknię. - Młody Hindus westchnął tak głęboko, że Luiza przez chwilę miała ochotę go przytulić. Bała się jednak, że to będzie nie na miejscu.

- Przepraszam, zajmuję wam czas - stwierdził nagle chłopak. - I nie przedstawiłem się. Ravi. - Podał Luizie rękę.

Pozostali także dokonali prezentacji.

- Może usiądziesz z nami i napijesz się czegoś - zaproponował Sasza, którego również musiały poruszyć słowa Ravięgo.

- Nie, dziękuję bardzo, ale nie chcę przeszkadzać - zaproponował Ravi.

Sasza spojrział na dziewczyny pytającym wzrokiem.

- Nie przeszkadzasz, bardzo miło się rozmawia - odezwała się Hanka i odsunęła wolne krzesło. - Zapraszamy.

W całej postawie Ravięgo widać było wahanie.

- Wiecie co, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Ale to ja was zapraszam - powiedział.

Luiza i Hanka wymieniły spojrzenia, a Ravi kontynuował:

- Pomyślałem, że może pomożecie mi napisać list po polsku do mojej Ani? To zrobi na niej wrażenie.

- Jasne, nie ma problemu, tylko... - Hanka zaczęła szukać czegoś w skórzanej nerce, którą przez cały wyjazd nosiła na biodrach. - Masz jakąś kartkę i długopis?

Ravi zdecydowanie pokręcił głową.

- To musi być piękna papeteria. Mam taką w swoim sklepie. Dlatego właśnie was zapraszam. To pięć minut stąd. Zaraz kończę pracę, jeśli chwilkę poczekacie, to możemy od razu iść.

Tym razem obie utkwily wzrok w Saszy, szukając u niego potwierdzenia, że to dobry pomysł.

- Jeśli nie macie innych planów... - Mężczyzna wzruszył ramionami.

Zapłacili za kolację i chwilę później podążali za Ravim uliczkami Bukit Bintang. Niektóre były pełne sklepów i straganów, inne sprawiały wrażenie całkowicie zapomnianych przez człowieka. Ravi szedł nieco z przodu, skręcał w lewo, potem w prawo i znowu w prawo, więc wydawało się, jakby wracali do punktu wyjścia; mijali podobne bramy, sypiące się ściany, zasłonięte roletami okna, śmietniki, metalowe schody i brzęczące skrzynki klimatyzatorów. Tylko wyrastające wysoko w niebo rozświetlone wieżowce przypominały, że znajdują się w centrum pulsującego życia miasta. W końcu dotarli do ulicy z całkiem zadbanymi budynkami, przypominającymi magazyny lub składy. Ravi zatrzymał się i podniósł brązową roletę, która zasłaniała drzwi. Weszli do ciasnego pomieszczenia, zastawionego po sam sufit różnej wielkości kartonami. Ravi przesunął kilka z nich, żeby zrobić miejsce dla swoich gości. Na chwilę zniknął na zapleczu.

Luiza pomyślała, że miejsce, w którym się znaleźli, w ogóle nie przypomina sklepu, ostatecznie jednak niewiele wiedziała o tego typu lokalach, w dodatku hinduskich, w Malezji.

Ravi przyniósł dwa krzesła. Kiedy dziewczyny usiadły, wykonał telefon, po czym oznajmił:

- Zaraz dostaniecie najlepsze mango lassi, jakie piliście w życiu - powiedział uradowany. - A tu jest papier i długopis.

Luiza sięgnęła po nie i spojrzała wyczekująco na Ravięgo, który po chwili zaczął dyktować. List miłosny nie był specjalnie długi i w większości zawierał banały. Mówiąc szczerze, dziewczyna była trochę rozczarowana brakiem inwencji Hindusa.

- Teraz się podpisz. - Podsunęła mu kartkę.

- Dziękuję, to będzie piękna niespodzianka dla Ani.

Ktoś zapukał do drzwi i Ravi poszedł otworzyć. W progu stało dwóch chłopaków, jeden z nich podał Raviemu plastikowe kubki z mango lassi. Hindus przekazał napoje gościom, sam też zaczął pić.

- To jakiś obłęd... - zachwyciła się Hanka po spróbowaniu. - Faktycznie, lepszego nie piłam.

- Moja mama się ucieszy. Długo zostajecie w Kuala Lumpur?

- Jutro chcemy jechać do Taman Negara.

- Ooo... z Jerantut zamówcie taksówkę do Kuala Tahan. Jeśli zadzwonię do mojego dobrego przyjaciela, który tam mieszka, to weźmie od was nie więcej niż sto ringgitów.

- Byłoby wspaniale – stwierdziła Luiza.

- Namawiam dziewczyny, żeby raczej zabrały się ze mną łodzią z Kuala Tembeling – wtrącił się Sasza.

- To aż trzygodzinna podróż, mój przyjacielu. – Mina Ravięgo wskazywała, że uważa pomysł Saszy za dziwny. – Może padać, a taksówką będziecie w godzinę.

- Ale nie zobaczymy lasu deszczowego od strony rzeki, nie zmokniemy i nie przeżyjemy przygody – zaśmiał się Sasza.

- Ach, turyści są dziwni. – Ravi go podpuszczał. – I co dalej po Taman Negara?

- Indonezja. Bali. – Hanka przerwała siorbanie mango lassi przez słomkę.

Ravi przeniósł pytający wzrok na Saszę.

- Indie. Dżajpur, potem Nepal, może Sri Lanka.

- Dżajpur, Dżajpur! – ożywił się Ravi. – Mój Dżajpur!

- Pochodzisz stamtąd?

- Ech... urodziłem się w Dżajpurze i spędziłem tam dzieciństwo. Potem moja rodzina przyjechała za pracą tutaj. Wielu ludzi szuka w Kuala Lumpur swojego szczęścia. Ale ty, mój przyjacielu – Ravi zwrócił się do Saszy – nie dostaniesz tak łatwo wizy, jeśli będziesz chciał wyjechać z Indii do Nepalu i z powrotem.

- Ostatnio nie miałem z tym żadnego problemu.

- Naprawdę? To niemożliwe.

Ravi był na tyle pewny tego, co mówi, że Sasza sięgnął do kieszeni bojówek po paszport i zaczął szukać pieczętek świadczących o wjeździe do krajów, o których rozmawiali.

- Rzeczywiście... Mogę? – Hindus wziął dokument i zaczął go przeglądać. Zatrzymał się na stronie ze zdjęciem. – To naprawdę bardzo dziwne... – spojrział poważnie na Saszę – zwłaszcza że wyszedłeś na zdjęciu jak terrorysta.

Obaj głośno się roześmiali.

- Zaczekaj, pokażę ci swoje. – Ravi wyjął jakiś dokument i zademonstrował zdjęcie, na którym wyglądał jak dwunastoletni szcyl.



- Kiedy ja robiłam zdjęcie do paszportu – wtrąciła Hanka – to nawet kobieta w okienku odradzała mi fotografa, który był na miejscu. Nie uwierzyłam. A potem żałowałam.

- Teraz już musisz nam pokazać! – zaśmiał się Ravi.

Po chwili na stoliku leżały wszystkie trzy paszporty – Saszy, Hanki i Luizy. Żywiołowo komentowali swoje zdjęcia.

- Twojej rodzinie chyba się udało, co? – zauważył po chwili Sasza. – Znaleźć szczęście w Kuala Lumpur. Macie restaurację, sklep...

- Ech, niby tak. – Ravi spoważniał. Zamknął oglądane dokumenty, złożył jeden na drugim i obracał je w dłoniach. – Malajski rząd nie lubi Hindusów. Wielu zginęło podczas ulicznych zamieszek w sześćdziesiątym dziewiątym. Teraz bumiputra, rdzenni mieszkańcy, mają więcej przywilejów, a my... Wiecie, że zakazali nawet emisji naszych filmów? Uważają, że to zniewaga islamu. Ale filmy to mały problem. Władze Kuala Lumpur zaczęły robić naszym ludziom problemy z wizami i przedłużaniem pobytu. Ty, mój przyjacielu... – Ravi spojrział na Saszę wielkimi czarnymi oczami, w których pojawił się żal. – Ty masz więcej przywilejów niż ja we własnym kraju. To jest sprawiedliwe?

Nikt się nie odezwał. Przez drzwi, wciąż otwarte na ulicę, słychać było tylko rozmowę chłopaków, którzy przywieźli im mango lassi i cały czas stali na zewnątrz, paląc skręty. Luiza pomyślała, że jest straszną ignorantką. Przyjechała tu najeść się pysznego jedzenia, podziwiać świątynie i egzotyczną przyrodę, a nie miała większego pojęcia o historii czy sytuacji politycznej tego kraju.

- Nasz rząd też za nami nie przepada. – Hanka chciała pocieszyć Ravięgo.

- Tak? A uniemożliwił ci wyjazd na pogrzeb brata? – zapytał chłopak uniesionym głosem, jakby to była jej wina.

- Bardzo mi przykro, naprawdę. – Hanka nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć.

Lekka początkowo atmosfera zaczęła gęstnieć. Luiza spojrzała w stronę wyjścia, które teraz zasłaniaли koledzy Ravięgo.

- Robi się późno... – odezwała się po polsku. – Może będziemy już wracać, co?

- W takim momencie? Nie widzisz, że on jest w kompletnej rozsypce? Otworzył się przed nami – obruszyła się Hanka i zaraz znowu przeszła na angielski. – Ravi, chciałabym ci jakoś pomóc, naprawdę. Nie jestem jedną z tych

powierzchnych turystek, które przyjeżdżają do was się zabawić, a resztę mają w dupie... Jeśli mogę coś dla ciebie zrobić, coś więcej niż ten list...

Luizę z jednej strony ujęły te słowa, z drugiej jednak zastanawiała się, jakie niby realne kroki mogłaby podjąć jej przyjaciółka, żeby zmienić sytuację Hindusa.

- Może potrzebujesz pieniędzy? - Hanka jednym zdaniem rozwiała jej wątpliwości i momentalnie potwierdziła, że jednak jest bardzo powierzchowna.

- Kobieto, obrażasz mnie. - Twarz Ravięgo stężała.

Luizę przebiegły ciarki wstydu. Zastanawiała się, co powiedzieć, żeby jakoś załagodzić sytuację i jak najszybciej opuścić to miejsce, nie robiąc Raviemu jeszcze większej przykrości. Na razie ograniczyła się do wpatrywania w dłonie mężczyzny tasujące ich paszporty.

- Przepraszam, nie chciałam. - Wydawało się, że Hanka zaraz go przytuli, co jeszcze pogarszało sytuację.

- Co właściwie tutaj sprzedajesz? - Sasza rozsądnie zmienił temat.

- Aaa... różne rzeczy. Zegarki, biżuterię... Pokażę wam.

Luiza odetchnęła z ulgą. Ravi w sekundę zrobił się radosny, jakby ktoś przełączył odpowiedni guzik w jego głowie. Odsunął szufladę biurka i wyjął z niej tacę z pierścionkami.

- Przepiękne! - zawołała Hanka, niezrażona wcześniejszą gafą. Powiedziałyby wszystko, żeby zrobić przyjemność Raviemu, jednak biżuteria naprawdę robiła wrażenie.

- Widzisz... nie potrzebuję twoich pieniędzy. - Hindus tym razem obrócił sprawę w żart. - Mój dziadek jest szlifierzem, a wujek oprawia klejnoty.

- To rubiny czy ametysty? - Luiza wzięła do ręki prostą obrączkę wysadzaną kanałowo jasnoróżowymi kamieniami. Miała mgliste pojęcie o kamieniach szlachetnych. Kojarzyła tylko, że szafiry są niebieskie, szmaragdy zielone, ametysty fioletowe, a rubiny mają barwę krwi. Na tym kończyła się jej wiedza.

- Diamenty w pięknym kolorze *fancy light pink* - wyjaśnił Ravi. - Widzisz? Są muśnięte różem.

- Myślałam, że diamenty są bezbarwne - stwierdziła Luiza.

- Och, mogą być i niebieskie, i zielone, i żółte - obruszył się Hindus. - Ale najbardziej pożądaną są różowe. Różowe diamenty z Argyle, takie jak te.

- Argyle... - odezwał się Sasza. - Słynna australijska kopalnia. Słyszałem, że zostanie zamknięta.

- To prawda, mój przyjacielu. Kamienie się kończą, a wiecie, co to znaczy? - Ravi spojrział pytająco na dziewczyny, a one pokręciły głowami. - Że wszystkie diamenty stamtąd będą niedługo bardzo dużo warte. Może chciałbyś kupić taki pierścionek dla swojej dziewczyny? - W Ravim obudziła się żyłka sprzedawcy. Spoglądał to na Saszę, to na Luizę, która zaraz się roześmiała.

- Nie jesteśmy parą - wyjaśniła.

- Niestety. - Sasza zrobił udawaną smutną minę, czym jeszcze bardziej ją rozbawił.

- Kto wie, kto wie... - stwierdził filozoficznie Ravi. - Dam ci bardzo dobrą cenę. Nie dla turysty.

- Ile? - zapytał Sasza.

Hindus spojrział na niego i cmoknął. Pocierał kciukiem brodę na znak, że w jego głowie zachodzi poważna, ale szybka kalkulacja. Mierzył wzrokiem Saszę, jakby ostateczna kwota tak naprawdę była zapisana gdzieś w jego aurze.

- Jak dla przyjaciela, tysiąc dwieście dolarów - zdecydował.

- To rzeczywiście bardzo dobra cena - stwierdził Sasza tonem znawcy. - Zastanowię się.

- Mam też inne kamienie, gdybyś chciał. Szmaragdy, rubiny, opale... kolczyki, kolie, bransoletki. A może zegarek z diamentami dla ciebie? - Ravi po kolei wyjmował z szuflad błyskotki i zachęcał dziewczyny do mierzenia.

- A to? - zapytał Sasza.

Hanka i Luiza podążyły za jego wzrokiem. Zorientowały się, że był skupiony na biżuterii, którą nosił Ravi. Długi złoty łańcuszek z wisiorkiem w formie ażurowej kuli, w której schowano purpurowy kamień.

- To pamiątka rodzinna. Nie na sprzedaż. - Ravi złapał za wisior, jakby chciał go ochronić.

- To też diament? - dążył Sasza.

- Mój przyjacielu... gdybym posiadał diament tej wielkości i w takim kolorze, byłbym bardzo bogatym człowiekiem. - Mówiąc to, Ravi majstrował przy kuli. Okazało się, że można ją otworzyć i wyjąć kamień, co Hindus uczynił. Zademonstrował im klejnot, ale nie wypuścił go z dłoni. - To rubin.

- A te kolczyki? Ile kosztują? - Hanka trzymała w dłoni dwa małe kwadratowe sztyfty z bezbarwnymi kamieniami.

- Dla ciebie pięćset dolarów.

- To też diamenty? - dopytywała Hanka.

– Najprawdziwsze. Pokażę ci coś.

Ravi włączył lampkę znajdującą się na stole, podsunął pod nią kolczyki i wyjął z szuflady inny kamień.

– Zobacz – zwrócił się do Hanki. – Widzisz te pomarańczowe refleksy? To efekt ognia. Znak, że to prawdziwy diament. Ale częściej świecą się na biało lub szaro. – Teraz zbliżył pod światło drugi kamień. – A ten... mieni się jak tęcza. To zwykła cyrkonია. Szkiełko.

– Przyjmujesz płatność kartą? – Pytanie Hanki zaskoczyło Luizę.

– Tylko gotówka. Niestety. – Ravi rozłożył ręce. – Przepraszam, to nie moja zła wola. Daję ci dobrą cenę. Ufam ci. Ale ty musisz zaufać mnie. Inaczej cena musiałaby być cztery razy wyższa. Rozumiesz?

Hanka pokiwała głową.

– Nie mam przy sobie tyle pieniędzy. Wyjmę z bankomatu i przyjdę jutro. Będziesz miał otwarte?

Luizie średnio podobał się pomysł wracania tu następnego dnia.

– Możesz przyjść do restauracji albo ja przyjdę do twojego hotelu – zaoferował Hindus. – Podajcie mi adres.

Kiedy Hanka zapisywała na kartce adres Happy Monkey, opór Luizy rósł. Miała nadzieję, że nagle skończy się wkład w długopisie, choć to przecież i tak nie byłoby w stanie przeszkodzić w transakcji. Hanka podała kartkę Raviemu.

– Mówiłem... Władze nas dyskryminują. Nie dają wyjeżdżać, nie dają zarabiać. Mam tu worek najlepszej jakości diamentów. Państwo zedrze ze mnie tyle, że ledwo wyjdę na swoje. Ale gdybym go sprzedał w Europie, moja rodzina nie musiałaby pracować do końca życia. Moja matka poszłaby do prywatnej kliniki i miałyby szansę wyleczyć raka. Moja siostra nie musiałaby wychodzić za mąż za bogatego starca, którego nie kocha. A ja... kupiłbym chatkę na Langkawi i żyłbym tam spokojnie z moją Anią. Was też bym zaprosił – zakończył z uśmiechem.

Luiza zastanawiała się, czy worek diamentów faktycznie istnieje, czy może jest tylko pobudzającą wyobraźnię metaforą. Jednak informacje o chorobie i przymusowym małżeństwie znowu ją poruszyły. Wywoływały coś w rodzaju poczucia winy. Hanka z pewnością miała podobne odczucia i z tego powodu chciała kupić od Raviego przynajmniej kolczyki.

– Co innego wy – ciągnął Ravi wesołym tonem. – Dla was przewiezienie diamentów to nic. Jak zjeść kawałek ciasta.

Luiza popatrzyła na swoich towarzyszy. Zastanawiała się, kto z nich pierwszy wybuchnie śmiechem. Sasza wydawał się po prostu rozbawiony, pewnie nie traktował słów Hindusa poważnie. Z twarzy Hanki nie schodził pełen współczucia grymas.

– Mówię serio. Każde z was może przewieźć worek z diamentami bez większego problemu. Turystów nikt dokładnie nie sprawdza.

Luiza przypomniała sobie rubryczki ze szczegółowymi pytaniami, skanowanie odcisków palców na lotnisku w Kuala Lumpur, uważne, taksujące spojrzenia celników. Nie wyobrażała sobie przemknięcia z jakimkolwiek nieoclonym towarem, a co dopiero z diamentami. Z workiem diamentów, co Ravi z jakiegoś powodu podkreślał.

– Wy też moglibyście na tym dużo zarobić – mówił jakby od niechcenia Ravi. Stał oparty o blat i usuwał pilniczkiem brud spod paznokcia. – Zapłaciłbym za waszą fatygę. – Zaczął pocierać kciukiem brodę tak jak poprzednio, gdy wyceniał pierścionek dla Saszy. – Pięć tysięcy dolarów na głowę. Z góry.

– I co byśmy potem zrobili z tymi diamentami? – zapytał nadal rozbawiony Sasza.

– Oddacie mojemu wspólnikowi na lotnisku w Warszawie. – Ravi momentalnie zmienił tryb z przypuszczającego na oznajmiający.

– I nie boisz się, że cię oszukamy? – zdziwił się Sasza. – Nie zrozum mnie źle. Nigdy bym tego nie zrobił. Nie tylko dlatego, że cię szanuję, ale po prostu bałbym się, że mnie znajdziesz. Założmy jednak, że ktoś jest na tyle szalony, żeby uciec z twoimi diamentami...

– Właśnie dlatego skseruję wasze paszporty.

Luiza poczuła zimny dreszcz. Najpierw spojrzała na dokumenty w rękach Ravięgo, następnie na jego kolegów, którzy nadal tkwili na zewnątrz. Może po prostu uznali, że ciemny zaułek tej zapomnianej ulicy to świetne miejsce na wieczorne pogaduszki, a może od samego początku pilnowali wyjścia.

– To chyba nie dla mnie. – Luiza starała się nie brzmieć zbyt dramatycznie. Wciąż nie wiedziała, czy nie balansują na granicy żartu. – Za bardzo bym się bała. Na pewno od razu by mnie złapali. Nie nadają się do tego.

Jednocześnie starała się złapać spojrzenie Saszy, by dać mu do zrozumienia, że muszą jak najszybciej się ewakuować.

– Znasz kogoś, kto przewiózł tak diamenty? – Hanka albo świetnie udawała całkowitą niefrasobliwość, albo nie zdawała sobie sprawy, że znajdują się

w bardzo niedogodnej sytuacji, której nie należało przedłużać.

- Oczywiście – stwierdził Ravi. – Sam bym to zrobił, ale spójrzcie na mnie... Zatrzymaj mnie do kontroli na każdym lotnisku świata.

- A niby jak któreś z nas miałyby przemyścić kamienie? W bagażu? – zapytała Hanka.

- Jeśli naprawdę będziesz zainteresowana, to wyjaśnię ci dokładnie, na czym polega mój sposób. A na razie... nie ma o czym rozmawiać.

- Jestem zainteresowana – zadeklarowała stanowczo dziewczyna.

- Hania, myślę, że powinnyśmy to jeszcze omówić. – Luiza złapała ją za nadgarstek. Zdała sobie sprawę, że jej dłoń jest całkiem mokra, i to nie tylko z powodu temperatury panującej tak na zewnątrz, jak i w środku lokalu. Chciało jej się płakać. Gdyby tylko to nie pogorszyło sytuacji, w tej chwili wywlekłaby Hankę z tego pseudosklepu.

- Widzę, że twoja przyjaciółka niepotrzebnie się denerwuje. – Wcześniej oczy Ravięgo wydawały się Luizie łagodne, nawet smutne. Teraz bała się w nie spojrzeć, zwłaszcza że zwrócił się bezpośrednio do niej. – Chyba masz o mnie złe zdanie, prawda?

- Absolutnie nie – starała się brzmieć naturalnie i lekko. – Uważam, że robisz wszystko, aby utrzymać swoich najbliższych. Na twoim miejscu zrobiłabym to samo. Świetnie cię rozumiem. W naszym kraju też trudno prowadzić małą firmę. Takie duże podatki to zło. Jestem z tobą całym sercem...

- To ważne, co mówisz. Cieszę się. – Ravi kiwał głową.

- Ja po prostu nie mam tyle odwagi. Bałabym się, że jeszcze ci zaszkodzę. A tego nigdy bym nie chciała.

Hindus odłożył paszporty i zaczął układać na aksamitnej tacy pierścionki, które dziewczyny wcześniej oglądały. Wydawał się pochłonięty tym zajęciem, jakby w ogóle zapomniał, o czym przed chwilą rozmawiali.

- Chyba będziemy powoli się zbierać, co? – Luiza desperacko wlepiała wzrok w Saszę.

- Tak, tak... – odparł mężczyzna, podszedł do Ravięgo i podał mu dłoń. – Bardzo się cieszę, że cię poznałem. Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

- Jutro w hostelu – odparł wesoło Ravi i spojrział na Hankę. – Jesteśmy umówieni, tak? Będę trzymał dla ciebie kolczyki, choć wiele osób o nie pyta. To piękny wyrób mojego wuja. Jest tylko jedna taka para na świecie. Nikomu nie

sprzedałbym ich w takiej cenie, ale ciebie wyjątkowo polubiłem. Myślę, że mogliśmy się już kiedyś spotkać.

- W Polsce?

- Nie. W poprzednim wcieleniu.

- Naprawdę? - Hanka nie wytrzymała i przytuliła Ravięgo. Zrobił zaskoczoną minę, ale po chwili zaśmiał się poklepał ją po plecach.

Luiza sięgnęła po paszporty. Wydało jej się, że Ravi delikatnie skinął głową na mężczyzn stojących przed wejściem, żeby się odsunęli.

- *Namaste!* - Ravi na pożegnanie złożył dłonie przy sercu.

Hanka i Sasza odpowiedzieli tym samym gestem. Luiza myślała już tylko o tym, żeby wyjść.

Przez kilka minut w ogóle się nie odezwała. Szła przed siebie, wpatrywała się w ekran smartfona i sprawdzała wyznaczoną przez nawigację trasę powrotu. Przystanęła, dopiero kiedy dotarli do jeszcze bardziej zatłoczonej Jalan Alor.

- Co to, kurwa, w ogóle było? - Odwróciła się do towarzyszy, którzy pograżeni w rozmowie, cały czas trzymali się z tyłu. - Chyba muszę zajarać. Macie jakieś fajki? Zaraz zwymiotuję z nerwów.

- Ale właściwie o co ci chodzi? - Hanka wzruszyła ramionami.

- O co? O co? - Luiza była wściekła. Ściszyła głos tylko dlatego, żeby nie robić sceny na ulicy. - Myślałam, że dostanę przez ciebie zawału! Naprawdę nie widziałas, co tam się dzieje? Ten typ miał nas w łapie. Widziałas jego kolegów? Zdajesz sobie w ogóle sprawę z tego, że mogliśmy stamtąd nie wyjść?

- Chyba trochę przesadzasz. - Hanka patrzyła na nią ze zdziwieniem. - W ogóle tego tak nie odebrałam.

- Bo jesteś zwyczajnie durna! On zabrał nam paszporty! Chciał je skserować! Halo, Ziemia do Hanki!

- Wiesz co, Luizka... nie chce mi się z tobą gadać. Poza tym, że masz paranoję, jesteś zwyczajnie chamska.

Hanka wyprzedziła ją i zniknęła w tłumie.

- Świetnie. Niech się, kurwa, jeszcze tutaj zgubi. Jeśli ona dożyje trzydziestki, będę w szoku. - Luiza usiadła na murku i wzięła skręta, którego podał jej Sasza. - Przepraszam, gadam głupoty. To znaczy o tej przedwczesnej śmierci. Ty też uważasz, że przesadziłam z posądzaniem Ravięgo o złe zamiary?

Sasza usiadł obok niej i zaciągnął się papierosem.

– To było dziwne doświadczenie, fakt. Ale myślę, że zupełnie niegroźne. Ostatecznie mieli po jakieś metr pięćdziesiąt wzrostu i ważyli ze czterdzieści kilo każdy. Myślę, że spokojnie dalibyśmy im radę. – Mrugnął do niej.

Luiza zaśmiała się i oparła głowę o jego ramię.

– Gdyby cię tam z nami nie było, to chyba posikałabym się ze strachu... – powiedziała cicho.

W odpowiedzi Sasza pogładził ją po głowie.

Wracali, trzymając się za ręce. Luiza wmawiała sobie w myślach, że po prostu nie chce zgubić Saszy w tłumie.

– Ale się wleciecie. – Usłyszeli nagle głos Hanki, która stała przy wejściu do kafejki. Wydawało się, że złość na Luizę już jej przeszła. – Podobno dają tu świetne pankejki, a ja muszę coś zjeść.

– Jestem strasznie śpiąca. Ale okej. Jednego pankejka też wciągnę.

Na swoje porcje czekali nie dłużej niż trzy minuty. Szybko zjedli i zebrali się do wyjścia. Hanka poszła odnieść talerze.

– Chłopak z obsługi powiedział mi, żebyśmy wyszli tylnymi drzwiami. To jakiś skrót do naszej ulicy.

– Rzeczywiście – zgodził się Sasza. – Miło z ich strony.

Wyszli na zaplecze, pełne poustawianych piętrowo nieużywanych stołów i krzeseł.

– Moi przyjaciele – usłyszeli znajomy głos.

– Ravi... – wyrwało się Luizie.

– Skąd się tu wzięłeś? – Hanka była z kolei wyraźnie ucieszona.

– Smakowały wam pankejki? To lokal mojego kuzyna.

Jego odpowiedź oczywiście nie wyjaśniała wątpliwości. Luiza chciała zapytać, czy jest jakaś knajpa, w której nie pracowaliby członkowie rodziny Ravięgo, ale darowała sobie złośliwość. Zwłaszcza że razem z Hindusem na spacer wyszli jego znajomi, których widzieli już w sklepie z biżuterią.

– Widzimy się jutro, tak? – Ravi patrzył na Hankę niemal z czułością.

Dziewczyna pokiwała głową.

– Skoro już na siebie wpadliśmy... – Teraz zwracał się wyłącznie do Luizy. – Muszę wam się do czegoś przyznać. Trochę się martwię. Pomyślałem, że może pójdziecie na policję.



– My? Po co? – zapytał Sasza, widząc, że dziewczyna jest przerażona.

– Nie wiem. Opowiedzieć o mojej propozycji.

Sasza zrobił krok do przodu, jakby zasłaniał Luizę.

– Słuchaj, mój przyjacielu. – Jego głos nieoczekiwanie stał się groźniejszy. – Teraz ty nas obrażasz. Powiedzieliśmy ci, że jesteśmy po twojej stronie. Nikomu z nas nie przyszłoby do głowy donosić na porządnego człowieka, który ciężką pracą próbuje zadbać o swoją rodzinę. Co to w ogóle znaczy, że wykopane z ziemi kamienie należą do jakiegoś kraju? Do rządu, który nie kiwnął przy nich palcem? To dar Matki Ziemi. Ktoś się natrudził, żeby je wydłubać, ktoś inny je oszlifował, jeszcze inny oprował, a ty próbujesz tylko je sprzedać. Pieniądze powinny trafiać do ludzi, którzy wykonali przy nich pracę. A jaką pracę wykonał ten czy inny rząd? Boli mnie to tak samo jak ciebie, ale jeszcze bardziej bolą mnie podejrzenia, że mógłbym trzymać stronę jakiejś bezdusznej władzy, która nie chce dobrze ani dla ciebie, ani dla mnie, tylko dla siebie...

Sasza autentycznie robił się coraz bardziej czerwony, kiedy to mówił. Na jego skroni zaczęła pulsować fioletowa żyła, brakowało mu powietrza. Luiza też wstrzymała oddech, czekając na reakcję Raviego. Z daleka dobiegały odgłosy nocnego życia i zabawy. Kilka metrów dalej ludzie spędzali swoje najlepsze chwile, a ona miała wrażenie, że zaraz się udusi. Nagle bardzo zapragnęła być w domu.

– Dobrze – odezwał się w końcu Hindus. Podszedł i uściśnął dłoń Saszy. – Jesteśmy więc po jednej stronie.

– Nie ma innej opcji.

Ravi gwizdnął na swoich przybocznych, którzy natychmiast zjawili się obok. Wszyscy trzej zniknęli za drzwiami lokalu.

– Widzicie? – zaczęła Hanka. – Uraziliście go.

Luiza ciężko westchnęła. Miała ochotę znowu wytknąć Hance bezbrzeżną naiwność, ale straciła siłę na jakiegokolwiek dyskusje.

– Po prostu wracajmy już...

Tak naprawdę Luiza bała się spędzać noc w Happy Monkey. Ravi znał ich adres i wcale by się nie dziwiła, gdyby w hostelu pracował jeden z jego kuzynów. Sasza tłumaczył, że przecież zamkną się w pokojach i nic im nie będzie grozić. To jednak jej nie przekonywało. Nalegała na to, żeby się przenieść, wszędzie jedno gdzie. Po drodze wstąpiła nawet do czterogwiazdkowego hotelu, którego

szklana bryła górowała nad dzielnicą. Ku jej zaskoczeniu wcale nie okazał się drogi, niestety uprzejma Malajka w recepcji poinformowała ją, że nie mają wolnych pokoi. Ostatecznie stanęło na tym, że Sasza przeniósł się do nich na noc i zabarykadował drzwi metalową szafką. Z samego rana mieli ruszyć w podróż do Taman Negara. Luiza najchętniej wsiadłaby w samolot do Warszawy, nie chciała jednak, żeby jedno przykre zdarzenie zepsuło jej wyjazd życia, na który czekała od roku.

Hanka chciała poczekać w hostelu na Raviego, który miał jej przynieść obiecane diamentowe kolczyki.

– Naprawdę przydadzą ci się w dżungli? – Luiza próbowała dotrzeć do jej rozsądku.

– Nie o to chodzi. Po pierwsze, już się z nim umówiłam, po drugie, chcę je mieć, po trzecie, masz paranoję, a po czwarte, nawet jeśli nie masz, to o wiele gorzej będzie uciekać stąd bez zawarcia transakcji. Wtedy dopiero go wkurzymy i kto wie, może będzie nas szukał? A przecież i tak musimy tu wrócić.

Ten ostatni argument przeważył. Nawet Sasza uznał, że to, co mówi Hanka, jest sensowne. Zadeklarował, że będzie jej towarzyszył i dopilnuje, żeby wszystko odbyło się sprawnie, na terenie recepcji, kiedy inni będą jeść śniadanie. Luiza w końcu się z nimi zgodziła.

Została sama w pokoju i kończyła pakowanie. W myślach liczyła każdą minutę. Była tak zestresowana, że nie odebrała nawet telefonu od ojca. Pisali też znajomi, ale nie była w stanie odpisać nic pozytywnego, więc postanowiła poczekać na lepszy moment.

W końcu usłyszała śmiech dochodzący z korytarza. Hanka i Sasza wrócili bardzo zadowoleni z siebie.

– No, zobacz, jakie czadowe! To moje pierwsze diamenty...

– Wydałaś na nie trzy czwarte swojej pensji – stwierdziła sucho Luiza.

– Jak już, to pensji mojej matki, i nie trzy czwarte, tylko jedną dziesiątą.

Hanka pochodziła z rodziny, w której nie trzeba było liczyć pieniędzy, może dlatego nie do końca wiedziała, ile tak naprawdę zarabiają jej rodzice, którzy zresztą nieustannie wspomagali ją finansowo. Z tego powodu Luiza miała opory przed wspólną podróżą. Wiedziała, że czeka ją wiele miesięcy oszczędzania, zanim pozwoli sobie na bilet i rezerwację noclegów. Hanka z kolei musiała wykonać tylko jeden krótki telefon do rodziców. Obiecała jednak, że to będą

backpackerskie, budżetowe wakacje. Przekonała Luizę, że bardziej niż na luksusach zależy jej na przygodach. No to jedną już zaliczyły.

- To co? Zrywamy się stąd wreszcie? - zapytała Luiza. Zarzuciła na ramię ciężki plecak, a mimo to było jej lżej. Ciemna chmura, która zbierała się w jej głowie przez ostatnie godziny, zaczęła się rozwiewać.

- *Jungle, baby!* - zawołała Hanka.



## II

# Nieoszlifowany diament

Izabelę obudził kwaśny fetor. Miała wrażenie, że śmierdzi wszystko: jej wódczany oddech, niezmienniana od tygodni pościel, spocone ciało, zaduch w jednopokojowym mieszkaniu. Przycisnęła lepki palec do skroni i wyczuła małą pulsującą żyłkę. Ten niby niewielki ruch był źródłem bólu, który rozlewał się po całej czaszce, w miarę jak Izabela odzyskiwała przytomność.

Powoli usiadła na łóżku, potem oparła o podłogę jedną i drugą stopę. Wstała. Nie było źle, skoro do tej pory jeszcze jej nie zemdlilo. Może tym razem się uda. Powłócząc nogami, podeszła do kuchennego blatu, na którym stał kubek z zimną gorzką herbatą. Przypomniała sobie, że przed zaśnięciem próbowała się ratować przed spodziewanym kacem, łykając ibuprofen i uzupełniając płyny. Upiła trzy duże łyki. Dwa głębokie oddechy. Nic z tego. Pobiegła do łazienki i w ostatniej chwili podniosła deskę sedesową.

Przynajmniej poczuła się lżej. Wymioty oznaczały, że jej organizm jeszcze próbował się bronić przed alkoholowymi toksynami, którymi go raczyła do rana. Chyba wołałaby przejść już do następnego etapu. Tego, w którym i głowie, i reszcie ciała jest już wszystko jedno.

Weszła pod prysznic i namydliła twarz. Po jej szyi i dekolcie spłynęła piana wymieszana z czarnymi smugami tuszu. Umyła głowę i zgoliła włosy pod pachami. Kiedy skończyła, stanęła przed lustrem, ale nie spojrzała sobie w oczy nawet wtedy, gdy nakładała krem i podkład. Od miesiący widziała tam kogoś, kto i tak odszedł.

Izabela z wysiłkiem naciągnęła na biodra ołówkową spódnicę, wbiła się w białą koszulę z kołnierzykiem. Omiotła spojrzeniem wszystkie fałdki. Nigdy

nie była szczupła, ale teraz mieściła się w coraz mniejszą liczbę własnych ubrań. Pozostawały głównie luźne letnie sukienki. Dzisiaj jednak musiały wyglądać w miarę elegancko. Narzuciła oversize'ową marynarkę, która trochę zatuszowała źle układający się materiał koszuli. Z kartonu na dnie szafy wyciągnęła czerwone szpilki. Jeszcze pomadka pod kolor i nie powinno być tak tragicznie. Przed wyjściem otworzyła okno. Natychmiast poczuła charakterystyczną kwaśną woń dochodzącą z pobliskiego wysypiska śmieci. Kolejny z wielu dni w całym roku, kiedy musiała wybierać, czy woli zaduch w mieszkaniu, czy przewiew z fetorem w bonusie. Dziś wybrała tę drugą opcję.

Podróż samochodem z Szadółek do centrum Gdańska zajęła Izabeli piętnaście minut. Zwykle wybierała komunikację miejską, ale wyjątkowo nie miała ochoty na kontakt z ludźmi. Zaparkowała na miejscu dla niepełnosprawnych i włożyła za szybę plakietkę pożyczoną od kolegi z redakcji.

Salon jubilerski Geller znajdował się na parterze kamienicy przy Świętego Ducha, ale właściciel poprosił Izabelę w mailu, żeby weszła tylnymi drzwiami, od Złotników. Przez chwilę walczyła z myślami. Tylko łyceczek, może trzy, dla rozluźnienia. Wyjęła z torebki stumililitrową buteleczkę z cytrynowką. Pojemność stworzona specjalnie na takie okazje. Izabela pociągnęła z gwinta. Prysnęła się perfumami i rozgryzła cytrynowego dropsa. Zmierzwiała u nasady włosy, które zdążyły już oklapnąć.

Gabinet jubilera mieścił się na trzecim piętrze. Idąc po schodach, Izabela zastanawiała się, czy cała kamienica należy do niego.

W drzwiach powitał ją osobiście. Właściwie musiała przyznać, że literalnie zatkało ją na jego widok. Spodziewała się przezroczyściego, przygarbionego gościa w brudnym fartuchu jubilerskim.

Jakub Geller wyglądał na mniej więcej czterdzieści pięć lat i miał interesującą twarz o długim, wąskim nosie z małym garbem na grzbiecie. Oczy osadzone blisko siebie nadawały jego spojrzeniu przenikliwość. Siwiejące włosy nosił związane z tyłu w kitkę. Miał na sobie koszulę i garnitur z kamizelką, które wyglądały, jakby wyszły spod ręki włoskiego krawca. Dobrego wrażenia nie psuła nawet męska biżuteria: złoty łańcuszek z medalikiem, dwa sygnety i bransoletka. U kogoś innego Izabela uznałaby to za przesadę, ale Gellera tłumaczyły zawód i wyczucie smaku.

Po drodze do gabinetu minęli szczupłą kobietę z mieniącymi się czerwienią włosami, splecionymi w długi dobierany warkocz. Nosiła kremową garsonkę z okrągłym dekoltem w stylu Chanel i perłowy naszyjnik. Miała tęczówki w kolorze intensywnej zieleni, tak nienaturalnej, że wyglądały jak soczewki. Przeskanowała nimi dziennikarkę od stóp do czubka głowy.

– Agata, nasza dyrektor sprzedaży... – Geller przeszedł do prezentacji.

Kobieta mocno ścisnęła dłoń Izabeli upierścienionymi palcami. Jej garsonka nie była w stylu Chanel – na guzikach widniały niewielkie logotypy z zahaczonymi o siebie literkami C. Zresztą cała Agata mogła stanowić ilustrację artykułu modowego o nowych trendach „old money” i „clean girl”. Izabela trochę o nich wiedziała, bo przygotowywała kiedyś artykuł na ten temat. Różnica była taka, że wizerunek Agaty nie był trendem, tylko kodem DNA.

Dziennikarka dygnęła przed nią jak mała dziewczynka. Wszechobecny luksus chyba trochę ją oszołomił. Agata też ją onieśmiała. Biła od niej energia niezachwianej pewności siebie. Tacy ludzie jak ona pochodzili z pieniędzy, urodzili się w nich i naturalne było dla nich to, że dostają wszystko, czego pragną.

Agata otworzyła drzwi gabinetu i poczekała, aż jubiler i dziennikarka wejdą do środka. Izabeli wydawało się, że musnęła mężczyznę w ramię, kiedy przechodził obok niej.

– Udanego spotkania. – Uśmiechnęła się, znowu patrząc na dziennikarkę prześwietlającą.

– Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli włączę dyktafon? – zapytała Izabela, kiedy zostali sami.

– To zależy, o co będzie pani pytać – odparł zupełnie poważnie.

– Wyłączę, jeśli dojdziemy do czegoś nielegalnego – zażartowała.

Zrobił minę, jakby nie zrozumiał dowcipu, potem odwzajemnił uśmiech.

Z okien gabinetu było widać dachy domów przy ulicach Świętego Ducha, Piwnej i Długiej, a wśród nich masywną bryłę bazyliki Mariackiej. Jubiler usiadł za potężnym dębowym biurkiem; leżały na nim pudełka z biżuterią, lupy i inne przyrządy, które Izabela widziała pierwszy raz w życiu. Z szuflady wyjął podłużną kasetkę i podsunął ją dziennikarce. W środku znajdowało się pięć niewielkich kamieni.

– To diamenty?

– Konkretnie brylanty. Wie pani, jaka jest różnica?

- Taaak – skłamała. Przygotowała się do rozmowy, jak zawsze dokładnie, ale ta kwestia, chyba całkiem podstawowa, zupełnie jej umknęła.

- Brylant to rodzaj diamentu o konkretnym, okrągłym szlifie... właśnie takim – wyjaśnił jubiler. – Który, pani zdaniem, najmocniej świeci?

Wbrew pozorom odpowiedź na to pytanie wcale nie była trudna. Wybrała bez zastanowienia. Geller włożył białe rękawiczki, chwycił pęsetą wskazany przez Izabelę kamień i umieścił go na podstawie.

- Proszę zerknąć – zachęcił.

Spojrzała przez lupę i zobaczyła czerwono-czarną mozaikę. Zdziwiła się, bo przecież brylant był bezbarwny. Zupełnie jakby w środku znajdowała się ukryta wiadomość, widoczna tylko dla upoważnionych osób.

- Jak w kalejdoskopie... – stwierdziła. – Albo gabinecie luster.

- Widzi pani strzałki? – W głosie Gellera słychać było dziecięcą ekscytację.

Dopiero kiedy to powiedział, Izabela zauważyła czarne linie tworzące wyraźne szpikulce zakończone maleńkimi grotami.

Jubiler ujął diament w pęsetę i odwrócił.

- A teraz? – Spojrzał na dziennikarkę wyczekująco.

- Mmm... gwiazda... – zastanawiała się. – Nie... serca! Widzę serca.

- Tak! – ucieszył się Geller. – Strzałki i serca. To najszybsza metoda oceny brylancji oszlifowanego diamentu.

- Czyli pozostałe nie mają takich... eee... wzorków? – Spojrzała na pozostałe kamyki w kasetce.

- Mają, ale inne. Nieidealne. A gdyby położyła tu pani falsyfikat, to nie przybrałby nawet czerwono-czarnej barwy.

Geller odebrał telefon stojący na biurku. Głos w słuchawce był donośny, kobiecy. Słychać było pytanie: „Czy mogę wejść?”. Jubiler potwierdził i po chwili w drzwiach stanęła kobieta z tacą w rękach. Kolejne zaskoczenie. Izabela sądziła, że tacy mężczyźni zwykle zatrudniają w roli sekretarek młode dziewczyny o figurze modelki, z długimi włosami, paznokciami i rzęsami oraz słodkim głosikiem. Tymczasem kobieta, która weszła do gabinetu, przypominała raczej surową ciotkę z Gileadu, tyle że w bardziej współczesnym i całkiem eleganckim kostiumie. Postawiła na biurku filiżanki z kawą i talerzyki z dwiema miniaturowymi bezami dacquoise.

- Podać też szampana? – Spojrzała na Gellera, a on na Izabelę.

- Ja dziękuję – odmówiła.

- Przepraszam, ale przyszedł pan Mrożny. Z gotówką... - Sekretarka podkreśliła ostatnie słowo.

- Załatwię to.

Wyszli oboje, a Izabela sięgnęła po kawę. Różnej wielkości diamenty i biżuteria - kolczyki z naturalnych pereł, złoty naszyjnik z rubinami, pierścionki - leżały przed nią na biurku jak porzucone w piaskownicy zabawki. Zastanawiała się, czy jubiler często zostawiał ludzi sam na sam z takimi okazami. Pewnie były dobrze ubezpieczone. Chwilę później zauważyła stojącą na regale kamerę. Jej oko było wymierzone w miejsce, na którym siedziała Izabela. Geller nie pomyślał, żeby zapytać, czy dziennikarka nie ma nic przeciwko byciu nagrywaną... To chyba jedyna impertynencja z jego strony.

- Proszę wybaczyć, już nikt nie będzie nas niepokoił - poinformował z łagodnym uśmiechem, kiedy wrócił i zajął swoje miejsce za biurkiem. Odłożył na bok rękawiczki, w których wcześniej demonstrował klejnoty.

Starła się nie wpatrywać zbyt intensywnie w jego dłonie. Opuszki palców były poprzecinane dawnymi, zagojonymi skaleczeniami, co ze względu na jego zawód nie powinno dziwić.

- Chciałaby pani przymierzyć? - Geller wskazał na naszyjnik. - Śmiało. Służę pomocą.

Postawił na biurku lustro, które mogło być rekwizytem w *Królewnie Śnieżce*. Pewnie robiło wrażenie na klientkach, które tu zapraszał.

- Mogę? - Zbliżył się do Izabeli.

Nie miała pojęcia, o co pyta, i odruchowo skinęła głową. Delikatnie zebrał jej włosy z karku i podniósł je do góry. Przeszły ją ciarki. Nie wiedziała, czy to dlatego, że dotyk był niespodziewany, czy - przyjemny. Wydawało jej się też, że poczuła szorstką, stwardniałą skórę jego palców. Wstrzymała oddech, żeby mężczyzna nie wyczuł od niej cytrynówki.

Geller podał jej naszyjnik, a potem pomógł go zapiąć, znowu przypadkiem muskając jej kark. Ich spojrzenia spotkały się w lustrze. Uśmiechnął się i wrócił za biurko.

- Od razu wiedziałem, że to pani kolor. Podbija tęczę - stwierdził tonem lekarza stawiającego diagnozę. - To kolia z szafirami i naturalnymi perłami, którą mój dziadek podarował babci. Od niego uczyłem się zawodu, a on... szkolił się u samego Winstona. A przynajmniej u jego ludzi. - Geller puścił do



niej oko, ale nawet to w jego wykonaniu wyglądało przyjacielsko i porozumiewawczo, a nie zaczepnie.

– Ma pan na myśli Harry’ego Winstona? – upewniła się, dotykając kamieni, które ułożono tak, by przypominały kwiaty.

– Oczywiście. Dziadek tuż po wojnie wyjechał do Stanów. Wrócił, bo okazało się, że jego szkolna miłość nie zginęła w Stutthofie, jak sądził, i napisała do niego. To była moja babcia. Ale dość rodzinnych historii... Pani, zdaje się, ma do mnie jakieś konkretne pytania?

Izabela poprawiła na szyi kołję, w której czuła się sztywno i nieswojo.

– Tak... chciałam zapytać o diamentowy scam. Pracuję nad tekstem na ten temat.

– Słucham? – Geller spojrział na nią, jakby przemówiła w obcym języku.

– Sporo serwisów ekonomicznych, i to poważanych, pisze ostatnio o tym, że popyt na diamenty jest sztucznie napędzany przez sprytny marketing, a zarabiają na tym najbogatsi...

– Mhm, a na czymś nie zarabiają najbogatsi? – Geller sięgnął po fajkę i zaczął nabijać ją tytoniem. No nie, ten facet naprawdę był wyrwany z przedwojennej powieści. – Czy z ropą albo ze złotem jest inaczej?

– Chodzi o to, że tak naprawdę kamieni jest całkiem sporo i nie mają one wcale takiej wartości, jaką się im przypisuje.

– Czy nie będzie pani przeszkadzało? – zapytał, zanim zapalił.

Zaprzeczyła, a on wstał i podszedł do okna. Wyglądał na tak zamysłonego, że Izabela zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle pamięta o jej pytaniu. W końcu jednak się odezwał.

– Ludzie w większości w ogóle mają problem ze zrozumieniem, czym są diamenty. Mój ojciec tłumaczył to celnikom, urzędnikom, klientom... potem robiłem to ja. Czasem mam wrażenie, że nic się nie zmieniło. Czy ma pani świadomość, za jaką kwotę można nabyć najtańszy diament?

Znowu pokręciła głową, ale Geller nawet nie zwrócił na nią uwagi. Nadal patrzył w przestrzeń.

– Około pięćdziesięciu złotych. I nie jest to tajna wiedza. Wystarczy się zainteresować. Powiem więcej. W naszym pięknym kraju przeważnie kupuje się pierścionki zaręczynowe z raczej marnymi kamieniami, nieprzekraczającymi sześć setnych karata. To wielkość, nie wiem, śrutu. Zazwyczaj pochodzą z jakiejś sieciówki, w której kosztują około tysiąca złotych.

I tak, to jest, delikatnie mówiąc, przesada. Za taką kwotę mogę sprzedać pani dobrej jakości ćwierćkaratowy diament. Oczywiście naturalny, bo nie wspomniałem o tym, że wiele tych kamyczków to zwykle syntetyki.

- I sprzedawcy o tym nie mówią?

- Jeśli klient nie dąży, bo jak wspomniałem, nie ma świadomości, co kupuje, to często przemilczą ten fakt.

- No dobrze, ale skoro możemy wytworzyć coś sztucznie, to czy wartość tego pierwotnego przedmiotu przez to nie maleje?

Geller odwrócił się i oparł o ścianę. Jego usta ułożyły się w dobrotliwy uśmiech.

- A czy wartość torebki od Prady maleje przez to, że w Egipcie albo Bangkoku kupi pani jej podróbkę? Kogo oszukują ludzie, którzy noszą podrobione roleksy? Innych? Nie. Siebie. Czy ktoś woli kupić wyhodowaną w laboratorium bryłkę, czy klejnot, który tkwił w łonie Ziemi przez miliardy lat, to jest jego indywidualny wybór. Ja nikogo do niczego nie zmuszam.

Wzmianka o ziemskim łonie wydała się Izabeli mocno pretensjonalna, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Poza tym my tu rozmawiamy o kamieniach, które można kupić za drobne. I to jest pewnie osiemdziesiąt procent dostępnego surowca. Te, które osiągają niebotyczne kwoty na aukcjach, pojawiają się na rynku raz na dziesięć, raz na dwadzieścia lat.

- A inkluzje? Jak często się je spotyka?

- W diamentach? Bardzo często. Idealnie czysty kamień to właściwie rzadkość. Większość ma jakieś zanieczyszczenia. - Zamyślił się. - No chyba że mówimy o rzadkich inkluzjach, takich jak na przykład pióro albo maska...

- Maską? - Izabela się ożywiła.

Jubiler wyjął smartfon i przez chwilę szukał czegoś w galerii zdjęć.

- O, tu jest piórko... - Pokazał Izabeli ekran. - To właściwie mikrospeknięcia, które układają się w charakterystyczny kształt. Maską jest jeszcze rzadsza. - Geller powiększył kolejną fotografię. - Widzi pani? Wygląda jak wenecka maseczka karnawałowa zrobiona z brokatu. Tak naprawdę to chmurka uwieczniona wodoru.

- To dla mnie zupełnie nowy świat. - Izabela poruszyła się na krześle. - Do niedawna nie wiedziałam nawet, że istnieją kolorowe diamenty.

Geller odłożył smartfon i uśmiechnął się delikatnie.

- Jest ich stosunkowo niewiele, a będzie jeszcze mniej, przynajmniej na rynku pierwotnym.

- To znaczy? - zainteresowała się.

- Na przykład dwa lata temu zamknięto najsłynniejszą kopalnię różowych diamentów w Argyle w Australii. To kruszec, który się kończy. Na szczęście udało mi się zdobyć kilka sztuk...

- W Polsce są na to klienci?

- Oczywiście, ludzie coraz lepiej rozumieją, że to aktywa, w które warto inwestować.

Geller wystukał coś na klawiaturze, a potem odwrócił ekran, tak żeby mogła zobaczyć.

- To kilka okazów z kolekcji Tender, które jeszcze można kupić.

Izabela przebiegła wzrokiem fotografie. Znajdowały się na nich kamienie w różnych szlifach i odcieniach różu, od bladego po purpurę i czerwień. Zwróciła też uwagę na ceny, których większość zbliżała się do miliona dolarów za sztukę.

- Taki kolor to chyba rzadkość... - Wskazała palcem zdjęcie purpurowego diamentu.

- Niecałe cztery procent wszystkich diamentów to kamienie fantazyjne, czyli kolorowe: niebieskie, żółte, brązowe, zielone, pomarańczowe. Różowe to tylko trzy procent z tej liczby. A z tych trzech procent zaledwie jeden ma barwę purpurową. To znaczy, że na całym świecie jest zaledwie kilka takich kamieni jak ten, na który pani patrzy.

- A pan? Widział pan kiedykolwiek taki kamień na żywo?

Twarz Gellera się rozjaśniła.

- Miałem to szczęście, że widziałem coś może nawet bardziej spektakularnego.

- Gdzie? - dopytała Izabela.

Mina jubilera sugerowała, że jej pytanie było zbyt niedyskretne.

- Zastanawiam się po prostu, na ile rzadki jest diament tej wielkości i barwy - doprecyzowała.

- Jest unikatowy. Niepowtarzalny.

W drodze do redakcji Izabelę rozboleła głowa. Powędrowała więc prosto do kuchni, nalała sobie lury z ekspresu i skrzywiła się po pierwszym łyku. Drugi nie był już taki zły.

Jej biurko stało w kącie, daleko od okien, więc jak zwykle musiała zapalić lampkę. Szum klimatyzacji był dziś wyjątkowo irytujący.

- Po cholerę włączać to dziadostwo w kwietniu... - odezwała się na tyle głośno, żeby na pewno dotarło to do kolegów, którzy notorycznie opowiadali się za wychładzaniem pomieszczenia.

- Żeby szybciej urósł nam grzyb w płucach i można nas było zastąpić nowymi, młodszymi dziennikarzami - wyjaśniła siedząca obok niej Magda.

- Nie jesteś dziennikarką, tylko media workerką, to po pierwsze - odparł Zbyszek z redakcji newsowej. - A poza tym nie wiem, czy szanowne panie zauważyły, ale te okna się nie otwierają, więc...

- Jak wam zimno, to zawsze możemy was ogrzać, he, he... - zaoferował Arek ze sportu.

Izabelę zawsze zastanawiało, jak to jest, że trzydziestoletni faceci rzucali żartami w stylu oblesnego sześćdziesięcioletniego wujaszka. To musiały być geny albo mocno zakorzeniona tradycja.

Odechciało jej się interakcji. Łzawiły jej oczy, poczuła znajome drapanie w gardle. Miała alergię na klimatyzację, na nich, na całe to miejsce. Odwróciła się do komputera i utkwiała wzrok w wizualizacji białej kartki na ekranie.

- Masz coś ciekawego? - zapytała Magda.

- Coś tam mam. Bardzo zamknięty typ - powiedziała, a potem równie niespodziewanie dla Magdy, co dla siebie samej wypaliła: - Dał mi diament.

- Co? - Koleżanka krzyknęła tak głośno, że Arek i Zbyszek odwrócili się w jej stronę. Izabela zganiła ją spojrzeniem, więc szepnęła teatralnie: - Żartujesz sobie ze mnie? Pokaż!

Podjechała na obrotowym krześle i złapała koleżankę za ramiona. Izabeli nie podobały się ani ta bliskość, ani dotyk. Nie kumpłowały się, po prostu siedziały obok siebie, więc siłą rzeczy często prowadziły różne powierzchowne konwersacje i wymieniały uwagi. Izabela nie miała zażytych relacji z nikim z pracy. Teraz żałowała, że w ogóle wspomniała o wisiorku. Może potrzebowała, żeby ktoś inny powiedział, co o tym myśleć...

- Spotkacie się jeszcze? - zapytała Magda.

- Autoryzację załatwimy mailem - wykręciła się.

- Ma żonę?
  - Jezu, nie wiem. Przecież nie pytałam.
  - To jak zrobiłaś research? - Koleżanka pokręciła głową. - Ja zawsze sprawdzam takie rzeczy, jak jadę na wywiad z ciachem.
  - A kto powiedział, że Geller jest ciachem?
  - Czekaaj, zaraz go wygooglam...
  - Nic nie znajdziesz. Szukałam. Uwierz.
  - Czyli jednak go sprawdziłaś... - Puściła do Izabeli oko. - To co, jaki jest?
  - Już mówiłam: zamknięty.
- Magda parsknęła śmiechem.
- Ta, no faktycznie. Stara, typ podarował ci biżuterię.
  - Nie biżuterię, tylko mały kamyk. On to rozdaje swoim klientom. To coś w rodzaju próbki. Jak krem w gazecie.
  - Ładna mi próbka. Diamentowa. Ciekawe, ile jest wart.
  - Pewnie niewiele. To maleństwo. Śrut.

Kilka lat temu pojechał obejrzeć dom, w którym mieszkał jako dziecko. Teraz budynek należał do zupełnie obcych ludzi. Jakub przechadzał się ulicą, udając spacerowicza, i próbował zaglądać w zasłonięte żywoplotem okna. Wyglądał, mówiąc eufemistycznie, podejrzanie. Nie zdziwiło go więc wcale, że nowy właściciel wyszedł przed bramę i zapytał, czy może mu w czymś pomóc. Jakub odparł, że spędził w jego domu swoje dzieciństwo. Zaczęli rozmawiać, opowiadać sobie anegdotki o sąsiadach i okolicy. Po półgodzinie jubiler był w środku, pił herbatę z miodem i jadł podany przez gospodynię jabłecznik. Mimo bardzo przyjaznej atmosfery nie był jednak w stanie się rozluźnić. To jakby znaleźć się we śnie. Niby wszystko jest znajome, a jednak zupełnie inne. Był u siebie, a jednocześnie nic tu nie należało do niego.

Takie samo odczucie towarzyszyło mu, kiedy usiadł przy stole złotniczym, od którego kiedyś prawie nie wstawał. O tej porze ani w salonie, ani w pracowni na tyłach nikogo jeszcze nie było. Półkoliste wycięcie w blacie wydawało się mniejsze, niż zapamiętał. Zirytował go rozgardiasz. Kiedy sam używał stołu, wszystko miało swoje miejsce w szufladach, a narzędzia po skończonej pracy leżały równo ułożone. Teraz nie mógł nawet znaleźć odpowiedniego perelnika.

Jakub wyjął z kieszeni brązową kaszkę. Ze środka na jego rozłożoną dłoń wypadła nieoszlifowana bryłka. *Purplish red*, dziesięć karatów. Oglądał ją już

setki razy, ale nadal mógł to robić godzinami. Znał na pamięć linie przełamu – miejsca, w które należało uderzyć przecinakiem, żeby zacząć dzielić diament i wydobyć jego serce. W przypadku takiego czerwonego oktagonu, jaki właśnie trzymał w palcach, mogło to być nawet czterdzieści procent masy, całkiem sporo. Rysował w wyobraźni kształt poduszki, który kiedyś nada temu kamieniowi.

Ze szczytu schodów dobiegło szuranie. Pierwsi rzemieślnicy wchodzili do pracowni. Jakub schował kamień do kasetki i wrócił na górę. W biurze była już Dorota, jego sekretarka.

– Zamów, proszę, nowy stół złotniczy do pracowni. Ten stary trzeba przetransportować do mnie do domu.

Dorota przywykła do tego, że jej praca polega na wykonywaniu poleceń, a nie zadawaniu zbędnych pytań. Całkowicie jej to odpowiadało. W ciągu kilkunastu lat pracy dla Gellera nauczyła się nawet wyprzedzać jego myśli i oczekiwania. Dlatego tak ją cenił. Wchodząc do biura, zostawiała za drzwiami swoją osobowość i inne problemy. Jubiler nie wiedział, czy Dorota ma męża, rodzinę, czy na coś choruje. To nie tak, że jej nie szanował. Poświęcił sporo czasu na znalezienie odpowiednich ludzi do firmy, dbał więc o to, aby nie odeszli. Dostawali podwyżki, o które nie musieli prosić, a za każde przepracowane dziesięć lat – zestaw biżuterii, który sami wybrali.

– Za godzinę ma pan wywiad z tą dziennikarką – przypomniała Dorota.

– Tak, pamiętam.

Nie bez powodu spędził dziś w garderobie trochę więcej czasu niż zwykle. Bardzo rzadko udzielał wywiadów, chciał więc zrobić nieskazitelne wrażenie. Tak naprawdę zdawał się w tej kwestii na Agatę. To ona sprawdzała i doradzała, z kim warto rozmawiać.

Później doszedł do wniosku, że Izabela Trzos nie przygotowała się tak starannie jak on. Miała obdrapany lakier na paznokciach, a jedyny ślad makijażu stanowiła krzykliwa czerwona pomadka. Włożyła wprawdzie formalną białą koszulę, ale prześwitywał przez nią stanik. Prawdopodobnie w ogóle nie spojrzała przed wyjściem w lustro, bo nie dopięła nawet rozporka od spódnicy. To wszystko nie tylko nie zniechęciło do niej Gellera, ale wręcz wzbudziło jego zainteresowanie.

Uwadze jubilera nie umknęło także zaskoczenie Agaty. Prawdopodobnie miała ochotę krzyknąć z przerażenia. Geller doskonale znał jej myśli. Zawsze

powtarzała, że brak wycucia smaku jest gorszy niż wszy. Bawiło go to stwierdzenie. Sam nie był taki surowy. Odebrał podejście dziennikarki jako nonszalancję, a to sprawiło, że krew krążyła w jego żyłach szybciej niż po wypiciu dobrego podwójnego espresso.

Jeszcze w trakcie popołudniowego spotkania z działem sprzedaży, zamiast sprawdzać słupki, odtwarzał moment, w którym Izabela pochyliła się nad biurkiem, żeby obejrzyć pod lupą diament. Oparła łokcie o blat, dekolt koszuli odsłonił jej rowek między piersiami. Geller fantazjował, że zrobiła to celowo. Wiedziała, że tego typu banalne sztuczki działają prawdopodobnie na każdego heteroseksualnego mężczyznę, od robotnika budowlanego po księcia Walii.

Jubiler zawsze powtarzał, że prawdziwy artysta patrzy na grudę węgla i widzi ukryty w środku diament. Projektuje go. Nadaje mu kształt. To sztuka – dostrzec blask w czymś, co nie ma praktycznie żadnej przejrzystości. Stanowi ledwie zapowiedź. Możliwość. Kto wie, czy nie bardziej ekscytującą niż gotowy, skończony klejnot. On właśnie tak patrzył na Izabelę.

– Jakub? – Usłyszał swoje imię, wypowiedziane chłodnym głosem Agaty. – Jesteś z nami? Pytałam, co sądzisz o nowym hasle reklamowym.

– Yyy... tak. Podoba mi się – odparł spokojnie, nie mając pojęcia, jak brzmiało.

Na szczęście Agata litościwie nie drażyła tej kwestii, tylko przeszła do dalszych punktów agendy. Widział jednak, że zerknęła na szkicownik, który wyjął podczas spotkania. Coraz rzadziej projektował biżuterię, tracił do tego serce i zwykle nie był zadowolony z efektów. Tym razem sam się zdziwił, że nakreślony niedbałymi kreskami rysunek wyszedł całkiem niezle. Zakuty w złoto różowy diament spoczywał na kobiecej szyi. Postać, którą naszkicował, miała twarz Izabeli.



### III

## Zaginięcie

Zdjęła ręcznik, którym owinęła się po wyjściu spod prysznica, i wytarła w niego włosy. Włączyła suszarkę i usiadła przy toalecie w sypialni. Trochę jej zajęło, zanim się zorientowała, że z łazienki dobiega męski głos, ale zignorowała go. Miała niewiele czasu, a nie chciała wychodzić na zewnątrz z mokrą głową.

- Mówiłeś coś? - zapytała w końcu.

- Źe chyba trzeba wymienić uszczelkę. Woda wycieka z kabiny...

- Chcesz się tym zająć? - Tak jak się spodziewała, jej pytanie zawisło w próżni.

Izabela usiadła przy toalecie i otworzyła pudełko z kolczykami. W świetle nocnej lampki błysnęły dwa pojedynczo oprawione w platynę brylanty na gwintowanych sztyftach. Schowała je i założyła etniczne nikielowane koła z czerwonymi koralikami. Umalowała się i wyjęła z szafy czarną sukienkę z dekoltem na plecach.

Jakub wyszedł wreszcie z łazienki. Był w spodniach i koszuli, ale bosy.

- Zorganizuję jakiegoś fachowca - stwierdził i pocałował ją w nagie ramię.

- Słucham?

- Niech wymieni uszczelkę, a najlepiej całą baterię, bo ma już swoje lata.

- Okej.

Włączył okrągły samojezdny odkurzacz, a dopiero potem zorientował się, że na jego szlaku leżą ciuchy Izabeli. Rzucił się na urządzenie, zanim połknęło koronkowe figi.

- Musisz teraz sprzątać? - zapytała rozbawiona.

- Lubię wracać do czystego domu.



Izabela podeszła do Jakuba i objęła go od tyłu.

– Pewnie i tak szybko znowu nabałaganię...

– Widocznie taki już mój los. Chodzić za tobą i układać twoje rzeczy.

– Myślałam, że to ja układam twoje.

– W takim razie świetnie się uzupełniamy. Gotowa?

Skinęła głową, ale Jakub spojrział na nią, jakby zamierzała wyjść nago.

Wrócił do sypialni, a Izabela czekała przy lustrze w przedpokoju. Na tyle długo, że zdążyła jeszcze wypolerować skórzane szpilki.

– Nie mogłem ich znaleźć. – Wrócił z wytłumaczeniem. Bez pytania wyjął z jej uszu etniczne kolczyki i włożył brylantowe sztyfty. – Będą lepiej pasowały.

– Naprawdę jesteś niemożliwy – zażartowała. – Nie wiem, jak ja w ogóle z tobą wytrzymuję.

– Może wytrzymasz chociaż do końca wieczoru?

– Spróbuję, ale niczego nie mogę obiecać.

Cmoknęła go w policzek.

– Jedziemy moim? – zapytała, gdy zeszli do garażu.

Jakub przytaknął. Był jednym z niewielu w kraju właścicieli oszałamiającego aston martina DB11, ale po mieście zwykle jeździli bordową mazdą, którą kupił dla Izabeli. Nie lubił niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi.

– Po co ci w ogóle takie wypasione auto? – zapytała.

– Wypasione... – westchnął Jakub. – Co to w ogóle za słowo?

– Dość stare. Było w młodzieżowym topie, kiedy ja byłam nastolatką, teraz pewnie mrozi.

– Co takiego?

– Drogi Jakubie, po cóż ci taki luksusowy, oszałamiający samochód, skoro nikt go nie widzi? – zapytała, zarzucając mu ręce na szyję i patrząc uwodzicielsko w oczy.

– Nie kupiłem go dla innych, tylko dla siebie – odparł i otworzył przed nią drzwi samochodu.

Nie zdziwiłaby się, gdyby był jednym z tych zbzikowanych kolesi, którzy w sekrecie przed światem trzymają w specjalnym pokoju swojego van Gogha czy innego Vermeera. Tak, zdecydowanie w przypadku Jakuba to byłyby Vermeer. Prawdopodobnie *Dziewczyna z perłą*. Izabela uśmiechnęła się pod nosem na tę myśl i usiadła za kierownicą.

- Dokąd?

W odpowiedzi Jakub wpisał adres w nawigację telefonu i zamocował urządzenie na uchwycie. Gdynia, Sienkiewicza. Niedaleko bulwaru Nadmorskiego. Może była tam jakaś nowa knajpa, o której Izabela nie słyszała. Dopiero gdy minęli urząd miasta, zorientowała się, że jadą w kierunku Kamiennej Góry. Jej zdziwienie rosło. Mijali kolejne modernistyczne kamienice. Nawigacja kazała jej się zatrzymać przy ostatniej z nich.

Wjechali do garażu podziemnego. Jakub pokierował Izabelę do windy i wcisnął drugi poziom. Ku jej zdziwieniu nie wysiedli na klatce schodowej, ale w środku penthouse'u. Wnętrze było luksusowe, choć pretensjonalne. Beżowe i brązowe marmury na podłogach w holu, na podwieszanym suficie kopia *Stworzenia Adama*. W salonie panele wenge i bardzo dziwny kominek elektryczny w kształcie płomienia. Przy olbrzymiej kuchennej wyspie stał szef kuchni w białym fartuchu i czepku.

- Dzień dobry, nazywam się Antonio - powitał ich z włoskim akcentem. - Przygotowałem dziś dla państwa frutti di mare z homarem, brązowym krabem, mulami i krewetkami lub ossobuco alla milanese z purée z topinamburu. Na deser mamy migdałowy flan lub czekoladowy fondant.

- A muszę wybierać? - zażartowała Izabela.

Kucharz spojrział speszony na Jakuba.

- Jeśli oboje wybierzemy frutti di mare i flan, to pozostałe potrawy pan wyrzuci? - drażnyła, wprawiając szefa kuchni w coraz większe zakłopotanie.

- Poprosimy wszystkiego po trochu. - Jakub nie był w nastroju na żarciki, a kucharz z ulgą wrócił na swoje stanowisko.

Przy nakrytym stole stał kelner. Odsunął krzesło i czekał, aż Izabela usiądzie. Podeszła najpierw do okna, z którego roztaczał się widok na niespokojne tego wieczoru morze i światła mariny.

- Nieźle - oceniła i usiadła na wyznaczonym miejscu.

Kelner zaprezentował Jakubowi wino, nalał odrobinę do jego kieliszka, a potem obsłużył również Izabelę.

- Ach, to twoje wybredne podniebienie - drażniła się z Jakubem.

Zwykle, kiedy jadali na mieście, co zdarzało się bardzo rzadko, znajdował jakieś powody do narzekania, nie zdziwiło jej więc, że i tym razem nie zaprosił jej do lokalu, tylko wyczarował jakiegoś Włocha. Nie byłaby specjalnie

zaskoczona, gdyby się okazało, że Jakub sprowadził kucharza z samego Neapolu tylko po to, żeby zjeść poprawnie ugotowany makaron.

- To twoje urodziny. Chciałem, żeby było wyjątkowo.

- Dziękuję.

- Nie jesteś zadowolona - stwierdził.

- Kiedy byliśmy z siostrą małe, w naszej rodzinie był taki zwyczaj: w urodziny mogłyśmy robić to, co chcemy.

Jakub przez chwilę naprawdę nie wiedział, co powiedzieć.

- No i wyszedłem na bezdusznego tyrana...

- To wspaniała niespodzianka. Mówię poważnie. - Uśmiechnęła się i posłała mu całusa przez stół.

- Może chociaż spodoba ci się drugi z moich prezentów urodzinowych dla ciebie.

Wyjął z kieszeni marynarki białe pudełko i podsunął je Izabeli. W środku znajdował się naszyjnik z oślepiającym, gigantycznym diamentem w kształcie serca.

- Jeden i dwanaście setnych karata, *flawless*, barwa D... - recytował z dumą Jakub.

Wiedziała, co to oznacza: nie tylko najlepszą jakościowo barwę kamienia, ale także jego wyjątkową przejrzystość. I oczywiście oszałamiającą cenę, którą musiał za niego zapłacić. Oczywiście Jakuba zaszły szklistą mgłą. Zastanawiała się, czy jego wzruszenie wynika z zachwyty nad urodą klejnotu, czy z samego faktu, że ofiarowuje Izabeli coś tak olśniewającego.

Dotknęła kamienia z nabożeństwem, którego Jakub z pewnością oczekiwał. Wcale nie musiała się zmuszać. Cały naszyjnik robił ogromne wrażenie - zakuty w białe złoto, otoczony mniejszymi brylantami.

- Trochę przypomina Hope.

- No wiesz! Nie podarowałbym ci takiego badziewia - zażartował Jakub.

Nawiązywał do złej sławy diamentu, który czasem nazywano przeklętym, ponieważ przynosił nieszczęście kolejnym właścicielom.

- Diamenty pozyskane w nieuczciwy sposób zawsze się mszczą - przypomniał. Słyszała od niego to zdanie wiele razy.

- Nieuczciwy, czyli na przykład jaki? Masz na myśli przemyt?

- Przemyt nie jest nieuczciwym sposobem - znowu zażartował. - To najuczciwszy i najczystszy diament, jaki udało mi się znaleźć...

- Jest obłądny. Brakuje mi słów. „Dziękuję” brzmi przy tym zupełnie pospolicie i bez sensu.

Przysunęła się i pocałowała Jakuba w usta.

- To zupełnie adekwatne i wystarczające podziękowanie - zapewnił. - Pomóc ci?

Izabela podniosła włosy, a Jakub założył klejnot na jej szyję. Poczowała chłód i ciężar diamentu na dekolcie.

- Można dostać od tego orgazmu. - Izabelę zaskoczyły własne słowa, ale również odczucia. Doznawała silnych emocji z powodu... kamienia. Co prawda ekstremalnie rzadkiego i drogiego. Pewnie był wart tyle ile posiadłość w Miami. Dziwnie było nosić na szyi coś takiego. Dziwnie, lubieżnie i bezczelnie. Czowała, że mogłaby wyjść na ulicę naga, ubrana tylko w ten naszyjnik, a mimo to budziłaby respekt i podziw.

- Skoro masz już trochę lepszy humor, to może chciałabyś obejrzeć cały apartament? - zapytał z ironicznym uśmiechem.

Z pozostałych okien penthouse'u rozciągał się równie spektakularny widok co z salonu. Najbardziej podobało jej się na dachu, gdzie urządzono taras.

- Jeśli chcesz, może być nasz - wypalił Jakub.

- Co takiego?

- Ten apartament. Pomyślałem, że moglibyśmy wreszcie razem zamieszkać.

- Yyy... Tutaj?

- Aż tak ci się nie podoba?

- Jejku... Niiiee... nie o to chodzi... Jest naprawdę... no wiesz, na bogato. I ten widok...

- Wiem, że te marmury, freski i wenge to jakaś, jak to mówisz, masakra. I jeszcze ten kominek. Wygląda jak... wrota do piekieł. - Jakub zaczął się śmiać. - Możemy to wszystko zerwać, skuć, urządzić po swojemu. Sama wybierzesz projektanta. Co ty na to?

Nadal stała jak wryta w posadzkę i zastanawiała się, co odpowiedzieć.

- To najlepszy prezent urodzinowy, jaki można sobie wymarzyć - wydusiła wreszcie.

- Naprawdę? - Jakub jakby nie dowierzał.

Pokiwała głową i przytuliła się do niego. Wiatr był coraz bardziej nachalny, ale Izabeli to nie przeszkadzało. Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Pachniało tak przyjemnie, morzem i wolnością. Nie miało w sobie

nic z kwaśnego fetoru, który ciągle była w stanie przywołać myślami. Gdyby rok temu ktoś jej powiedział, że będzie miała możliwość zamieszkania kilka kroków od plaży, nie uwierzyłaby.

– Skorzystam jeszcze z toalety, okej? Zaraz przyjdę – powiedziała, kiedy wrócili do środka.

Jakub poszedł do salonu, a Izabela zamknęła się w łazience. Rozejrzała się i znowu zachciało jej się śmiać. Wielgachne okno oklejono matową folią z powycinanymi wzorkami przypominającymi panterkę. Taki sam wzór widniał na pasie wściekle czerwonych płytek przecinających podłogę. Pomyślała, że trzeba to wszystko skuć.

Wyjęła z kieszeni kurtki telefon, który wibrował od dłuższego czasu. Miała nadzieję, że Jakub tego nie wyczuł. A przynajmniej, że nie będzie drażnył. Spojrzała na ekran i westchnęła. Osiem nieodebranych połączeń, trzy esemesy w rodzaju „Spotkajmy się”, a na końcu – „Pożalujesz tego”.

Posypany cukrem pudrem i ozdobiony zmiażdżonymi malinami fondant apetycznie wyrastał z kokilki. Jakub wbił w niego łyżeczkę i ze środka ciastka pocięła czekoladowa lawa. Była zimna. Podniósł do ust białą lnianą serwetkę i wypłuł deser.

Kelner podbiegł natychmiast. Zabrał serwetkę i talerzyki.

– Najmocniej przepraszam. To oczywiście mnie nie tłumaczy, ale myślałem, że państwo zaraz wrócą... – tłumaczył chłopak.

Jakub skinął głową. Podawanie sufletu, który nie był gorący, nie miało żadnego sensu. Podstawowe błędy w sztuce, popełniane przez ludzi, którzy powinni się na niej znać, zawsze go irytowały. Dziś już trochę mniej. Budziły raczej niezrozumienie. W zawodzie jubilera były niedopuszczalne, przynajmniej w opinii Jakuba Gellera. Wielu jego kolegów po fachu podpisywało się pod niemożliwymi glutami – jak nazywał nieudane projekty – i jeszcze brało za to pieniądze. Nie potrafił pojąć, dlaczego nie było im wstyd. We własnej firmie nie tolerował niedoróbek.

Owszem, cały apartament nadawał się tylko do remontu, i to kosztownego. Sam widok z okien i lokalizacja były jednak warte pieniędzy, których zażądali obecni właściciele. Jakub uśmiechnął się na wspomnienie dumy, z jaką

prezentowali mu beżowe marmury i freski. Brak gustu naprawdę jest gorszy niż wszy.

Izabela nie schodziła na dół, więc dla zabicia czasu sięgnęła po swój telefon. Na ekranie widniała ikonka z nieodczytaną wiadomością. To było zdjęcie. Nagich piersi, przykrytych jedynie kolia z kanarkowych diamentów. Ulubionych kamieni Agaty.

- Już jestem. - Usłyszał za plecami głos Izabeli, szybko wygasił ekran i odłożył telefon.

Krzysztof Kłosiński wydał mnóstwo pieniędzy na modyfikację części kaszubskiego jeziora, przy której mieścił się jego dom. I chodziło tylko o prace związane z wykopaniem pięciusetmetrowego kanału, usunięcie dna i trzciny z linii brzegowej oraz budowę przystani przy samej posiadłości. W lokalnych gazetach przez jakiś czas pisano, że odbyło się to bez wymaganych urzędowo zgód. Potem Kłosiński wykupił we wszystkich dziennikach całoroczną reklamę swojej firmy budowlanej i temat ucichł. Władze również nie komentowały sytuacji. W końcu były ważniejsze sprawy, takie jak choćby naprawa dróg czy wybudowanie ośrodka wodno-rekreacyjnego dla turystów. Rozwój wymagał pewnych poświęceń.

- A wędkarze już się nie ciskają? - zapytał Jakub, przeskakując z łodzi na drewniany pomost.

- Nie, już nie - odparł Krzysztof.

Miał inny problem. Ekolodzy złożyli zawiadomienie o dokonanych zniszczeniach w powiatowej komendzie policji w Kartuzach. Sytuację mógł nieco załagodzić fakt, że jednym z gości na dzisiejszej imprezie był prokurator rejonowy.

Krzysztof i jego żona Agnieszka kupili starą kaszubską chatę, odnowili ją i dobudowali do niej skrzydło. Starą stodołę przerobili na ogromny nowoczesny dom dla gości. Był oddzielony od chaty odkrytym basenem. Od zera postawili stajnię, a przyległe pastwisko zamienili w zadbany padok.

Jakub chciał wziąć prysznic i odświeżyć się przed planowanym grillem. Już z daleka dostrzegł kobiecą postać wyciągniętą na leżaku przy basenie, co trochę go zaskoczyło, bo impreza była zaplanowana jako typowo męska. Jego zdziwienie wzrosło, gdy wraz z malejącą odległością sylwetka zaczęła przybierać znajomą postać.

- Agata? - odezwał się, gdy zyskał pewność, że nie śni.

Biały whippet, który spał obok kobiety, poderwał się i zaczął obskakiwać Jakuba.

- Nie. Fatamorgana - odparła, nie wyjmując z ust słomki. Sączyła kolorowego drinka. Była topless. - *Ciao, amore* - powiedziała z przekąsem.

- Cześć, Lea. - Jakub ukucnął i przywitał się z psem, a następnie ponownie zwrócił się do Agaty. - Więc to tu się ukrywasz. A może chciałaś, żebym cię znalazł?

- Nie schlebiaj sobie. - Od tonu jej głosu spokojnie mogła zamarznąć woda w basenie.

- Nie muszę. Wystarczy, że ty to robisz.

- Pijesz do tego niewinnego nudesy, który przez pomyłkę trafił do ciebie?

Roześmiał się głośno, ale na twarzy Agaty nie drgnął nawet kącik ust.

- Agnieszka była tak cudowna, że pozwoliła mi tu zostać tak długo, jak mi się podoba. Odpocząć. Od tego wszystkiego - stwierdziła chłodno.

- Uhm... akurat tu, akurat w ten weekend.

- Nie martw się, nie będę wam przeszkadzać. Zaraz idę pojeździć. Aga pożyczyla mi swojego trenera. Były mistrz Polski w skokach. Piękny i gibki młody człowiek.

- Zatem przejazdka będzie z pewnością udana - skomentował Jakub.

- Jesteś chujem, wiesz? - powiedziała, na tyle głośno, że odruchowo obejrzał się za siebie, by sprawdzić, czy ktoś jej nie usłyszał. Nienawidził scen.

Agata ostentacyjnym ruchem ściągnęła ręcznik z leżaka i przechodząc obok Jakuba, trąciła go mocno łokciem. Kolejny absurdalny gest ponownie wprawił go w zakłopotanie, więc tylko nerwowo się zaśmiał. Pocierał bolesne miejsce i patrzył zdziwiony, jak Agata wraz z Leą odchodzi w stronę chaty. Jej duże piersi kołysały się na boki.

Przynajmniej nie nocowała w stodole, w przeciwieństwie do reszty ekipy. To byłaby już przesada. Znała Agnieszkę od dawna i przyjaźniła się z nią na tyle, by swobodnie przebywać w części przeznaczony dla najbliższych osób. Żona Krzysztofa od lat była wierną klientką salonu jubilerskiego Geller. Upodobała sobie szafiry. Jakub wynajdował dla niej rzadkie kamienie, często też z myślą o niej zlecał wykonanie biżuterii poza kolekcją.

Stał pod prysznicem i dziwił się, że Agnieszka pozwoliła Agacie przebywać w posiadłości właśnie w tym terminie. Przecież wiedziała, że męskie

majówkowe wypadki to już tradycja. Po chwili go olśniło. Krzysztof nie tak dawno zakończył kilkuletni romans. Otarło się o rozwód. Może Aga chciała wbić mu szpilkę, może obawiała się powtórek. Agata miała więc być wtyczką.

– Mogłeś mnie uprzedzić... – zagadnął Krzysztofa Jakub, kiedy wykąpany i przebrany zszedł do ogrodu.

Przyjaciół stał przy rozbudowanym kamiennym palenisku z piecem na pizzę, wędzarnią i częścią grillową. Na białą koszulkę polo i piaskowe szorty nałożył różowy fartuch z falbanką. Wyjmował unurzane w marynacie steki wołowe i równiutko układał je na chromowanym ruszcie.

– Ooo, już się spotkaliście – domyślił się. – Sorry, stary, nie miałem pojęcia. Dowiedziałem się dzisiaj, właściwie chwilę przed tobą. Zastałem Agatę w kuchni, jak gdyby nigdy nic robiła sobie kanapkę. Zadzwoiłem do Agi i dowiedziałem się, że to warunek naszego... to znaczy mojego wyjazdu. Przecież gdybym wiedział, pojechalibyśmy do Karpacza.

Agaty długo nie było. Wróciła po osiemnastej. Roześmiana, z napuszczonymi pod toczkiem włosami, w których Jakub dostrzegł źdźbła trawy. Miała zarumienione policzki, błyszczące oczy i rozchełstaną koszulę z krzywo zapiętymi guzikami. Albo faktycznie świetnie się bawiła, albo zadbała o pozory.

– Przepraszam, panowie, wezmę sobie tylko coś do picia i zaraz znikam! – Zalotnie lawirowała między mężczyznami w drodze do baru, na którym stały prawie wszystkie alkohole świata.

Uwadze Jakuba nie umknęło, że Dariusz Zawadzki, deweloper i jego stary znajomy, zawiesił wzrok na jej opiętych przez bryczesy pośladkach.

– Ależ w ogóle nam nie przeszkadzasz, prawda, Kubuś? – Dariusz spojrzął na jubilera.

Jakub wzruszył ramionami i wrócił do rozmowy z Krzysztofem. Kątem oka widział, jak Darek zbliża się do baru i pyta Agatę, czego się napije. Z napełnionymi szklankami oddalili się w kierunku przystani. Wrócili godzinę później w towarzystwie Lei, która wesoło biegała i szczełała. Za nimi do jeziora schodziło słońce.

– ...ale to nie chodzi o stopę zwrotu, Darek – tłumaczyła Agata, podchodząc do baru. – Nie możesz patrzeć na diamenty jak na akcje. Tu chodzi o zabezpieczenie twojej przyszłości. I twojej rodziny. Poza tym... w razie czego prędzej ja wyjadę z Unii z moimi diamentami niż ty ze swoim złotem.



Dariusz wziął jej szklanekę i ponownie napełnił ją lodem i tonikiem. Na koniec dodał plasterek cytryny.

– No dobra, to ile muszę mieć kasy na początek, żeby zainwestować? I ile mogę na tym zarobić, nie? – Mrugnął do Jakuba.

– Wiesz... im więcej dasz czasu kamieniowi, tym więcej dla ciebie zarobi – stwierdziła Agata.

– Czyli jak zwykle liczy się rozmiar – zaśmiał się oblesnie.

– Nie tylko. Wielkość, czystość, szlif, ale także rzadkość. Może nawet to przede wszystkim. Wszystko zależy od tego, ile chcesz przeznaczyć na budowę kolekcji.

– No, założmy, sto tysięcy! – Dariuszowi płątał się język.

– Złotych czy dolarów? – dopytała trzeźwo Agata.

– Nie no, nie żartuj... złotych! – parsknął.

– W takiej kwocie możemy ci znaleźć dwa doskonałej jakości kamienie, pół karata i karat.

– A za bańkę? – rozochocił się Darek.

– Za polską bańkę to Jakub wyszuka ci coś ekstra. Na przykład jednokaratowy *fancy intense pink*...

– Co?

– Intensywnie wysycony różowy diament. Na pewno będzie dla ciebie lepiej pracował niż to mieszkanie nad Motławą, za które koniecznie chcesz przepłacić. Cholera wie, kiedy i jak bardzo rynek się załamie. A wartość diamentu będzie tylko rosła. Zapytaj Jakuba. Kiedyś takiego okazji szukał kilka dni, dziś nawet pół roku.

– Dlaczego? – zainteresował się Dariusz.

– Bo różowych diamentów jest coraz mniej.

– Kurwunia. Ta bańka to trochę dużo... ale stowa... – rozważał Dariusz. – Dwa duże diamenty? To i tak będę musiał je trzymać w dobrym sejfie.

– W ciemności diamenty umierają. One potrzebują światła. Lepiej oprawić kamień, na przykład w pierścionku, i podarować żonie. Od razu będzie ci droższa. – Tym razem to Agata puściła do Jakuba oko. – Mamy takie maszyny, że możemy nawet wygrawerować w kamieniu jej imię. Pomyśl sobie... Taki diament czekał na was i tylko na was kilka miliardów lat... Zakuty w piękną biżuterię, już na zawsze pozostanie w twojej rodzinie pierścionkiem po babci Agnieszce.

- No dobra. Wyślij mi ofertę. Tę na polską bankę też - zdecydował.

- Jakub przygotowuje ci w przyszłym tygodniu. - Agata spojrzała na jubilerę chłodno i wycodziła: - Nie dziękuj.

- Nie ma już whisky? - Usłyszeli zawiedziony głos Darka. Stał z uniesioną w górę pustą szklanką i ze smutną miną.

- O, i skończył się lód. Zaraz przyniosę - zaoferował Krzysztof.

- Ja pójdę. I tak muszę siku - odezwała się Agata.

Darek odprowadził ją wzrokiem do drzwi chaty. Jakub mógł się założyć, że gdyby deweloper był w lepszym stanie, poszedłby za nią próbować swojego szczęścia.

Krzysztof odciągnął przyjaciela na bok.

- Słuchaj... Mam sprawę - zaczął. - Chciałbym wynagrodzić jakoś Adze, no wiesz, całą tę sytuację. Myślałem o jakichś kolczykach, może bransoletce...

- Oczywiście. Masz na myśli coś na specjalne zamówienie? Zaraz wchodzi nasza nowa kolekcja.

- Nie, to musi być unikat. Wiesz, jaka ona jest.

- Mhm... Wiem, że uwielbia szafiry, ale może... skoro to ma być symbol twojej miłości i otwarcie czegoś nowego między wami, to zastanów się nad diamentami.

- Tak, tak...

- Proponowałbym pierścionek z białej platyny, kamień z brylantowym szlifem. To zawsze robi wrażenie. Możemy ozdobić go mniejszymi szafirami.

- O! - Krzysztof wycelował w Jakuba palcem. - Świetny pomysł! A... zrobiłbyś mi takie dwa?

- Dwa? Masz na myśli oryginał i falsyfikat?

- Nie... Dwa takie same pierścionki. Diamenty i szafiry. Z dwiema różnymi grawerkami.

Do Jakuba powoli zaczęło docierać, co Krzysztof naprawdę ma na myśli.

- Myślałem, że skończyłeś tamtą historię.

- Ja też, stary, ja też... - Mężczyzna przejechał dłonią po cieniutkich, przerzedzonych włosach na czubku głowy.

Nie miał zamiaru rozwijać tematu, a Jakub nie zwykł drażnić. To były prywatne sprawy Krzysztofa, który mówił tyle, ile chciał, i Jakub to szanował, nie oceniał. Jakim byłby przyjacielem?

Kiedy wrócili do paleniska, Darek spał na leżaku z pustą szklanką w dłoni.

– No i gdzie ten lód? – zastanawiał się Krzysztof.

– Ja pójdę – zaoferował Jakub.

W kuchni było ciemno, ale zauważył zarys kobiecej postaci przy wyspie.

– Napijemy się? – zaproponowała Agata i wyciągnęła do niego szklankę z bursztynowym płynem. – Talisker. Twoja ulubiona.

– Czekać na mnie... – zaproponował Jakub.

– Ta twoja powściągliwość zaczyna mnie irytować. Nie możemy się po prostu dogadać jak ludzie?

– Bardzo chętnie. Zaczniemy od tego, że zdecydujesz, czy wracasz do pracy, czy mam szukać nowego dyrektora sprzedaży. – Jakub wziął szklankę i upił łyk whisky.

– Myślałam, że po tylu latach zasłużyłam na dłuższy urlop bez zbędnych tłumaczeń. – Agata sięgnęła po leżący na blacie nóż i ukroiła plasterek cytryny, który wrzuciła do swojej szklanki z rumem i colą. – Poza tym... nie chciałam rozmawiać o pracy, ale o tej... sytuacji. Ile to jeszcze będzie trwało?

– Co konkretnie, Agata?

– Ten sztywny hol. Przestaje mnie to bawić.

– Tłumaczyłem ci już...

Agata zrobiła krok i stanęła przodem do niego. Przysunęła się tak blisko, że poczuł jej wzdórki łonowy. Przygniatała go do wyspy. Objął ją delikatnie w pasie, co zinterpretowała jako sukces. Uśmiechnęła się i odchyliła głowę, ale Jakub ją odsunął. W dłoni nadal ścisnęła nóż.

– Czego ty nie rozumiesz? – Starał się zachować spokój. – Rozmawialiśmy. Mówiłaś, że rozumiesz i że przerwa to dobry pomysł.

– Jakub... – Agata nagle zmieniła ton na łagodniejszy, ale nadal była stanowcza. – Zakończ to. Teraz. I wróć do mnie. To koniec zabawy. Mówię serio.

Z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Naprawdę nie możesz uwierzyć, że to już nie jest zabawa?

Patrzyła na niego z wyczekiwaniem, ale Jakub nie zamierzał już nic dodawać. W Agacie najwyraźniej wezbrała fala złości.

– Doprowadzasz mnie do szału! – Jej krzyk był dziki, piskliwy.

Znowu na niego napała, tym razem ze złością, więc odsunął ją bardziej stanowczo. Agata z całej siły pchnęła go na wyspę; próbował się uchylić

i w rezultacie uderzył czołem w rant drewnianej obudowy okapu. Syknął z bólu. Kto wpadł na pomysł, żeby tak nisko umieścić to urządzenie? Ręka Jakuba powędrowała odruchowo do góry. Wyczuł rozcięcie i lepłą krew.

– Rozbiłaś mi głowę... – stwierdził, bardziej zaskoczony jej siłą, niż zły na tę reakcję.

Agata wzruszyła ramionami, rzuciła nóż na blat i wyszła z kuchni. W korytarzu minęła się z Krzysztofem.

– Wszystko w porządku? Słyszałem krzyki. Nie pozabijacie się u mnie w domu, co? – Kłosiński próbował być zabawny, ale na widok miny Agaty zamilkł.

– Powiedz swojemu koledze, żeby się, kurwa, ogarnął – syknęła i wyszła na zewnątrz.

Obudził się dopiero koło południa z okrutnym kacem, ściskającym jego czaszkę w obręczy bólu. Zdziwiło go to, bo poprzedniego wieczoru nie wypił zbyt wiele. Zresztą Jakub był znany ze swojego powściągliwego stosunku do alkoholu. Takie samopoczucie jak dziś praktycznie mu się nie zdarzało. Poszedł do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą. Dopiero teraz poczuł pulsowanie w przedramieniu. Było rozcięte, a wzdłuż rany zaschła krew. Nie miał pojęcia, jak do tego doszło. Ostatnie, co pamiętał, to konfrontacja z Agatą i krótka rozmowa z Krzysztofem. Potem kiepsko się poczuł – sądził, że to od uderzenia w głowę – i po prostu zaległ w swoim pokoju.

– Spałeś jak zabity – skomentował Krzysztof, kiedy Jakub doprowadził się do porządku i zszedł na dół. – Dzwoniłem do ciebie i pukałem do drzwi...

– Gdzie Agata?

– Myślałem, że może jest z tobą...

– Zwariowałeś?

– No to nie wiem. Nie widziałem jej. Pewnie poszła pojeździć.

Beata Popławska, gdańska radna, stała w grupie osób na środku Wielkiej Hali Dworu Artusa i opowiadała o czymś, żywo gestykułując. Na widok Jakuba Gellera podeszła do niego, wzięła go pod rękę i przyciągnęła do swojego towarzystwa. Izabela została sama. Udała, że podziwia rzeźbę Krakena.

- Oto i on. - Radna poklepała jubilera po ramieniu. - Panie Jakubie, właśnie opowiadałam, jak uratował mi pan życie...

- O, doprawdy? Bardzo chętnie przypisałbym sobie tę zasługę, ale niestety niczego takiego nie pamiętam.

- No mówiłam. Wspaniały i skromny! - zachwycała się Popławska. - Szybko pana wprowadzę, bo tu wszyscy czekają już na zakończenie. Słyszał pan pewnie o tym karambolu na obwodnicy w zeszłym tygodniu?

- Przepraszam, ja... rzadko zaglądam do internetu - odparł Jakub.

- Och, co za szczęśliwy człowiek - skomentowała radna. - Ile ja bym dała za taką możliwość. Ale wracając do tematu. Obwodnica, ciemno, ślisko, jakiś wariat wyprzedzał slalomem. Karambol na dziesięć aut, jedno wjeżdżało w drugie, potworny huk, panie Jakubie, koszmar! Trzy ofiary śmiertelne, pięć osób w szpitalu, pan sobie wyobraża? A mnie tylko kilka razy obróciło i nic! Jako jedyna wyszłam z tego całkowicie bez szwanku, nawet ryski na zderzaku. Policjanci i strażacy nie mogli uwierzyć... Ja nie mogłam uwierzyć! I wie pan co? - Zawiesiła głos. - Zrozumiałam wszystko, kiedy dotarłam do domu.

- Ach tak? - podchwycił Jakub.

- Tak! Bo przecież ja wracałam do domu prosto od pana! Godzinę wcześniej odebrałam kupiony u pana Jakuba diament - wyjaśniła zebrany Popławska. - Nawet pomogłam mi pan założyć go na szyję - dodała kokieteryjnie.

- Rzeczywiście. Pamiętam.

- Więc jak dojechałam do domu po tym strasznym wypadku, nadal nie mogłam się uspokoić. I tak chodziłam po kuchni, w tę i w tę, chodziłam i odruchowo złapałam się za szyję. I wtedy zrozumiałam. Diament uratował mi życie!

- W takim razie jestem niezmiernie uradowany, że nic się pani nie stało. Powiem jednak szczerze, że ta historia zupełnie mnie nie zaskakuje. Zawsze powtarzam, że każdy powinien nosić swój diament na szczęście.

- Otóż to! - zawołała radna i znowu zwróciła się do swoich słuchaczy. - Po koncercie marsz do salonu pana Gellera po diamenty. Odpali mi pan jakąś prowizję, prawda? - Szturchnęła jubilera łokciem w bok.

- Co najmniej dwadzieścia procent. Przepraszam... - Jakub uklonił się i wrócił do Izabeli.

W powietrzu nad widownią unosiła się czternastometrowa rzeźba Krakena, podwieszona do sklepienia Wielkiej Hali. Mityczny potwór miał być postrachem marynarzy. Izabela pomyślała, że umieszczenie go w tym miejscu, obecnie pełnym najbardziej prominentnych osób w mieście, to zabawny pomysł. Wyglądało to jak groźba, przekaz – Mieście się na baczności! – choć zamierzenie artysty pewnie było inne. Widownia zapełniła się po brzegi, ale na Jakuba i Izabelę czekało miejsce w pierwszym rzędzie. Jakub interesował się trochę muzyką dawną i był ciekaw występu barokowej orkiestry, która grała sonaty Carla Philippa Emanuela Bacha, syna Johanna Sebastiana. Ciekawe było zwłaszcza to, że skrzypkowie posługiwali się techniką *pizzicato*, polegającą na szarpaniu cienkich jelitowych strun palcami zamiast smyczkiem.

Jakub zdążył odpłynąć, gdy nagle naprężona struna pękła i wystrzeliła prosto w prawe oko pierwszego skrzypka. Mężczyzna zrobił się purpurowy na twarzy, ale ani drgnął. Jakub miał wrażenie, że wszyscy słuchacze wstrzymali oddech. Z pewnością nikt nie miałby pretensji, gdyby kwartet przerwał koncert. Mężczyzna grał jednak jak zahipnotyzowany na trzech pozostałych strunach. Jakub był niezwykle poruszony jego determinacją i czuł takie napięcie, jakby obserwował bolid Formuły 1 zmierzający do mety z przebitą oponą. Do końca etudy nie zdarzył się już żaden wypadek. Dopiero gdy wybrzmiały ostatnie dźwięki, skrzypek opuścił Wielką Halę.

– Pan Geller?

Jakub drgnął na dźwięk obcego męskiego głosu. Odwrócił się. Stało za nim dwóch mężczyzn, znacznie odstających wyglądem od eleganckich gości koncertu. Wyższy miał aparycję typowego bandziora, łysą głowę i mrok w oczach.

– Komisarz Bednar, a to aspirant sztabowy Gawlik – odezwał się bandzior, po czym obaj wyciągnęli legitymacje.

Jakub odetchnął. Policja czasem prosiła go o ekspertyzę w sprawie sprzedaży fałszywek albo kradzieży kamieni.

– Jak mogę panom pomóc? Jeśli jakiś nieszczęśnik kupił szkło, to może uda nam się porozmawiać o tym jutro? Jesteśmy w trakcie bardzo rzadkiego wydarzenia... – Jakub wskazał dłonią scenę.

– Kiedy ostatnio widział pan swoją żonę? – Bednar nie bawił się w długie wstępy.

Jubiler wstał i wskazał policjantom wyjście. Nienawidził scen, a ci dwaj właśnie robili przedstawienie na oczach jego klientów, partnerów biznesowych i znajomych. Nie wspominając o Izabeli, która wyszła za nimi i teraz z oddali przysłuchiwała się rozmowie.

– Jesteśmy w separacji – wyjaśnił Jakub.

– Ale formalnie pani Agata Geller nadal jest pana żoną, tak? – dopytał Bednar, który wpatrywał się teraz w opatrzone rozcięcie na czole jubilera.

– Tak. Formalnie tak.

– To powie nam pan, kiedy ostatnio rozmawialiście?

– Mhm... Dwa dni temu u naszych przyjaciół w Tuchomiu. Czy dowiem się, skąd to najście?

– Nie mieszkają państwo razem? – Bednar znowu zignorował pytanie Jakuba.

– Pomieszkujemy.

– Co to znaczy?

– Agata mieszka na dole, ja na górze.

O posadzkę głośno zastukały damskie szpilki. Jakub nie musiał się nawet odwracać. Wiedział, że Izabela właśnie opuściła salę.

– Więc jak to możliwe, że nie widzieliście się przez dwa dni? – zainteresował się Gawlik.

– Był pan kiedyś w separacji? – zapytał coraz bardziej zdenerwowany Jakub. – Po prostu... mijamy się. Ja spędzam dużo czasu w pracy i poza domem.

– Ostatnie dwie noce spędził pan w domu?

– *De facto* nie. Zostałem w Tuchomiu. Przedłużyłem sobie weekend.

– Rozumiem. – Bednar pokiwał głową. – Ale ma pan klucze do waszego domu w Otominie i w zasadzie może pan sobie wchodzić i wychodzić, kiedy chce?

– Proszę wybaczyć, ale obawiam się, że nie odpowiem na żadne kolejne pytanie, jeśli nie dowiem się, o co chodzi. Czy Agacie stało się coś złego?

– Miejmy nadzieję, że nie – stwierdził Bednar. – Na razie jej szukamy. Pan nie zauważył, że żona zniknęła?

– Jak już mówiłem, planujemy rozwód i rzadko rozmawiamy. Widziałem ją dwa dni temu w świetnym zdrowiu, więc nie miałem powodu się martwić. I co to właściwie znaczy, że zniknęła? Skąd panowie mogą to wiedzieć?

- Skontaktowała się z nami pani Agnieszka Kłosińska. To, zdaje się, w jej domu spędzali państwo weekend?

- Tak... to znaczy w Tuchomiu mają jeden z domów. Na stałe mieszkają w Sopocie. I nie spędzaliśmy tam żadnego weekendu – sprostował Jakub. – Nie w tym sensie.

- Pana żona była wczoraj umówiona z panią Kłosińską, ale się nie zjawiła. Nie odbiera także telefonów ani nie odpowiada na wiadomości.

- To chyba trochę za mało, żeby uznać kogoś za zaginionego – powiedział chłodno Jakub. – Agnieszka lubi przesadzać, a Agata... no cóż. Zdarza jej się wyjechać bez konsultacji z kimkolwiek. Jest bardzo niezależna. Nie mam wątpliwości, że wkrótce się odezwie.

Jakub odwrócił się w stronę sali, do której po przerwie wracali muzycy. W jego odczuciu rozmowa z funkcjonariuszami była zakończona.

- Ma pan rację. – Bednar zatrzymał jubilera, który wyciągnął dłoń na pożegnanie. – To za mało, żeby uznać kogoś za zaginionego, dlatego dla pewności chcielibyśmy zajrzeć do państwa domu...

- Wysłaliśmy tam rano dzielnicowego, ale nikogo nie zastał – wyjaśnił Gawlik i dodał z naciskiem: – Pana również.

- Dobrze. – Jakub był coraz bardziej zdenerwowany. – Zapraszam jutro rano. Będę czekał na panów o dziewiątej.

- Panie Geller... – Bednar cmoknął. – Pan nas chyba nie rozumie. Mamy uzasadnione podejrzenie, że życie lub zdrowie pana żony jest zagrożone, więc możemy wejść do jej domu natychmiast, czy nas pan tam wpuści, czy nie. Ale przecież nie o to chodzi, prawda?

Jakub potarł dłonią brodę, co było u niego oznaką stanu najwyższej irytacji. Z Wielkiej Hali dobiegały dźwięki kolejnego utworu. Czekał rok, żeby usłyszeć go na żywo w wykonaniu hiszpańskiego kwartetu.

- Proszę poczekać. Powiem tylko komuś, że muszę wyjść.

Dom, w którym Jakub zamieszkał z Agatą dwadzieścia lat temu, stał nad Jeziorem Otomińskim. Działka była na tyle duża, że nadal można było poczuć się tu jak na odludziu, mimo że w okolicy co chwilę wyrastały nowe posiadłości. Ta należąca do Gellerów została zaprojektowana w stylu prowansalskim i wciąż mocno się wyróżniała, według Jakuba w niekorzystnym znaczeniu. Kamienna elewacja, turkusowe okiennice, a nawet imponujących rozmiarów różowa



wisteria porastająca ściany wydawały mu się coraz bardziej pretensjonalne. Teraz marzył o czymś znacznie prostszym, wręcz minimalistycznym.

Wcisnął przycisk na pilocie, masywna drewniana brama drgnęła i odsłoniła podjazd. Bednar i Gawlik wjechali za nim. Na szczęście poruszali się nieoznakowaną kią, więc ich wizyta nie powinna zwrócić uwagi sąsiadów. Ostatnie, czego Jakub potrzebował w życiu, to plotki. Poczekał, aż brama przesunie się z powrotem i odgrodzi ich od niepożądanych spojrzeń.

Żeby dostać się do domu, należało wbić kod, ale Jakub szybko się zorientował, że alarm był wyłączony. To mogło oznaczać tylko jedno: Agata była w środku, i to raczej nie sama. Zadzwoił do drzwi. Nikt się nie zjawił.

– Panowie pozwolą, że spróbuję jeszcze zatelefonować. Nie chciałbym zastać Agaty w jakiejś niezręcznej sytuacji.

Bednar skinął głową, więc Jakub odczekał kilka sygnałów. W końcu wyjął klucze. One również okazały się niepotrzebne – willa stała otworem.

– Agata?! – zawołał Jakub, kiedy weszli do holu. – Agata!

– Może pan zapalić światło? – poprosił Bednar. – Poza tym proszę niczego nie dotykać.

Geller wzruszył ramionami. Przecież w tym domu było pełno jego odcisków palców i innych śladów DNA. Z wyłożonego kamieniem holu przeszli do rustykalnej kuchni. Kiedy ją urządzali, za same meble zapłacili ówczesną równowartość małej kawalerki. Jakub chciał zatrudnić lokalnego stolarza, ale Agata uparła się, że to musi być Scavolini.

Aspirant Gawlik zatrzymał się przy kredensie i wpatrywał w bielone drewno. Ich przyjaciele też tak kiedyś robili, gdy weszli tu pierwszy raz i chcieli sprawdzić, czy małeńkie dziurki to naprawdę tylko kosztowna imitacja działalności korników. Było dość jasno, ale detektyw wyjął latarkę i zaczął nią świecić na fronty i błaty pod różnymi kątami. Dopiero po chwili Geller zorientował się, że policjant wcale nie podziwia kunsztu włoskich majstrów. Szukał czegoś innego. Wskazówek. Śladów. Może krwi.

– Zauważył pan coś nietypowego? – zapytał Bednar.

– Nietypowego? – Jakub omiółł wzrokiem kuchnię, jadalnię i znajdujący się za nią salon, do którego schodziło się po trzech stopniach. – Trudno mi stwierdzić. Od dawna nie czuję się tu u siebie, rzadko schodzę do tej części domu. U góry mam wszystko, czego mi trzeba.

– Może jednak rzuciło się panu w oczy coś szczególnego...

- Nie ma psa. Lei. Agata pewnie zabrała ją ze sobą. Poza tym nawet jak na nią panuje tu dość spory... rozgardiasz.

Bednar widział w swojej karierze tak zapuszczone domy, również te bardzo bogate, że bajzel u Gellerów nie robił na nim większego wrażenia. Umiał jednak odróżnić zwykły bałagan od kipisu, który zostawiali po sobie włamywacze, więc tę opcję szybko odrzucił.

- Nie mają państwo nikogo do sprzątania?

- Mamy. Tym bardziej mnie to dziwi. Pani Jadwiga mieszka w Otominie i od wielu lat przychodzi do nas raz w tygodniu. Może zachorowała albo wypadła jej jakaś sprawa rodzinna.

- Ma pan jej numer telefonu? Adres?

- Oczywiście.

- To jakiś kamień szlachetny? - dobiegł z łazienki głos Gawlika. Policjant przesuwając dłonią w białej rękawiczce po ścianie wyłożonej jasnozielonymi kryształami.

Bednar zgromił go wzrokiem, więc funkcjonariusz cofnął rękę.

- Pólszlachetny. Amazonit indyjski - wyjaśnił Geller.

Dekoracyjne płyty z amazonitów, agatów, onyksów czy lapis-lazuli stawały się w ostatnim czasie modne, ale piętnaście lat temu w Polsce nikt nawet o nich nie śnił. Nikt oprócz Jakuba.

Na piętrze, nad garażem, znajdował się osobny apartament z salonikiem, sypialnią, łazienką i aneksem kuchennym. Agata i Jakub urządzili go z myślą o wizytach gości. Zanim kupili do niego meble, tapety i bibeloty, długo omawiali każdy szczegół. Ostateczną decyzję podejmowała Agata. Nalegała na przepastne łóżko pokryte kremową włoską skórą i na ręcznie tkany dywan z mieszanki połyskującej wełny i jedwabiu.

Bednar pomyślał, że całe jego mieszkanie było mniejsze i mniej warte niż ten apartament.

- Ktoś tu mieszka? - zapytał policjant.

W odróżnieniu od pozostałej części domu w apartamencie było schludnie i czysto. Pozostawione w łazience kosmetyki, książka na szafce nocnej i buty w sypialni świadczyły jednak o tym, że ktoś użytkował tę przestrzeń.

- Tak, ja. Ale... jak wspomniałem, rzadko.

- Jakie dziwne biurko... - stwierdził Gawlik na widok mebla stojącego w rogu salonu.

- To mój stół jubilerski - odparł Jakub.

Bednar podszedł do mebla i zaczął otwierać kolejne szufladki. Jakub znów poczuł rosnącą irytację.

W ścianie naprzeciwko łóżka zamontowano poziome lustro. Kiedy policjanci przeszli do łazienki, zorientowali się, że widać z niej to, co dzieje się w sypialni. Wymienili się znaczącymi spojrzeciami. Ludzie wpadali na różne niecodzienne pomysły, kiedy już nie mieli co robić z pieniędzmi, a to nie była najdziwniejsza rzecz, jaką widzieli.

- Gdzie jest rejestrator? - zapytał Bednar. Jego uwadze nie uszły kamery zamontowane na obu rogach willi. W środku pewnie też było kilka. - Mają państwo monitoring, prawda?

Jakubowi coraz bardziej przestawało się podobać ich wścibstwo.

- Proszę mnie źle nie zrozumieć... - zaczął. - Wiem, że panowie wykonują swoją pracę. Jak się domyślam, naczelnik naciskał na tę wizytę. - Jakub po raz pierwszy dostrzegł na twarzy Bednara zmieszanie, a to oznaczało, że trafił. Tak jak podejrzewał, sprawczynią całej tej afery była Agnieszka, która nieraz chwaliła się znajomością z naczelnikiem. Pewnie oderwał policjantów od pilnej roboty i zmusił ich do szukania wiatru w polu. - Jeśli mogę być z panami zupełnie szczerzy... jestem przekonany, że moja wkrótce była małżonka siedzi w tym momencie na Mauritiusie tudzież Zanzibarze, wciera w ciało olejek do opalania i zamawia kolejną piña coladę. W kilku słowach: ma się świetnie, podczas gdy my doszukujemy się tu nie wiadomo czego.

- To gdzie ten rejestrator? - Bednar zignorował wywód jubilera, choć wciąż wyglądał na zmieszanego.

Geller, chcąc nie chcąc, zaprowadził ich do sypialni. W środku panował jeszcze większy bałagan niż w pozostałych pomieszczeniach. Wyglądało to tak, jakby ktoś próbował spakować się na wyjazd, wyrzucając na podłogę zawartość szafy. Łóżko i marmurowa posadzka były zasłane damskimi ubraniami, butami i dodatkami. To mogło potwierdzać wersję jubilera o nagłym wyjeździe żony.

- Dziwne... - stwierdził Geller. - Kamery są wyłączone.

- Mhm - mruknął Bednar. - To system SSWIN, tak? W takim razie agencja ochrony dostaje powiadomienia o takich zmianach i powinna się z państwem natychmiast skontaktować.

Geller był zdezorientowany.

- Tak... Ale odkąd się wyprowadziłem, Agata jest pierwszą osobą na liście.

- Sprawdź to - polecił komisarz Gawlikowi. Zostawił jubilera w sypialni i zniknął w garderobie. - Co tu się stało?

Jakub podążył za głosem Bednara. Lustro w przesuwanych drzwiach jednej z szaf było rozbite. Jakby ktoś uderzył w nie pięścią albo innym twardym przedmiotem.

- Nie widziałem tego wcześniej. - W jego głosie słychać było zaskoczenie.

- Ile wzrostu ma pana żona?

- Metr siedemdziesiąt.

Rozprysk znajdował się dokładnie na tej wysokości. Bednar zbliżył się do tafli i po chwili wyciągnął spomiędzy rozbitych kawałków kilka długich rudych włosów. Niewielkie ślady krwi na odłamkach lustra były ledwo widoczne, ale nie do pomylenia z czymś innym.

- No dobra, potrzebujemy technika i dochodzeniowca. - Komisarz skinął na Gawlika. - Właściwie co się panu stało w głowę? - zapytał Jakuba.

Geller patrzył na niego w milczeniu. Powoli docierało do niego, że zbliża się moment, w którym powinien odmówić odpowiedzi na pytania lub przynajmniej zadzwonić po swojego adwokata. Na razie odwlekał tę decyzję.

Kiedy czekali na resztę ekipy, aspirant zaproponował, by Jakub sprawdził, czy nie zginęło nic cennego. Nie odstępował go na krok. Poszli za nim do sypialni. Ze skrytki w szafie jubiler wyjął szkatułkę, w której Agata trzymała najczęściej noszoną biżuterię. Stwierdził, że brakuje kilku jej ulubionych pierścionków, kolczyków i wysadzanej diamentami certiny, jednak to jeszcze o niczym nie świadczyło. Mogła je przełożyć, ukryć w innym miejscu lub po prostu zabrać ze sobą.

Następnie zaprowadził ich do biblioteki, gdzie za nowoczesnym obrazem, przedstawiającym różnokolorowe kleksy, znajdował się sejf. Bednar pomyślał, że Gellerowie specjalnie się nie wysilili, żeby ukryć swoje kosztowności. Gdyby był złodziejem, szukałby właśnie tam.

- Wszystko jest na swoim miejscu - stwierdził Geller, prezentując policjantom zawartość sejfu, która obejmowała kilkanaście kompletów biżuterii.

Pół godziny później pod dom w Otominie podjechał kolejny radiowóz. Pierwszy z funkcjonariuszy od razu przeszedł do garderoby. Drugi przedstawił się Gellerowi jako podkomisarz Rudzki.

- Przesłuchamy pana w sto osiemdziesiąt trzy - stwierdził Bednar.

Jakub nie był do końca był pewien, czy ta informacja jest skierowana do niego, czy do przybyłego policjanta.

- Może pan odmówić zeznań, jeśli narażają pana na odpowiedzialność karną – pospieszył z wyjaśnieniem Rudzki.

- Panowie... – zaczął Geller. – Ja nie mam pojęcia, co tu się wydarzyło, nie było mnie tu od kilku dni, a do sypialni nie wchodziłem od miesiąca, może dłużej.

Uwadze komisarza Bednara nie umknął zmieniony ton głosu i wyraz twarzy jubilera. Wcześniej zachowywał się jak zblazowany i bardzo pewny siebie dupek. Jeśli był poirytowany, to tylko faktem, że wizyta policjantów psuje mu jego zaplanowany burżujski wieczór, który miał spędzić na słuchaniu nikomu nieznaney muzyki i jedzeniu kawioru. Tak przynajmniej widział to Bednar. Dopiero teraz Geller pokazał odruchy zwykłego człowieka. Był speszony i autentycznie zdenerwowany sytuacją. Jak każdy, komu zaczynało się palić koło dupy.

- Kiedy ostatnio widział pan żonę... Agatę Geller, tak? – Rudzki zerknął na Bednara.

- Już mówiłem, trzy dni temu, na imprezie u znajomych w Tuchomiu. – Geller po raz kolejny opowiedział, jak przebiegło ich spotkanie.

- Żona wróciła do Gdańska w niedzielę rano, tak? Sama czy ją pan odwiózł?

- Nie... to znaczy tak. Mam na myśli, że prawdopodobnie wróciła w niedzielę, ale chyba sama. Nie odwoziłem jej.

- Chyba? – podchwycił Bednar.

- Panowie... w sobotę trochę przesadziłem z alkoholem. Zwykle mało piję, więc ścięło mnie, nie wiem kiedy. Poszedłem spać, a kiedy obudziłem się koło południa, Agaty już nie było.

- Wypisz nam pan nazwiska osób, które bawiły się na imprezie. – Bednar podsunał jubilerowi notes.

- Obudził się pan koło południa i...? – pospieszył Rudzki.

- Zjadłem śniadanie, porozmawiałem z Krzysztofem... Kłosińskim i wróciłem do domu.

- Tutaj? – doprecyzował podinspektor.

- Nie – odparł spokojnie Geller. – Jak już mówiłem, bywam tu rzadko. Wynajmuję mieszkanie na Wałowej.

- Ale ma pan klucze do domu i w zasadzie w ciągu trzech dni mógł pan tu przyjechać, i to wielokrotnie – stwierdził Bednar.

- Miałem dużo pracy i spotkań... zresztą moi pracownicy to potwierdzą. W firmie mam monitoring, udostępnię panom...

- Taak, a w nocy? Ma pan też kamerę w sypialni? – cisnął Bednar.

- Nie mieszkam sam. – Jakub wiedział, że w zaistniałej sytuacji ta informacja prędzej czy później musi się pojawić.

Bednar wymienił z Rudzkim porozumiewawcze spojrzenia.

- Czy ta osoba potwierdzi, że nie opuszczał pan w nocy mieszkania?

- Oczywiście. – Geller posłusznie zapisał w notesie nazwisko Izabeli i jej numer telefonu.

Bednar spojrział na podaną mu kartkę. Izabela Trzos. Kojarzył to nazwisko. Należało do policjanta, który odszedł na emeryturę miesiąc po tym, jak Bednara przyjęto do pracy. Przez wiele lat krążyły anegdotki o sierżancie Trzosie. Podobno straszna była z niego melepetka. Kiedyś ganiał słynnego gdańskiego gangusa po cmentarzu i wpadł do świeżo wykopanego grobu. Trzeba było go wyciągać w trakcie trwającego pogrzebu. Innym razem zawisł na ogrodzeniu. No nie miał predyspozycji fizycznych, choć podobno rozkminianie szło mu znacznie lepiej. Nazwisko niby rzadkie, ale zbieżność mogła być przypadkowa.

- To pana... – Bednar czekał, aż jubiler sam dokończy zdanie.

- Moja partnerka – stwierdził szybko Jakub.

- Partnerka... – dopisał Bednar.

- Pani Geller wiedziała o tej partnerce? – dopytał Rudzki.

- Oczywiście. – Jakub uznał, że na tę chwilę to wystarczy za całe wyjaśnienie. I tak rozmawiał z nimi z dobrej woli.

Rudzki i Bednar maglowali go jeszcze przez dwie godziny. Interesowała ich jego znajomość z Izabelą, ale również ostatnie trzy dni. Co chwilę powtarzali pytania, pewnie licząc na to, że przyłapią go na jakiejś pomyłce. Odpowiadał jednak spójnie, krótko i rzeczowo. Izabelę poznał osiem miesięcy temu, podczas wywiadu. Potem kontaktowali się służbowo. Była bystra, więc zaproponował jej pracę PR managera. Jego małżeństwo już wtedy przeżywało kryzys, decyzja o rozstaniu była wspólna.

- Potrzebna nam będzie bielizna pani Geller – poinformował w pewnym momencie Rudzki. – Do pobrania materiału.

Wrócili do sypialni, w której technicy wciąż zbierali odciski z przedmiotów pokrytych argentorem. Jakub wskazał szufladę, w której Agata trzymała majtki. Technik schował je do plastikowej torebki. Następnie pobrał wymaz z ust jubilera. Sfotografowano ranę na jego czole oraz przedramieniu.

Geller słyszał, jak Bednar i Gawlik posługują się fachowymi terminami i równoważnikami zdań, z których próbował złożyć jakąś całość. Świecenie luminolem, WTO, stacje logowania. Zrozumiał, że jak na razie nie znaleziono śladów krwi, oprócz tych na rozbitym lustrze. Funkcjonariusze chcieli też namierzyć komórkę Agaty.

– Są tu jeszcze jakieś pomieszczenia? – zapytał Bednar, gdy obeszlą cały dom.

– W piwnicy jest spiżarnia, pralnia i pomieszczenie gospodarcze.

Po zejściu na dół uderzył ich silny zapach świeżo wypranych tkanin. Pralka i suszarka były puste. Na półkach stały detergenty. Jeden z rogów pomieszczenia zajmował głęboki brodzik bez kabiny prysznicowej, obok była umywalka.

– Tu też trzeba będzie poświecić – zadecydował Bednar.

Kiedy wrócili na górę, Rudzki wziął od Gellera adres gospośi. Wypytał także o sąsiadów, którzy mogli mieć monitoring.

– Mamy BTS-y. – Gawlik wziął Bednara na stronę. – Ostatnie logowanie w niedzielę, z domu. Od tego czasu cisza.

– A więc pani Geller nigdzie nie wyjechała... Dobra, niech namierzą ten telefon. Może leży gdzieś obok niej.

Izabela siedziała przy kuchennym stole i wpatrywała się w kieliszek, który od razu po powrocie do domu napełniła winem. Usłyszała dźwięk przekręcanego klucza w zamku.

– Jestem – poinformował Jakub, ale nawet na niego nie spojrzała.

Mężczyzna wszedł do łazienki i zgodnie ze swoim rytuałem dokładnie wyszorował ręce. Na ustach Izabeli wykwitł ironiczny uśmiech. Nawet w takiej chwili najważniejsza była jego nerwica natręctw.

Jakub wyszedł, omiótł spojrzeniem stół i sięgnął do szafki po drugi kieliszek. Napełnił go winem i zachowując zasady degustacji, upił mały łyk, po czym przytrzymał go w ustach.

– To jakiś obłąd – zaczął. – Znaleźli rozbite lustro, włosy Agaty i zrobiło się z tego wielkie dochodzenie. Cały dom jest pokryty proszkiem... przesłuchiwali

mnie, pobrali próbki, grzebali w naszych rzeczach...

- Pomieszkujesz z Agatą?

- Iza... Jestem potwornie zmęczony, mówię ci, że zamienili mój dom w miejsce domniemanej zbrodni, a ty mnie pytasz o coś takiego?

- Spędziłeś z nią zeszły weekend?

- Nie spędziłem z nią żadnego weekendu. Jeśli nie wierzysz, to zapytaj Krzysztofa. Przyjechaliśmy, a ona po prostu tam była.

- Przyjechała za tobą. Albo z tobą, skoro już sobie razem mieszkanie. Wspólne noce, wspólne weekendy... Obiady do pracy też ci szykuje?

- Iza, przecież i tak większość czasu spędzam tutaj. Doskonale o tym wiesz.

- Mówiłeś, że się wyprowadziła.

- Tak mi obiecała. Twierdziła, że nie chce zostać w tamtym domu, że za dużo jej o nas przypomina. Nie tak łatwo opuścić nagle miejsce, w którym spędziło się piętnaście lat życia.

- Ja pierdołę, nie o to chodzi! - Izabela wstała i podeszła do okna. - Skłamałeś, rozumiesz? Po co mi to powiedziałeś?

- Dobrze. Skłamałem. Powiedziałem to dzień po rozmowie, w której Agata zadeklarowała, że w ciągu tygodnia się wyprowadzi. Poniosło mnie, to moja jedyna wina. Chyba nie wątpisz w moje dobre intencje?

Jakub wstał i próbował objąć Izabelę od tyłu, ale wyslizgnęła się z jego ramion i wróciła na krzesło. Wzięła do ręki kieliszek z nieupitym nawet winem i zaczęła obracać nóżkę w palcach.

- I tak ledwo ją widywałem. Po co byłoby to wszystko? Myślisz, że dla mnie to jest wygodna sytuacja? Marzę o tym, żeby sprzedać tamtą chawirę, rozwieść się i wreszcie zacząć od nowa.

- A jeśli ona ci na to nie pozwoli?

Jakub milczał.

- Rozmawialiście w ogóle o rozwodzie?

- Muszę to przeprowadzić na spokojnie...

- Kurwa... zdajesz sobie sprawę z tego, że mówisz jak typowy biedny miś, który wciska kit kochance? Poczekaj jeszcze pół roku, jeszcze rok... aż dzieci zdadzą maturę...

- Na szczęście nie mamy dzieci.



- Ale macie swoje tajemnice, prawda? Takie, które łączą bardziej niż bąbelki i kredyty.

- Wszyscy moi znajomi o tobie wiedzą, czego jeszcze chcesz? Pokazuję się z tobą publicznie...

- I nigdy mnie nie dotykasz, nie przedstawiasz jako swojej kobiety, tylko PR managera.

- Nigdy w życiu nie byłem bardziej pewny, że chcę odejść od Agaty. - Głos Jakuba był spokojny i zrównoważony.

- Obawiam się, że tu nie do końca chodzi o to, czego ty chcesz.

- Po co obiecywałbym ci wspólną przyszłość? I pokazywał dom na Kamiennej Górze?

- Żeby zamydlić mi oczy? Zatrzymać mnie? Powiedziałeś Agacie, że chcesz kupić ten dom?

- Przecież to nie jej sprawa.

- Zadałam ci proste pytanie. Czy jej o tym powiedziałeś?

- Nie.

Izabela zaśmiała się, zabrała kieliszek ze stołu i wylała jego zawartość do zlewu.

- Pewnie policja będzie do ciebie dzwonić - powiedział, ale Izabela zdążyła już zamknąć drzwi do sypialni.

W nocy źle spał. Bardzo rzadko coś mu się śniło, ale tym razem jeden sen następował po drugim, jak w jakiejś chorej serii. Wszystkie dotyczyły pierwszych lat małżeństwa z Agatą. Wprowadzenia się do domu, planowania ogrodu, przyjęć dla przyjaciół. Tempo zmiany klatek było tak szybkie, że Jakuba rozboleła głowa. W szafce na leki zaczął szukać paracetamolu, ale nigdzie nie mógł go znaleźć. Przeszukiwał inne meble, szuflady, pojemniki, schowki. Zaglądał w zagłębienia kanap, pod poduszki i do wazonów. W końcu powędrował do sejfów, a gdy go otworzył, w środku było całkiem pusto.

Obudził się z walącym sercem.

Zajrzał do sypialni, Izabela jeszcze spała. Zszedł do piekarni i kupił croissanty. Ułożył je na talerzyku, obok kleksa z dżemu malinowego. Na tacy postawił także wazonik z tulipanem. Zaparzył kawę w ekspresie, nalał sobie i wyszedł na balkon, by zadzwonić.

- Dzień dobry, pani Jadwigo, Jakub Geller z tej strony - powiedział do słuchawki.

- A dzień dobry, dzień dobry... Chociaż nie wiem, czy taki dobry, bo trochę zacząłam się martwić. Był u mnie jakiś typ. Mówił, że z policji. Wypytywał o panią Agatę.

Geller westchnął. To oznaczało, że do końca tygodnia cały Otomin będzie wiedział o tajemniczym „zniknięciu”.

- Nie ma najmniejszego powodu do obaw - zapewnił. - Agata wyjechała na urlop.

- No to co ta policja? Nie mają co robić czy co? Bandytów by ścigali, a nie porządnym ludziom zakłócają spokój.

- To samo im powiedziałem. - Jakub starał się przybrać lekki, żartobliwy ton. - Zastanawiam się... o co panią pytali?

- Kiedy ostatni raz widziałam panią Agatę, co mówiła, co robiła, normalnie chyba im się wydaje, że ja prowadzę pamiętnik i zapisuję, co moi pracodawcy jedzą i kiedy chodzą siku.

- Brak słów...

- Panie Jakubie - Jadwiga przybrała konspiracyjny ton - oni pytali, czy państwo się kłócili. I czy pan był agresywny... czy zauważyłam jakieś ślady pobicia u pani Agaty...

- Bardzo mi przykro, że musiała pani odpowiadać na takie pytania.

- Ja im nic nie powiedziałam! To znaczy nie było w ogóle o czym! Przecież ja tam nic nie wiem. Nie pytałam pani Agaty nawet o to, dlaczego pan się przeniósł na górę...

- Bywają takie chwile w małżeństwie, że ciężko się dogadać.

- Paaanie Jakubie, no przecież ja to świetnie wiem. Ja z moim Kazikiem to jestem trzydzieści lat po ślubie i czasem mam ochotę go udusić. Ale nie, że ja coś sugeruję. Pan jest dżentelmenem, jakiego świat nie widział. Takim, co to kobiety nawet kwiatkiem nie uderzy.

- Dziękuję, pani Jadwigo. Bardzo miło słyszeć takie słowa. Zastanawiam się jeszcze... Powiem szczerze, że trochę się zdziwiłem, kiedy wszedłem wczoraj do domu. Panował potworny bałagan...

- Ech... Bo mnie nie było ze dwa tygodnie. Raz pani Agata odwołała, a raz... pięć dni temu, zwyczajnie mnie nie wpuściła!

- Jak to?

- No tak to. - Jadwiga była wyraźnie obrażona. - Przyszłam jak zwykle, ale drzwi zamknięte. Dzwonię, nikt nie otwiera. W telefonie glucho. To zaczęłam obchodzić dom i zaglądać do okien. Wie pan, ja nie jestem wścibska, ale wystraszyłam się, chciałam sprawdzić...

- Bardzo słusznie, bardzo słusznie.

- No i patrzę przez okienko w sypialni, a pani Agata śpi. No to puk, puk w szybkę, bo to przecież czternasta była. Przebudziła się, ale nie wiem, czy mnie w ogóle poznała. Miała takie ślepe spojrzenie. Wstała, zamknęła okno i poszła dalej spać. O! A wie pan, mi się zrobiło zwyczajnie, po ludzku przykro. Tyle lat u państwa robiłam.

- Oczywiście, nie dziwię się. Mogła pani zadzwonić do mnie.

- Aaaa... człowiek się czasem honorem uniesie. Ja może sprzątam u ludzi toalety, ale swoją godność mam.

- Naturalnie.

- Pan dla mnie zawsze był uprzejmy.

- Dlaczego miałbym nie być?

- Ci inni bogaci, to oni czasem nawet na człowieka nie spojrzą. Ale pan to co innego. Ja mam prawie wszystkie prezenty, które od pana dostałam na Boże Narodzenie! Prawie, bo jeden pierścionek musiałam sprzedać, jak nam się z Kazikiem piecyk popsuł i trzeba było kupić nowy. Ale tak to wszystkie! I te kolczyki z żółtymi oczkami, i wisiorek z różowym kamykiem, i bransoletkę... To będzie scheda dla moich dzieci!

- Drobiazg, pani Jadwigo. Należna premia.

- No i pan rozumie, że ja po prostu wróciłam do domu, nawet sobie po drodze popłakałam, a potem to czekałam, aż pani Agata sama do mnie zadzwoni. Ale nie zadzwoniła. Chyba jej się co nie stało? Boże...

- Jestem pewien, że wszystko u niej w porządku. Jak tylko się odezwie, zadzwonię do pani.

- Dziękuję, panie Jakubie. Serdeczne Bóg zapłać. Za wszystko.

Usłyszał szuranie krzesłem, więc się odwrócił. Izabela siedziała przy stole w kuchni i smarowała dżemem croissanta.

- Nalać ci kawy? - zapytał, wchodząc do środka.

- Poproszę. - Podsunęła kubek. - Żle spałeś? Masz podkrążone oczy.

- Nie najlepiej. Całą noc śniło mi się, że nas okradli.

- Nas czy was? - Nie mogła sobie darować tej uszczypliwości. - Dobra, sorry... Rozumiem, że nadal się nie odezwała?

- Nie.

- Może naprawdę coś się stało. Nie uważasz, że to dziwne?

- Tak samo jak cała Agata. Nigdy w życiu nie zrobiła niczego standardowego. Chyba przejadę się jeszcze raz do Otomina. Dla pewności.

- Policja nie zaplombowała domu czy coś w tym stylu? Możesz tam sobie tak po prostu wejść?

- Przecież to nie miejsce zbrodni - odparł Jakub szorstko.

- O dwunastej mamy spotkanie sprzedażowe.

- Zdążę wrócić - zapewnił. - Iza... Nie musisz się o nic martwić. Załatwię wszystko z Agatą, jak tylko się do niej dodzwonię.

Pocałował ją w skroń i wyszedł.

Czarny jak smoła aston martin DB11 stał zaparkowany w garażu podziemnym. Jakub pociągnął za klamkę, usadowił się wygodnie w fotelu i wciągnął w nozdrza charakterystyczny zapach skóry. Wcisnął przycisk uruchamiający silnik. Jeździł tym autem od dwóch lat, ale nadal czuł przyjemne mrowienie, gdy dwuturbinowy silnik V12 zaczynał groźnie warczeć. Jakub poczekał, aż przednie głośniki Bang & Olufsen wysuną się spod czołowej szyby, i wybrał album *Archipelago* zespołu Hidden Orchestra. Przemknął aleją Armii Krajowej, ale na Jabłoniowej, gdzie było znacznie ciasniej, musiał się wlec za jakąś ciężarówką. Wjechał do Otomina od strony klubu jeździeckiego.

Sejfy były po to, żeby odciągnąć uwagę złodziei... Zwykle montowało się je za obrazami albo w łatwo dostępnych pomieszczeniach, takich jak gabinet czy biblioteka. Nie trzeba było wielkiego sprytu, aby szukać kosztowności w takich oklepanych miejscach. Biżuteria, którą im wczoraj pokazał, także nie była prawdziwa. Celowo umieścili w sejfie falsyfikaty. Zrobili to tuż po włamaniu do firmy, do którego doszło dziesięć lat temu. Złodzieje zabrali wówczas to, co było pod ręką, żadnych wielce wartościowych rzeczy, głównie falsyfikaty, bryłki pirytu. Podróbkę Koh-i-noor, którą Jakub trzymał w gablocie. Idioci. Naprawdę sądzili, że to ponadstukaratowy oryginał? Zresztą był przyzwyczajony, że laicy nie odróżniają prawdziwego diamentu od zwykłego szkła. Bednarowi i Gawlikowi też zaświeciły się oczy na widok błyskotek.

Żaden z policjantów nie był znawcą. Jakub obawiał się jednak, że zauważą coś innego. Sąsiadujący z biblioteką garaż nie był wewnątrz tak obszerny, jak wskazywałyby jego zewnętrzne gabaryty. Jakub podszedł do regału z książkami i wyciągnął do połowy *Solaris*, następnie postąpił tak samo z *Wilkiem stepowym* i *Nieznośną lekkością bytu*. Usłyszał kliknięcie. Odsunął masywny mebel, za którym znajdowały się drzwi do pomieszczenia skarbcowego, wbudowane w konstrukcję domu. Agata nazywała je panic roomem, bo teoretycznie można było się w nim ukryć w razie napadu czy ataku jądrowego. W środku znajdowały się piętrowe łóżko, toaleta, zestaw survivalowy, a także kolejny, przytwierdzony do podłoża sejf. Gellerowie przechowywali w nim prawdziwą biżuterię, gotówkę, budowaną od lat kolekcję rzadkich diamentów oraz inne kamienie. Skrytki były zabezpieczone zamkiem mechanicznym. Jakub ustawił pokręta w odpowiednich konfiguracjach i otworzył pancerne drzwi.

Komisarz Bednar patrzył na śpiącą żonę. Poprzedniego dnia była na drinkach z przyjaciółkami, wróciła pijana. Musiały jej czegoś nagadać, bo od wejścia rzuciła się na niego, a potem zwyczajnie go przeleciała. Pierwszy raz w tym roku, a był maj. Zwykle bolała ją głowa, miewała zapalenie pęcherza albo przygotowywała ważną prezentację do pracy. Bednar zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma w tym układzie bez jakiejś kobiety na boku. To nie było idealne rozwiązanie, ale ile można oglądać porno i wspomagać się ręką. Proszenie i podchody do Sylwii już dawno stały się upokarzające.

Rozwód nie wchodził w grę. Przynajmniej przez najbliższych dziesięć lat, aż Wojtuś i Paulinka pójdą do liceum. Gdyby spał na pieniądzech, jak ten Geller, to może mógłby od razu rozstać się z Syłą. Kupić jej mieszkanie, zabezpieczyć dzieci. Była świetną matką. Po prostu niekoniecznie chciała być żoną. Zresztą może zwyczajnie przestał ją kręcić. Musiała się ostro nawalić, żeby w ogóle go rozebrać. Nawet się nie całowali.

Bednar przesunął dłonią po ramieniu Sylwii. Ocknęła się.

– Już szósta? Czemu mnie nie budzisz? – warknęła. – Ja pieprzę, znowu spóźnię się do roboty.

Zniknęła w łazience, Bednar podreptał za nią. Myli zęby, on na stojąco, ona, siedząc na toalecie.

– Zawiozę dzieciaki – zaproponował.

– To będziesz musiał je też odebrać, bo mam dziś milion spraw – powiedziała z ustami pełnymi pasty.

- Okej. Najwyżej poproszę mamę.

Sylwia splunęła między uda do sedesu.

- Tylko niech im znowu nie kupuje żadnych kolorowych napojów! Przecież to jest rak instant.

- Dobra, powiem jej...

Kończył myć zęby. Sylwia wysikała się, podtarła i spuściła wodę. Zdjęła piżamę i weszła pod prysznic.

- Sylwia...

- Co?

- Podobało mi się wczoraj.

Słychać było tylko szum wody, w końcu Sylwia się odezwała:

- Ugotuj dziś rosół, dobra? Włoszczyzna zacznie gnić.

Najpierw odwiózł do przedszkola Wojtusia. Rwał się do tego nie tylko ze względu na fakt, że jak na policjanta był całkiem zaangażowanym ojcem. Liczył, że trafi na Ewę, matkę bliźniaczek, która też przychodziła jako jedna z pierwszych. Czasem patrzyła na niego tak, że robiło mu się gorąco. Kiedy się do niego uśmiechała i zagadywała, to była najmiłsza część poranka. A kiedy się pochylała, żeby zdjąć córkom buty, i wypinała pupę... w taki dzień nie musiały nawet czekać, aż Sylwia i dzieciaki zasną, żeby po kryjomu włączyć sobie porno. Wystarczyło wspomnienie pośladek Ewy w opiętych biodrówkach.

Nigdy nie widział jej męża, partnera czy kogo tam miała. Jeśli ktoś taki w ogóle był, a miał nadzieję, że tak. Fantazjował, że jest znudzoną mężatką i któregoś dnia po odprowadzeniu dzieci do przedszkola zaprasza go do siebie na kawę. Rzną się na stole, na którym leżą jeszcze resztki śniadania. Mógłby do niej wpadać raz w tygodniu. Nie za często, żeby się zbyt nie zaangażować. No i oczywiście tylko wtedy, gdyby naprawdę miała jakiegoś faceta. Byłby gwarancją, że żadne z nich nie będzie wchodziło drugiemu w życie, oczekiwano zmian. Czysty, zwierzęcy, fizyczny seks bez przywiązywania się. Bednar nie był pewien, czy taka relacja w ogóle jest możliwa. Zresztą to i tak były niewinne fantazje. Miał dopiero trzydzieści pięć lat i tylko to mu zostało. Na razie.

Odprowadził Wojtusia i zanim odjechał, zapalił jeszcze papierosa. Miał nadzieję, że Ewa nadjedzie. Zaciągał się powoli, w końcu rzucił i zdeptał niedopałek. Wsiadł do auta, trzaskając za mocno drzwiami. Dopiero kiedy dojechał do świateł na Chałubińskiego, dostrzegł samochód Ewy. Zwolnił, kiedy się mijali. Pomachała mu. Dobre i to.

Miał jeszcze drugą szansę na spotkanie jej tego dnia. Przy odbiorze dzieci. Przez cały dzień myślał głównie o tym, jak zapytać ją o męża, żeby nie wyszło głupio. Nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Dopiero po południu wpadł na genialny pomysł. Zaproponuje Ewie, żeby dzieciaki lepiej się poznały. Mieszkali blisko siebie, mogliby je sobie nawet nawzajem podrzucać, niby po to, żeby na zmianę robić sobie wolne. W ten sposób nie tylko dowie się, czy Ewa kogoś ma, ale też stworzy sytuację, w której będą mogli się zbliżyć. Niestety, żeby jeszcze na nią trafić, będzie musiał odczekać z odbiorem Wojtusia aż do siedemnastej. Syła się wścieknie. W takich sytuacjach dzwoniła zwykle po teściową, bo nie chciała, żeby dzieciak siedział za długo w przedszkolu. No trudno, jakoś się z tego wytłumaczy. Pozostało tylko poproszenie matki, żeby odebrała Paulinkę. Pewnie będzie chciała od razu zająć po Wojtusia; trzeba jej to jakoś wyperswadować. Tyle logistyki i ściemniania, żeby przez kilka sekund popatrzeć na tyłek Ewy, ale, Chryste, był tego wart.

– A co ty dzisiaj taki wesolutki? – zainteresował się Gawlik. – Był seks?

– Był. I będzie – odparł komisarz. Kiedyś na piwie zwierzył się koledze ze swoich problemów.

Gawlik, który był singlem, powiedział wtedy coś takiego: „Być samemu i nie bzykać to nie jest jeszcze tak źle, jak nie mieć seksu w związku”. Na Bednarze zrobiło to duże wrażenie. Wcześniej nie posądzał kolegi o żadną życiową mądrość.

– Ja też mam dobrą wiadomość. Namierzyli telefon Gellerowej.

– I nic nie mówisz? Gdzie?

Gawlik spojrział na niego skonsternowany.

– W szambie obok domu.

– A ona?

Aspirant rozłożył ręce.

Krzysztof Kłosiński potwierdził z grubsza wersję przyjaciela. Agata Geller przyjechała do Tuchomia niespodziewanie i tak samo niespodziewanie zniknęła, prawdopodobnie w niedzielny poranek. Bednar zastanawiał się, czy ten facet rzeczywiście nie zauważył wyjazdu kobiety, czy po prostu nie chciał zaszkodzić kumpłowi.

– Jakub zapytał, czy nie widziałem Agaty. Dopiero wtedy zauważyliśmy, że na podjeździe nie ma jej auta.

- I nikogo to nie zaniepokoiło?

Kłosiński wyglądał na speszonego.

- Agata jest specyficzna... Nikomu specjalnie się nie tłumaczy, robi, co uważa za słuszne. Czasem wydawało mi się, że to ona rządzi w tym małżeństwie. Była zła na Jakuba, więc może się wkurzyła i po prostu odjechała. Chociaż, jak mam być szczerzy, to najpierw pomyślałem, że poszła do niego w nocy się pogodzić...

Kłosiński mówił chaotycznie i co chwilę robił dygresje, więc Bednar musiał go stopować i naprowadzać na główny wątek.

- Sądził pan, że państwo Gellerowie mogli spędzić noc razem? Dlaczego?

- Noo... poszedłem się wysikać, a Agata wchodziła po schodach. Gdzie mogła iść? Przecież nie do Darka, bo z niego zostały tylko zwłoki... Przepraszam, do Dariusza Zawadzkiego, ale zapewniam, że on z tej nocy nic nie może pamiętać. Zawsze pije do odcinki, wiele razy sugerowałem, że ma problem...

- Mhm. Wspomniał pan, że Agata Geller mogła chcieć się pogodzić z mężem. Chodzi panu o ich separację?

- Nie tylko. Wieczorem trochę się poprzytykali - powiedział Kłosiński i natychmiast ucichł. Prawdopodobnie dotarło do niego, że palnął coś, co może zaszkodzić jego przyjacielowi. Teraz było już jednak za późno, żeby się wycofać.

- Proszę rozwinąć.

Kłosiński westchnął ciężko.

- Naprawdę nie wiem, co się wydarzyło. Kiedy wszedłem do domu, Agata wychodziła, a Jakub miał rozcięte czoło. Powiedział, że go popchnęła.

- Pani Geller wiedziała o Izabeli Trzos?

- Tak.

- Jak się domyślam, nie była zadowolona z faktu, że mąż odszedł do innej kobiety.

- Nie, to zupełnie nie tak. Wyglądało na to, że się dogadali. Zresztą... Agata bardzo lubi Izabelę. Zawsze mówi o niej w superlatywach.

Bednar zapisał słowa Kłosińskiego, ale nie wziął ich na poważnie. Widział zbyt wiele efektów takich historii, w których żona przed odkryciem romansu męża znała jego kochankę i darzyła ją zaufaniem. To były podwładne, współpracownicy, nawet przyjaciółki i siostry. W tej grze nie obowiązywała solidarność jajników. Zresztą mężczyźni robili sobie dokładnie to samo.



- Hej, chłopaki. - W drzwiach stała aspirant Anna Pobłocka, która tego dnia miała dyżur. - To wy zajmujecie się tymi jubilerami?

- Tak, bo co? - odezwał się Gawlik.

- Bo mamy zgłoszenie...

Plaża miejska w Otominie o tej porze roku nie bywała jeszcze tak oblegana jak w sezonie. Kiedy Bednar odwiedzał to miejsce latem, odruchowo robił się nerwowy, a zaraz potem zmęczony. Przede wszystkim trudno było w ogóle precyzyjnie się między kolumnami samochodów zaparkowanych na dziko po obu stronach drogi. Nad jeziorem plażowały rodziny i grupki przyjaciół. Komisarz miał wrażenie, że usiłują zagłuszyć się nawzajem, puszczając konkurencyjną i zdecydowanie za głośną muzykę. Ostatecznie i tak wszystko zlewało się w łupanę, która rozsadzała czaszkę. Do tego prawie każda ekipa dochodziła do wniosku, że koniecznie musi mieć ze sobą grilla, więc unoszący się nad plażą dym i zapach smażonej kiełbasy potęgował nieprzyjemne wrażenia. Bednar nie był w stanie zrozumieć, jak ludzie mogą wypoczywać w taki sposób, jeden przy drugim, w ścisłości, hałasie i smrodzie. Zawsze namawiał Sylwię, żeby pojechali gdzieś dalej, gdzie nie będzie takiego tłoku, ale żona uważała, że o atrakcyjności miejsca świadczy właśnie liczba odwiedzających je ludzi. W tłumie było jej raźniej i weselej.

Zobaczył, że przy brzegu zebrała się grupka gapiów. Już z daleka można było usłyszeć podniesiony, płaczliwy głos jakiejś kobiety.

- Moja córka Malwinka wyszła po szkole na spacer z Neronem, naszym labradorem. Ona ma dopiero dwanaście lat, państwo sobie wyobrażają?! Boże, przecież ona będzie musiała iść teraz na jakąś terapię... - lamentowała, zwracając się do ubranej na sportowo pary. Oboje kiwali smutno głowami. - Neron zatrzymał się tutaj i zaczął strasznie szczeleć. Malwinka najpierw myślała, że to kłoda drewna, ale Neronek nie przestawał... No wreszcie! - zawołała kobieta na widok policjantów. - Ona nie może tak tu leżeć, a przecież ja nie będę jej wyciągać!

- Proszę się odsunąć, tak? - zakomenderował Gawlik. Wiedział, że w takich sytuacjach prośba o całkowite rozejście się gapiów nie miała żadnego sensu. Były tylko za bardzo nie przeszkadzali.

- Proszę! - Kobieta, która wezwała policjantów, teatralnie odeszła od brzegu.

Bednar podszedł bliżej. Z początku myślał, że patrzy na zwiniętą białą szmatkę. Na wodzie unosiło się jednak bezwładne ciało nieżywego psa.

- To Lea, whippet państwa Gellerów - poinformowała kobieta.

Przez akcję nad jeziorem Bednarowi przeszła koło nosa okazja zagadania do Ewy. Jedyne pożytyw był taki, że sprawa jubilerów zmierzała do szybkiego rozwiązania. Wszystko było tak banalne i oczywiste, że komisarz poczuł znudzenie. Kolejna żona, która nie wyobrażała sobie odstąpienia męża kochance. Kolejny mąż, który nie widząc innego rozwiązania, postanowił pozbyć się żony. To, że dodatkowo skrzywdził jej psa, tylko potwierdzało, że był chory z nienawiści. Co prawda kilkugodzinne przeszukiwanie jeziora na razie nie dało oczekiwanego rezultatu, ale znalezienie ciała Agaty Geller wydawało się kwestią czasu.

Komisarz wrócił do domu przed północą, zdjął ubranie, zostawiając jedynie bokserki, i padł na łóżko. Spał bardzo głęboko. Obudził się przed Sylwią, zadziwiająco rześki i z jasnym umysłem. Nie wiedział, czy obraz, który nagle pojawił się w jego głowie, najpierw mu się przyśnił, czy był po prostu rezultatem słusznej analizy. Czuł podekscytowanie, jakby po wybojach wjechał na właściwy tor i nie miał już zamiaru z niego zjeżdżać. Wstał i przygotował kanapki dla całej rodziny. Do pudełka lunchowego Sylwii włożył jeszcze karteczkę, na której narysował uśmiechnięte serce.

Paulinka szła dziś na dziewiątą, więc odwiózł tylko Wojtusia. W przedszkolnej szatni natknął się na Ewę, która czekała, aż córki zdejmą buty i włożą kaptcie. Kiedy im się udało, podbiegły do Wojtusia i złapały go za ręce.

- Będziesz dziś naszym mężem? - zapytały chórem.

Wojtuś pokiwał głową z poważną miną. Dorośli się roześmiali.

- Słuchaj, wy mieszkacie na Witosa, tak? - zagadnęła Ewa. - My niedaleko, na Więckowskiego. Może wpadniecie do nas kiedyś, dzieciaki się pobawią...

- Yyy... - Bednara zatkało, głównie dlatego, że miał wrażenie, jakby jego fantazja właśnie zaczęła się realizować w świecie rzeczywistym.

- Zastanów się, to luźna propozycja...

- Nie... to znaczy tak... Super! Bardzo chętnie wpadniemy - zreflektował się. - Kiedy wam pasuje? Tobie i mężowi?

Ewa się roześmiała.

- Może w najbliższy piątek? Po przedszkolu?

Bednar szybko przebiegł myślami swój grafik. Z wrażenia zaczęły mu się mieszać dyżury i nie był w stanie stwierdzić, czy ma wolny wieczór tego dnia. To jednak przestało być ważne. Zrobi sobie wolne, cokolwiek by się działo. Najwyżej będzie symulował biegunkę.

Odprowadzili dzieci do sali i skierowali się ku wyjściu. Miał wrażenie, że Ewa celowo otarła się o niego w drzwiach. Poczul jej ciepło i zapach, a zaraz potem mrowienie w podbrzuszu.

- To miłego dnia i do zobaczenia! - Był pewien, że ma na twarzy głupekowaty uśmiech.

- Nawzajem! Aha... Piotr... - Bednar nie miał pojęcia, skąd Ewa zna jego imię. - Mojego męża nie będzie... - Mrugnęła do niego.

- Jasne... Kumam.

To nie była do końca prawda, bo nie był pewien, co dokładnie Ewa miała na myśli, ale na obecną chwilę nie potrzebował większej jednoznaczności i zachęty.

Na komisariat nie jechał, ale sunął w powietrzu, jakby ocieężała kłama zamieniła się w latający bolid. Mimo to przez pogaduchy z Ewą spóźnił się na odprawę.

Wpadł do pokoju, w którym Gawlik siedział przy biurku i właśnie sodził swoją pierwszą tego poranka kawę.

- Wziąłem dokumenty dla ciebie - poinformował aspirant.

Na piśmie widniała pieczętka laboratorium kryminalistycznego, więc Bednar od razu przebiegł dokument wzrokiem. Czuł, jak na przedramionach robi mu się gęsia skórka.

- Materiał pobrany z lustra nie zgadza się z DNA Agaty Geller. O chuj tu chodzi? - Bednar był poirytowany.

- Może to włosy jakiejś innej baby - stwierdził rzeczowo Gawlik.

- Taaa i nawet mam pewne podejrzenia. Musimy odwiedzić tę całą Trzos. Ale najpierw przejdziemy się jeszcze raz do Otomina.

Gawlik, Bednar, technik i gotowy do działania fotograf wpatrywali się w ciemność.

- Przecież mówiłem, że tu już było świecone - powiedział zniecierpliwiony technik. Minutę wcześniej ponownie spryskał umywalkę luminolem, ale zielonkawe światło się nie pojawiało.

- Koleś na pewno wszystko dokładnie wyczyścił wybielaczem – przekonywał Bednar.

- No to by przecież i tak świeciło... – stwierdził Gawlik.

- Nie, jeśli użył wybielacza tlenowego zamiast chlorowego.

- A ty co, Bednar, naoglądałeś się CSI? – zakpił technik.

- Czytałem, że to możliwe. Zresztą nie zdziwiło was, że na kilometr czuło świeże pranie, którego nie widać? W całym domu syf, a tu wypucowane do białości. Ktoś tu sprzątał, a przypominam, że sprzątaczkę nie było w domu od dwóch tygodni.

- Tym bardziej nic tu nie znajdziemy. Co robisz? – zdziwił się Gawlik.

Bednar klęczał pod umywalką i odkręcał syfon.

- Zabieram materiał dowodowy.

Sylwia dojadła na kolację parówki po Wojtusi i kończyła sprawdzać kartkówki.

- Co za głęby, Boże... Nie wiem, jak oni zdadzą maturę – irytowała się. – Tylko jedna dostateczna, reszta mierne i pały...

- No, słabo... – odezwał się Bednar, który zwykle ignorował jej utyskiwania na uczniów. – Może to nie ich wina...

- A czyja niby? – Spojrzała na niego znad okularów, które zakładała tylko do czytania.

- No jak masz dziewięćdziesiąt procent pał, to chyba to jakoś świadczy o nauczycielu.

Sylwię zamurowało, a zaraz potem parsknęła śmiechem.

- Dziewięćdziesiąt procent, też niezły matematyk z ciebie. Nie uczą się, to mają. Zawiesz rano dzieci?

- Taaa... – Bednar podrapał się po brzuchu. – A w ogóle zapomniałem. Mam zaproszenie do Ewy i jej męża.

- Do kogo? – Skrzywiła się.

- No wiesz, do rodziców bliźniaczek z grupy Wojtusia.

- Aaa... – Syla pokiwała głową, ale jej mina zdradzała, że nie kojarzy, o kogo chodzi.

- Dzieci się pobawią, my pogadamy. Jak dobrze pójdzie, to może będziemy do siebie podrzucać gówniaki, żeby wiesz... mieć trochę czasu dla siebie, wyjść

do kina czy coś.

- Ty do kina? Już to widzę. Nigdy nie mogę cię wyciągnąć, a na *Diunie* zasnąłeś.

- Bo to był akurat bardzo nudny film.

- Kiedy ta kawa?

- W piątek, zaraz po przedszkolu. Po siedemnastej znaczy.

- Bożeeee... Tak się cieszyłam na spokojny wieczór – westchnęła Sylą.

- To zostań w domu z Pauliną, a ja pojedę sam z Wojtusiem. – Starał się brzmieć lekko i naturalnie. – Zrobisz sobie kąpiel, obejrzysz serial... czy coś.

Sylą patrzyła na niego uważnie. Miał wrażenie, że czyta z niego jak z tych swoich sprawdzianów i widzi każdy fałszywy ruch.

- Serio? – zapytała tylko. – Miałam straszny tydzień.

- No raczej. – Bednar wolał nie ryzykować dalszego skanowania. Wstał i zaczął zbierać talerze. – Powiem, że miałaś konsultacje z rodzicami.

- Zajebicie. Dzięki.

Jakub Geller stał w oknie swojego gabinetu na Złotników. Przy masywnym dębowym stole siedziała Izabela i trzy osoby z działu sprzedaży. Omawiali udział w przyszłorocznych targach jubilerskich w Monachium. Jakub nie do końca uczestniczył w dyskusji. Od wczoraj nie mógł się skupić. Wpatrywał się w niedoróbkę w bryle bazyliki Mariackiej. Podłużne, zaokrąglone u góry okno w rogu budowli było mniejsze niż pozostałe, niewymiarowe i jakby skoszone do wewnątrz. Dziwiło go, że ludzie przechodzili tędy setki razy i nawet tego nie zauważali. Nawet jego własny ojciec, który miał przecież warsztat jubilerski tuż obok, na Mariackiej. Powiedział wtedy Jakubowi, że nikt normalny nie zwraca uwagi na takie pierdoły. Jakub zwracał. Zawsze. Jego ubrania musiały być idealnie wyprasowane, złożone w kostkę i równo ułożone w szafach. Nie mógł zasnąć, jeśli zauważył przekrzywioną firankę w oknie albo wystającą książkę na półce. Mięso na talerzu nigdy nie dotykało ziemniaków ani surówki. Matka to rozumiała. Ojciec czasem celowo nie kończył posiłku, zrzucał resztki na talerz syna, mieszał widelcem, a potem kazał wszystko zjeść, bez szemrania.

Uczył się fachu w zakładzie ojca, poważanego gdańskiego bursztynnika. Szybko zauważył, że jest znacznie bardziej staranny, dokładny i cierpliwy. Ojciec cierpiał na reumatoidalne zapalenie stawów, czasem nie mógł utrzymać w dłoni kornaisena. W końcu musiał oddać cały zakład w ręce syna. Jakub

powiedział ojcu, że nie chce się zajmować pospolitym bursztynem, tylko kamieniami szlachetnymi. Sprzedał zakład, wyniósł się z Mariackiej i otworzył nowy biznes pod panińskim nazwiskiem matki. Zadbał o to, żeby po ojcu nie został żaden ślad.

Istniały niedoskonałości, które Jakub nie tylko tolerował, ale wręcz się nimi zachwycał. Inkluzje w diamentach. Jego też to dziwiło. Mógł jednak godzinami wpatrywać się w idealny kamień tylko po to, żeby znaleźć w nim skazę. Mawiał, że kiedy mu się to wreszcie udaje, czuje taką satysfakcję jak Leo Messi po strzeleniu gola.

– Przepraszam najmocniej, panowie nalegali... – Dorota weszła do gabinetu. Za nią stali znani już Gellerowi funkcjonariusze.

Ich widok nie zrobił jednak na Jakubie większego wrażenia. Nadal wydawał się nieobecny.

– Rozumiem, że to nie może czekać? – zwrócił się do Bednara spokojnym tonem.

Komisarz uśmiechnął się na myśl o atrakcjach, które czekały na jubilera w areszcie. Godzinę wcześniej otrzymał ekspertyzę, która potwierdzała obecność śladów DNA obojga Gellerów w syfonie. To wystarczyło, żeby zatrzymać gnoja na „cztery osiem”. Bednar był pewien, że w pomieszczeniu gospodarczym doszło do morderstwa. Zabójca, który jak to zwykle w takich sprawach bywa, był mężem ofiary, wszystko dokładnie wysprzątał. Nie pomyślał tylko o tym, żeby wyczyścić syfon, po tym jak umył w zlewie ręce i narzędzie zbrodni.

– Ty, elegancik, słuchasz, kurwa, co do ciebie mówię?

Facet, który dzielił celę z Jakubem, przypominał Pasibrzucha z bajki o Smerfach. Był wielki jak góra, ale miał twarz łagodnego idioty. Od dwóch godzin opowiadał historię swojego życia, wypełnionego pobytami w zakładach karnych. Starał się przy tym brzmieć groźnie, ale jego cienki głosik zabawnie się unosił w przypiływie podenerwowania. Po jakimś czasie Jakub słyszał tylko brzęczenie z oddali. Prawie nie wyczuwał już gryzącego smrodu niemytego od dawna ciała, który roztaczał wokół siebie „Pasibrzuch”.

Było mu zimno. Miał na sobie tylko cienką jedwabną koszulę, spodnie i lakierki bez sznurowadeł. Kazali mu je wyciągnąć i oddać, tak samo jak skórzany pasek od Prady, marynarkę, fular i sygnet z niebieskim diamentem,

z którym nie rozstawał się od dziesięciu lat. To nie był zwykły kamień. Kupił go na takim etapie życia, kiedy był przekonany o swojej nieomyślności w ocenie i doskonałym oku eksperta. Nie poświęcił bryłce wystarczającej ilości czasu. Pycha pozwoliła mu ledwie zerknąć przez lupę i niefrasobliwie rzucić kwotę. W myślach rozważał już, któremu z wielu klientów, zafascynowanych niebieskimi kamieniami, sprzeda cacko z odpowiednią przebitką. Dopiero kiedy uważniej mu się przyjrzał, już po zakupie, zrozumiał, że barwa nie jest tak czysta, jak pierwotnie ocenił. Wcześniej nie dostrzegł także inkluzji, które w tym przypadku obniżały wartość diamentu. Do Jakuba dotarło, że przepłacił, co najmniej dwukrotnie. Zatrzymał kamień jako *memento*. Teraz zastanawiał się, czy jeszcze go zobaczy, czy usłyszy, że zaginął.

Nie spał, odkąd poprzedniego wieczoru przywieźli go na dołek. Na noc nie zgaszono światła i jak sądził, nie był to przypadek. O szóstej rano profos kazał im wstać z pryczy, które następnie przytwierdzono do ściany. Od tego czasu mogli siedzieć tylko na twardych taboretach. Pewnym przerywnikiem było śniadanie, składające się z czerstwego chleba i topionego serka. Jakub nie spozjrzał nawet w kierunku rozwodnionej lury, nazywanej przez innych kawą. „Pasibrzuch” wypił ją duszkiem, a później z uśmiechem poinformował, że kucharz miesza napój w garze gołą stopą. Najwidoczniej nie stanowiło to dla dryblasza przeszkody, a raczej coś w rodzaju wyzwania czy testu odwagi.

Jakub grzecznie zapytał strażnika, czy może zrezygnować z obiadu, ale w odpowiedzi usłyszał śmiech. Próbował rozpoznać skład brei, która wylądowała na jego talerzu. Przypominała rozgotowany ryż polany czymś purpurowym. Równie dobrze mógł to być owocowy dżem, jak i poszatkowana czerwona kapusta. Przed oczami stanął mu ojciec i to, co robił podczas rodzinnych posiłków. Jakub nabrał papkę na widelec, włożył do ust i ze spokojem przełknął. Nie była taka zła. Po obiedzie poinformowano go, że zostanie ponownie przesłuchany. Ucieszył się. Pomyślał, że to znacznie lepsze niż siedzenie na taborecie i słuchanie opowieści „Pasibrzucha”.

W piątkowy poranek Bednar nie spotkał Ewy w przedszkolu, ale i tak był podekscytowany. Jadąc do pracy, włączył na całą parę *Self Esteem The Offspring* i śpiewał głośno razem z wokalistą.

– Nasz zajączek skruszał? – zapytał Gawlika od razu po wejściu do pokoju. Właściwie nie dopuszczał przeczącej odpowiedzi.

- Ni chuja...

Bednar żałował, że nie może sobie pozwolić na bardziej „asertywne”, jak je nazywali, metody przesłuchania. W pakiecie było podduszanie, bicie pałąk po piętach, a w ostateczności „kręcenie wora”, czyli po prostu ściskanie i wykręcanie jąder. Chętnie osobiście zastosowałby ten zestaw na Gellerze.

Tymczasem był rozczarowany i szczerze zdziwiony. Chciał się nawet założyć, że jubiler zmięknie już po kilku godzinach w obskurnej celi z największym nurem, jakiego mieli na stanie. Facet w śnieżnobiałej koszuli, jedwabnym gajderze i lakierkach trafił z pałacu prosto do miejsca, w którym nie chciałby się znaleźć nawet bezdomny. Bednar najwyraźniej go nie docenił.

- Nie mamy narzędzia zbrodni, nie mamy ciała, koleś trzyma się swojej wersji jak małpa gałęzi - wyliczał Gawlik. - Musimy go wypuścić.

Izabelę obudziły dobiegające z kuchni ściszone głosy. Jakub rozmawiał z innym mężczyzną. Rozróżniała tylko pojedyncze słowa. Agata. Diamenty. Była zaskoczona, bo Jakub nigdy nie zapraszał gości do ich mieszkania, tym bardziej bez zapowiedzi. Drzwi sypialni były uchylone, więc mogła wstać i zobaczyć, kto ich odwiedził, ale zanim zdążyła to zrobić, zaległa cisza. Po chwili do pokoju wszedł Jakub. Jego wzrok zatrzymał się na walizce, którą Izabela zaczęła pakować poprzedniego wieczoru.

- Wpłaciłeś kaucję? - Izabela zaczęła się ubierać.

- To nie było konieczne. Co to jest? - zapytał, patrząc na walizkę.

- Chyba potrzebuję trochę czasu. Wezmę urlop w pracy.

- I zostawisz mnie z tym? Gdzie pójdziesz?

- Do ojca... - Nie była pewna, czy chce informować Jakuba o miejscu swojego pobytu. Nie miała zresztą jasnej koncepcji. - Albo wyjadę gdzieś... Muszę to sobie poukładać.

- Jesteś mi teraz potrzebna.

Czułość Jakuba. Nawet takie wyznanie w jego ustach brzmiało jak komunikat dla pracownicy. Nie potrafił prosić, a na gruncie prywatnym już w ogóle.

- Kim był ten facet? - Iza wróciła do pakowania. Czuła, jak wszystko jej obojętnieje. Nawet wizja zdenerwowania Jakuba.



- Który?

- Ten, który o piątej rano siedział w naszej kuchni – wypaliła.

- Waldek. Odebrał mnie i przywiózł do domu. – Od początku rozmowy oboje unikali słowa „areszt”. – To zaufany człowiek. Czasem załatwia dla mnie różne sprawy. Słyszałaś coś?

- Nic – odparła Iza. – Tylko imię Agaty i diamenty odmieniane przez wszystkie przypadki.

Domknęła walizkę i pociągnęła ją do salonu. Jakub poszedł za nią.

- Usiądź. Wszystko ci powiem.

Tym razem jego ton był prawie proszący, co zrobiło na niej wrażenie. Musiał być w naprawdę słabej kondycji. Przystanąła na znak, że daje mu szansę na wyjaśnienia.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest Agata, ale jestem prawie pewien, że żyje i ma się świetnie.

- Skąd ta pewność?

Jakub zacisnął szczęki. Oba żwacze poruszały się szybko, jak zawsze, gdy był spięty lub musiał natychmiast podjąć ważną decyzję.

Izabela czekała.

- Bo z naszego domowego sejfu zniknęło trochę kamieni... Tylko ja i Agata wiedzieliśmy, gdzie one są.

- Dlaczego nie powiedziałeś o nich policji?

Patrzył na nią, jakby miał nadzieję, że sama wyczyta odpowiedź z jego twarzy.

- Jezu, Iza, nie były do końca legalne. Nie miały papierów.

Nigdy nie słyszała, żeby Jakub mówił w tak bezpośredni sposób, bez używania swoich okrągłych, pięknych, przemyślanych sformułowań. Nie znała tej jego strony, w ogóle nie wiedziała o jej istnieniu.

- Były z przemytu?

Kradzież to coś zupełnie nie w jego stylu, choć teraz Izabela nie była już pewna, czy do końca zna ten styl. Ale przemyt? Zawsze mówił, że to nie jest nieuczciwy sposób pozyskiwania kamieni. Sądziła, że to żarty. Jakub Geller szczycił się nieposzlakowaną opinią wśród klientów – tym, o co dbał najbardziej na świecie, był jego nieskazitelny wizerunek jako sprzedawcy kamieni szlachetnych. Twierdził, że dzięki temu udało mu się od zera zbudować szanowaną markę. Izabela uwierzyła w nią tak samo jak pozostali.

Brak papierów oznaczał, że kamienie nie miały żadnych raportów z badań ani nie można było udokumentować źródła ich pochodzenia. Wszystko opierało się na ocenie i wycenie jednego eksperta, którym w tym przypadku był Jakub. Zastanawiała się, komu sprzedawał taki towar. Chętnych na pewno nie brakowało, ale raczej nie byli to klienci salonu jubilerskiego, tylko nadziani kolekcjonerzy, szukający rarytasów z szemranych źródeł. Dla kogoś takiego jak Jakub wyposażenie przemyconych kamieni w odpowiednie certyfikaty i ich legalna sprzedaż nie mogły stanowić większego problemu.

Izabela poczuła ciężar, jaki niosły ze sobą wyjawione przez Jakuba informacje. Nie ten związany z ewentualnymi konsekwencjami prawnymi wobec niego, ale ten, który sama na siebie ściągnęła. Taki przyływ szczerości mógł oznaczać kilka rzeczy. Jakub postawił wszystko na jedną kartę i postanowił całkowicie jej zaufać. Wpuścił ją za kolejne drzwi. Była coraz bliżej. Został postawiony pod ścianą i bał się, że Iza odejdzie, jeśli nie usłyszy prawdy. Albo... chciał ją do siebie przywiązać. Teraz była jego współniczką i nie mogła tak po prostu opuścić jego życia. Sekret był zbyt wartościowy, a Izabela doskonale знаła jego cenę.

Kiedy przyszli do pracy, Jakub poprosił Izabelę, żeby przeszła do jego gabinetu. Sam został na dole. Odczekał, aż kobieta zniknie na piętrze, i zszedł do piwnicy, do miejsca, które śniło mu się co noc. „Sprawdź skrytkę”, nakazywał jego własny głos, a Jakub budził się natychmiast, oblany zimnym potem. Teraz otworzył pancerne drzwi i po raz kolejny w tym tygodniu stwierdził, że kamień leży na swoim miejscu.

Izabela stała przy oknie. Na widok wchodzącego Jakuba podeszła do biurka i przysiadła na blacie. Jubiler wziął jej zaciśniętą mimowolnie dłoń i rozłożył palce. Poczuła coś chłodnego – dopiero kiedy zabrał swoją rękę, zobaczyła nieoszlifowaną bryłkę w kolorze purpury. Jednocześnie czuła, jak sama robi się błada.

- To najcenniejszy kamień, jaki posiadam – powiedział Jakub.
- I trzymasz go w biurze?

Niektóre transakcje przeprowadzane przez Gellera opiewały na setki tysięcy dolarów; były też takie, które przekraczały milion. Tylko raz, na początku znajomości i bardziej z dziennikarskiego zacięcia, zapytała go, gdzie przechowuje diamenty warte tyle pieniędzy. „Czasem w szufladzie biurka”,

odpowiedział wtedy ze śmiechem i dodał: „Taka praca”. Ona też się zaśmiała. Myślała, że Jakub żartuje. Który to już raz pomyliła się w ten sposób?

Ostatecznie salon jubilerski był znacznie lepiej zabezpieczony niż dom Gellerów. W budynku był sejf, o którym wiedzieli tylko zaufani pracownicy, ale z pewnością znajdowały się tam także skrytki, o których nie miała pojęcia nawet Agata.

Izabela przypomniała sobie swoje pierwsze spotkanie z Jakubem i wywiad, który z nim przeprowadziła. „Niecałe cztery procent wszystkich diamentów to kamienie fantazyjne, czyli kolorowe: niebieskie, żółte, brązowe, zielone, pomarańczowe. Różowe to tylko trzy procent z tej liczby. A z tych trzech procent zaledwie jeden ma barwę purpurową”. Sama potem wiele razy powtarzała to wyliczenie w rozmowach z kontrahentami. Jakub powiedział też, że miał szczęście widzieć taki purpurowy diament na żywo.

– Myślałam, że sprowadziłeś go dla jakiegoś klienta...

– To ja jestem tym szczęściarzem. Szukałem go całe życie. To absolutny unikat. Ostatni diament z Argyle...

– Myślałam, że Tiffany kupił ich ostatnią kolekcję. Nie mówiłeś... – Nie dokończyła, bo jego oczy zaszły matową mgłą, jak zawsze, gdy miał coś do ukrycia.

– Ten kamień nigdy nie wszedł do oficjalnej kolekcji. Podejrzewam, że nawet ludzie z Argyle nie wiedzą o jego istnieniu.

Jakub wiele razy opowiadał jej o zabezpieczeniach, jakie stosowały kopalnie, aby uniemożliwić pracownikom kradzież, i równie często o tym, że mimo wszystko wyniesienie kamienia nie było takie trudne. Nie miał on wówczas legalnych dokumentów, co nie stanowiło żadnej przeszkody w znalezieniu kupca. W tym przypadku był nim Jakub.

– Skąd wiesz, że to kamień z tej konkretnej kopalni? Nie ma papierów...

– Zobacz... – Jakub sięgnął po diament i położył go pod lampą UV. – Widzisz? Niebieska poświata. Tylko kamienie z Argyle mają taką fluorescencję. Nazwałem go Dreamtime. Alcheringa.

– Dreamtime? – powtórzyła.

– W języku Aborygenów Alcheringa oznacza czas snu. Dreamtime. Słyszałaś o tym micie? – Ponieważ Izabela zaprzeczyła, Jakub kontynuował opowieść: – Według Aborygenów wszyscy jesteśmy ze sobą połączeni. A to dlatego, że cała fizyczna i metafizyczna rzeczywistość, którą znamy, powstała w „czasie snu”,

istniejącym przed stworzeniem wszechświata. Marzenie senne to przekaz, który dostajesz od swoich przodków.

– Nie mogę uwierzyć...

– Kiedy pierwszy raz usłyszałem tę historię, też miałem ciarki. Tak samo jak wtedy, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Alcheringę... Spójrz, to tak, jakbyś obcowała z częstką boskości.

Izabela się odsunęła.

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo chcę oprawić ten kamień. Chcę, żebyś go dla mnie nosiła. Ty. Nikt inny.

Z oczu Izabeli popłynęły łzy. Jakub wziął je za oczywiste w tej sytuacji wzruszenie.

Z pokoju dziecięcego dobiegały nieludzkie odgłosy. Wojtuś, a także Lila i Amelka, czyli bliźniaczki Ewy, bawili się w szpital. Dziewczynki prawdopodobnie przeprowadzały na swoim nieszczęsnym pacjencie operację bez znieczulenia.

Bednar siedział na sofie i czuł, jak poca mu się dłonie, trzymane sztywno na udach. Ewa wyglądała o wiele swobodniej. Obserwował, jak przygotowuje kawę: staje na palcach bosych stóp, żeby sięgnąć do szafki po filiżanki, schyla się po cukier. Była bardzo zgrabna i gibka. Jakby tańczyła. Zastanawiał się, czy te pląsy są dla niego.

– Jest nawigatorem. W zasadzie więcej go nie ma w domu, niż jest – odpowiedziała z lekkością w głosie, jakby ta sytuacja nie robiła jej różnicy.

– Rozumiem... – Bednar starał się wykazać empatią albo po prostu podtrzymać rozmowę, bo sam nie miał pojęcia, jaki wątek poruszyć. – Pewnie nie jest ci łatwo z dwójką dzieci.

– Kiedyś to był dramat. – Lekki ton Ewy nadal przeczył jej słowom. – Teraz już się przyzwyczaiłam. Miałam nianię, no i moja mama bardzo mi pomaga. I zrezygnowałam z etatu, otworzyłam biuro rachunkowe w domu, dzięki czemu łatwiej jest mi zajmować się dziewczynkami. A twoja żona? Co robi?

Ewa postawiła na ławie tacę z filiżankami i kawiarką. Zajrzała Bednarowi w oczy tak głęboko, że na chwilę zapomniał własnego imienia. Nie miał pojęcia, dlaczego przy tej kobiecie zachowuje się jak baran. Odejmovalo mu rozum. Gdyby Gawlik widział teraz jego rozanieloną minę, umarłby z szydery.

– Yyy... Jest wicedyrektorką w technikum. Uczy matematyki.

- Uuu... nieźle. I jak sobie radzi z młodzieżą?

- Krótko ich trzyma. Budzi respekt. Nie podskakują jej.

- To sztuka, zwłaszcza w technikum, gdzie pewnie większość uczniów to chłopcy.

- Taa...

- Widziałam twoją żonę. To superlaska. Pewnie większość uczniów się w niej podkochuje.

Bednar upił łyk kawy i poparzył sobie usta.

Syła nigdy nie rozmawiała z nim o pracy. Mówiła, że nie chce o tym myśleć po powrocie do domu, że to ją stresuje. O ile więc udało im się spotkać na kolacji, omawiali tylko kwestie związane z utrzymaniem domu i rodziny. Trzeba kupić nowy odkurzacz, dzieci znowu wyrosły z butów, Paulinka jedzie na wycieczkę, Wojtuś musi iść do logopedy. To stwarzało pozory rozmowy. Łatwiej było udawać, że między nimi wszystko gra, że wcale nie są sobą znudzeni, że nie przestali się sobą interesować i nie jest tak, że głównie działają sobie na nerwy.

- Pyszna kawa - powiedział, żeby przerwać ciszę.

- Smakuje ci? To z Gwatemali. Podobno czuć borówkę w czekoladzie.

Bednar nic takiego nie czuł, ale pokiwał głową. W pięć sekund pochłonął za to brownie, które Ewa podała do kawy.

- Pycha! - skonstatował.

- Weź jeszcze kawałek.

Ewa, nie czekając na ruch Bednara, nałożyła mu ciasto na talerzyk.

- Wybacz, że palcami, ale mam czyste. - Uśmiechnęła się. Może wiedziała, że najchętniej oblizałby te palce. - Twoja praca musi być fascynująca... Zawsze chciałeś być policjantem?

Pomyślał o stercie papierów, które musi wypełniać, raportach dla naczelnika i idiotycznych nieraz procedurach, które tylko utrudniają życie. Dopiero potem o zwyrodnialcach, z którymi prawie codziennie ma do czynienia. Jak na przykład tych dwóch meneli ostatnio. Zabili kolegę dla trzydziestu złotych. Nie wiedzieli, jak pozbyć się ciała. Stwierdzili, że rozpalą na działce ognisko i będą przesuwac zwłoki w ogniu kawałek po kawałku, jak kłode drewna. Nie doszli do końca, bo innych działkowców zaniepokoił dziwny dym i smród.

- Taaa... Chyba trochę inaczej to sobie wyobrażałem. - Bednar ponownie stwierdził, że jego wypowiedzi są wyjątkowo nieelokwentne. Ewa pomyśli, że jest tępym osiłkiem.

- Pomagasz ludziom, łapiesz przestępców. Trudno o czynienie dobra w bardziej namacalny sposób.

Ewa jakimś cudem nadal wpatrywała się w niego jak w półboga. Łechtalo go to. Uśmiechnął się i potarł wilgotne dłonie o dżinsy. Potem rozmawiali o dzieciach, to był bezpieczny temat. O tym, na co już chorowały, czego za nic nie zjedzą, jakie lubią bajki. Ewa nie usiadła na fotelu, tylko obok niego na sofie i kiedy mówiła, co chwilę trącała go dłonią, a to w udo, a to w ramię. To było cudowne. Ogarniała go błogość.

Gdy zbierali się do wyjścia, Wojtuś nagle sobie przypomniał, że musi zrobić siku, i pobiegł do toalety.

- Miło było - wydukał Bednar. Tak naprawdę było zajebicie. Genialnie. Bosko. Marzył o tym, żeby to powtórzyć.

- Cieszę się. Rzadko ktoś mnie odwiedza. Głównie siedzę tu całe dni sama, więc gdybyś kiedyś chciał wpaść na dobrą kawę i ciasto, to zapraszam. Nawet bez dzieci.

Wizualnie Ewa stanowiła przeciwieństwo Sylwii. Żona Bednara była wysoka, szczupłą i bladą blondynką. Niektórzy nazwaliby ją suchą. Dwie cięże nie dodały jej kilogramów. Ewa miała ciemne włosy, rumiane policzki i apetycznie zaokrąglone kształty. Komisarz zastanawiał się, czy to właśnie te różnice sprawiały, że znajoma z przedszkola była dla niego tak atrakcyjna, i o czym to świadczyło. Większość kolegów, z którymi gadał o babach, miała swój typ i raczej się go trzymała. Rudzki gustował w wysportowanych brunetkach, z kolei Gawlik oglądał się za wulgarnymi dresiarzami, choć nigdy by się do tego nie przyznał.

Bednar nie miał pojęcia, o co chodzi facetom, którzy zamieniają żony na ich kopie, niekoniecznie młodsze. Gdyby on miał kiedyś związać się z inną kobietą, to nie chciałby klona Sylwii, ale kogoś zupełnie innego. Chyba na tym to polegało. Widocznie jednak nie wszyscy podzielali jego podejście. Taki Geller na przykład. Jego kochanka wyglądała jak potencjalna córka i nie chodziło tylko o wiek. Na niektórych zdjęciach Izabela Trzos i Agata Geller były nie do odróżnienia. Obie rude, o ostrych, jakby wykrojonych nożem rysach

i jasnozielonych oczach. Bednar był pewien, że skoro znalezione na odłamkach lustra włosy nie należały do Agaty, musiały pochodzić z głowy Izabeli. A jednak kolejna ekspertyza nie potwierdzała tej teorii. Właścicielka rudych kosmyków pozostawała niezidentyfikowana. Równie dobrze mogła nią być jakaś koleżanka albo ktoś z rodziny Agaty Geller. W całym domu nie znaleziono więcej śladów krwi. Ktoś przydzwonił głową w lustro, i tyle. To mógł być wypadek. Trop, który przyczynił się do rozpoczęcia dochodzenia, tak naprawdę okazał się fałszywy.

– Dobra wiadomość, i to dosłownie. – Gawlik wszedł do pokoju.

– Masz ciało? – zapytał beznamiętnie Bednar.

– Aż tak super to nie. Za to udało się reanimować smartfona naszej zaginionej. Przepatrzyłem jej telefonik Pegasusem i całkiem sporo znalazłem.

– Pokaż. – Komisarz się ożywił.

– Miała w galerii pełno nudesów, głównie swoich, ale nie tylko...

– Kochanka?

– Kochanki swojego męża. Izabeli Trzos.

– To może jednak nie rozstali się tak do końca polubownie, skoro zbierała na nich haki.

Pozostałe zdjęcia przedstawiały Izabelę, tym razem całkiem ubraną, idącą ulicą, siedzącą w kawiarni, przy biurku w pracy. Wszystkie wyglądały na zrobione z ukrycia.

– Agata Geller podejrzewała coś od dawna? Śledziła ją?

– Pierwsze foty zrobiono osiem miesięcy temu – zwrócił uwagę Gawlik. – Geller twierdzi, że wtedy jeszcze nie spotykał się z Izabelą Trzos.

– No to kłamał. Albo typiara od razu wydała się żonie podejrzana. Baby wyczuwają konkurentki szóstym zmysłem – stwierdził Bednar i pomyślał o Sylwii. Czy ona mogła wyczuć Ewę? Musiałaby najpierw zainteresować się własnym mężem, a to raczej mu nie groziło. Zachowywała się, jakby był tylko irytującym współlokatorem, który czasem przydaje się w kwestiach logistycznych.

– Zobacz, w ogóle to ona kiedyś nie była taką dżagą – powiedział żartobliwie Gawlik, ale komisarz spoważniał i przyjrzał się dokładniej.

Na najstarszych zdjęciach Izabela miała znacznie krótsze włosy w mysin kolorze, była też zdecydowanie pulchniejsza. W ciągu kilku miesięcy od poznania Gellera przeszła metamorfozę. Mocno schudła, przefarbowała się i upodobiła do jęgo żony. A zatem nie zawsze były klonami.

- Są jakieś wiadomości? - dopytał Bednar.

- Tylko kilka. Od Gellerowej do Trzos. „Spotkajmy się”. „Chcę tylko porozmawiać”. „Nie możesz mnie tak ignorować”. I, uwaga: „Pożałujesz tego”.





## IV

# Małżeństwo

Agata Geller mocno ścisnęła dłoń dziennikarki.

- Izabela Trzos.

Rozbawiło ją, że młoda kobieta niezdarnie dygnęła. Wyglądała jak kupka chaosu trzymana w ryzach z dużym wysiłkiem. Miała na sobie za ciasną białą bluzkę, pod którą odznaczał się stanik, ale nie w przemyślany, prowokacyjny sposób, tylko przez niedbalstwo. W dodatku przez nieusztynwione miseczki przebijały sutki. Jak można było tak bardzo siebie nie ogarniać? Opięty materiał podkreślał fałdki tłuszczu, bo dziewczyna miała lekką nadwagę. Marynarka i spódnica nie pasowały do siebie i sprawiały wrażenie wyciągniętych z kubła na pranie. Czerwone szpilki na pewno pochodziły z jakiegoś taniego sklepu typu „jednosezonowe buty z kartonu”. Dziennikarka wylała na siebie pół butelki taniej podróbki Mademoiselle Chanel, ale nawet to nie zdołało zamaskować jej wódczanego oddechu.

Agata wymieniła rozbawione spojrzenie z mężem. Otworzyła im nawet drzwi do gabinetu.

- Udanego spotkania. - Puściła do niego oko.

Zeszła na parter, do salonu jubilerskiego. Ich najbardziej doświadczona ekspedientka demonstrowała klientom diamentowe kolczyki.

- Dzień dobry! - Drzwi wejściowe otworzyły się z impetem i do salonu wszedł Janusz Mroźny, właściciel kartuskiej mleczarni. W obu rękach trzymał foliowe reklamówki z kwiatowym nadrukiem. Były czymś wypchane i musiały trochę ważyć, bo podniósł je w górę z pewnym wysiłkiem. - Przepraszam, ale się spieszyłem, nie miałem w co zapakować. - Uśmiechnął się.

Agata się speszyła, na szczęście pozostali klienci nie zwrócili uwagi na głośnego gościa.

- Panie Januszu, wejdźmy do mnie. Zaraz zawołam męża.

Zaprowadziła go na pierwsze piętro, do swojego gabinetu. Po chwili dołączył do nich Jakub. W rękę miał podłużne puzderko.

- Klasa! - zawołał ich klient na widok złotego rolexa.

Agata pomogła mu założyć zegarek na gruby, owłosiony przegub.

- Czuć ciężar pieniędzy! - zaśmiał się Mroźny, machając ręką.

Podniósł jedną siatkę i wysypał jej zawartość na stół. To samo zrobił z drugą.

- Pół bańki. Przeliczcie. To jak to było, ha, ha, biznesmeni VAT-u nie płacą, co? Napijemy się, co? Przywiozłem orzechóweczkę.

- Chętnie, ale jestem zajęty na górze - tłumaczył Jakub.

- Jo tam, zajęty, zajęty, na kieliszek zawsze znajdzie się czas - stwierdził Mroźny.

- No dobrze, jednego, za udaną transakcję.

- I za kolejne!

Agata podała kieliszki, a Mroźny wyciągnął z kieszeni płaszcz a butelkę z samogonem. Wypili po jednym.

- Bardzo chciałbym porozmawiać, ale naprawdę muszę lecieć. Przepraszam. - Jakub podał Mroźnemu dłoń i wyszedł z gabinetu żony, zanim padły słowa sprzeciwu.

- No ale ty, Agatko, jeszcze jednego ze mną chluśniesz.

Mroźny wyszedł w końcu po czterech kolejkach, a Agata zadzwoniła do sekretarki i poprosiła o podwójne espresso. Odpaliła laptopa i włączyła obraz z kamery znajdującej się w gabinecie Jakuba. Izabela Trzos pochylała się nad biurkiem jej męża i oglądała przez lupę jakiś kamień. Miała wypięte pośladki, jej piersi wisiały nad białym, jakby miały zaraz wypaść z rozpiętej koszuli. Może ta poza nie była nawet celowa. Może Izabela po prostu nie zwracała uwagi na swój wygląd. Robiła wrażenie autentycznie zainteresowanej oglądanym okazem. Wszystkie na to leca, pomyślała Agata.

Po południu spotkała się z klientem, który niby chciał inwestować w diamenty, ale nie potrafił zdecydować się na nic, co mu pokazywali. Kręcił nosem, jakby nic mu się nie podobało. Jednocześnie wciąż dzwonił i prosił o kolejną ofertę. Tym razem przyszedł na spotkanie w bryczesach.

- Przepraszam, nie zdążyłem się przebrać. Wracam prosto z hipodromu. Mam tam klacz, przygotowujemy się do zawodów.

- Jak się nazywa? Często tam bywam.

- Ariadna. Klacz hanowerska kasztanowata.

- Och, wiem która! Zawsze ją podziwiam - zapewniła Agata.

- Naprawdę? - ożywił się klient.

- Mam pomysł. Pamięta pan poprzedni diament w kształcie poduszki, który panu pokazywałam? Fancy Intense Brownish Yellow.

- Ten brązowy, tak? No faktycznie, kolor był hipnotyzujący. Ale nie wiem, nie wiem...

- A gdybym zaproponowała panu podobny, ale oszlifowany w kształt głowy konia?

Oczy mężczyzny powiększyły się i zaszklify. Agata uwielbiała ten moment. Chwila, w której wiedziała, że trafiła w sedno i nie ma mocy, żeby klient już się wycofał.

Przygotowała sobie espresso martini i weszła z kieliszkiem na piętro. Odsłoniła panoramiczne okno w łazience, z którego widać było ich ogród, a dalej las i jezioro. Gdyby na drodze stanął jakiś przechodzień, bez problemu dostrzegłby naga sylwetkę Agaty szykującej się do kąpieli, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Z głośników leniwie sączyło się *Strange Fruit* Billie Holiday. Podeszła do przezroczystej zielonej wanny Antonio Lupi i puściła wodę. Stała przy lustrze. Widok *en face* ją zadowolił. Płaski brzuch i całkiem jędrny biust obyty się bez ingerencji chirurga plastycznego, z którego usług bez umiaru korzystały jej koleżanki. Może dlatego, że Agata nigdy nie była w ciąży.

Brak chęci rozmnażania się był zresztą pierwszą rzeczą, która ujęła ją w Jakubie. Mieli wspólną wizję życia, plan na siebie. Przyjaciółki mówiły, że nic tak nie wiąże jak dzieci. Rodziły je, a potem przymykały oczy na to, że ich mężowie przerzucają się na młodsze ciała. Ona nie miała tego problemu. Jakub pragnął jej tak samo jak w dniu ślubu.

Stała profilem do lustra i się skrzywiła. Pośladki zaczynały przypominać dwa smętnie zwisające worki. Cholerny zanik dupy, pomyślała. Trzeba było coś z tym zrobić. Przecież umiała wziąć się w garść. Tylko dzięki samozaparciu i konsekwencji zbudowała z mężem prężnie działający biznes, więc z własnym tyłkiem też sobie poradzi.

Dziesięć minut później usłyszała dwuturbinowy silnik aston martina podjeżdżającego pod dom. Jakub wszedł na górę, do sypialni.

Agata wyszła z wody, wytarła się i dopiero potem zasłoniła okno i owinęła się ręcznikiem. Rolety były kompromisem. Ona marzyła o kąpielach z widokiem, on nie zniósłby myśli, że obserwuje go ktoś obcy i przypadkowy.

Agata opowiedziała mężowi o swoim sprzedażowym sukcesie.

– Dwadzieścia pięć karatów. Nawet nie zapytał o cenę. Po prostu chce go mieć, i tyle. Najlepiej jeszcze w tym tygodniu. – Zaśmiała się.

Przyzwyczała się już do tego, że klienci chcą swoje diamenty na już. Trzeba było im tłumaczyć, że to nie bułki w piekarni, że kamienie lecą do nich często z drugiego końca świata. A jeśli zlecenie było na unikat, to trzeba czekać nawet kilka miesięcy.

– I co, podoba ci się? – zapytała.

Jakub, nadal w garniturze, siedział na łóżku i studiował najnowszy cennik Rapaportu. Wydawało się, że jej nie słucha.

– Co? Brązowy diament w kształcie głowy konia? Idealny prezent dla szefa mafii.

Spojrzała na niego z wyrzutem, więc zatuszował złośliwość uśmiechem i pocałował ją w skroń.

– Myślę, że to twój kolejny genialny pomysł.

– Ale ja nie pytam o kamień. Tylko o Izabelę Trzos.

– Tę dziennikarkę? Całkiem bystra. Choć nie wyglądała.

– Chyba jednak coś w jej wyglądzie cię zainteresowało. Rysowałeś ją w notatniku. Widziałam.

– Zrobiło ci się przykro? – Na twarzy Jakuba zawisł ironiczny uśmiech.

– Tak. Że mój mąż jest tak żenująco romantyczny. Rysunek, co za tandeta. Może napisz dla niej jeszcze jakiś wiersz z rymami częstochowskimi?

– A podrzucisz jakiś? – odparował Jakub.

Agata zakryła mu dłonią usta. Poczuł na policzku coraz mocniejsze ukłucie jej paznokci, a w podbrzuszu wzbierające podniecenie. Zerwał z żony ręcznik i rzucił ją na łóżko.

Ludzie w redakcji umawiali się na piwo po pracy. Iza nie mogła dołączyć, zresztą i tak nie chciała. Żaloba najpierw była naturalną i zrozumiałą

wymówką, potem niezwykle wygodną. Poza tym miała dziś wieczorny dyżur. Mogła pełnić go w biurze albo zdalnie i zastanawiała się, co wybrać. W domu mogła oczywiście przebrać się w piżamę i nie wychodzić spod koca. Z drugiej strony czekała tam na nią pokusa w postaci dwóch butelek merlota. Już raz w ten sposób wtopiła. Miała relacjonować na bieżąco kreacje gwiazd pojawiających się na Złotych Globach, ale zapiła i zwyczajnie zasnęła. Następnego dnia musiała się mocno tłumaczyć.

Dzisiaj nie było żadnej gali. Wystarczyło, że co pół godziny przescrolluje media społecznościowe i poczeka, aż któraś gwiazdka napisze coś głupiego albo pokaże prowokujące zdjęcie. Celebryckiego newsa można było zrobić z każdej pierdoły.

– Idziesz z nami? – zapytała Magda, widząc, że Iza zamyka laptopa i zbiera się do wyjścia.

– Neeee... będę pracować z domu.

– Słuchaj, Zbyszek mówił, że są jakieś przecieki o śmierci Elżbiety II.

– Taaa... są, odkąd tu pracuję – skwitowała Izabela.

– Ale teraz serio, serio. Podobno był jakiś tweet, czekamy tylko na oficjalną informację.

– Dobra, dam radę przecież. Zresztą wszystko mamy.

W systemie od dawna wisiała przygotowana i nieopublikowana galeria ze zdjęciami i opisami na wypadek śmierci brytyjskiej monarchini. Oczywiście kobieca redakcja mogła ugryźć temat tylko od strony najsłynniejszych kreacji królowej.

– Pomyślałam, że warto by jeszcze napisać o jej małżeństwie z Filipem. Zawsze możesz też naskrobać coś o klejnotach koronnych.

– Luz. Może teraz oddadzą Excelsiora Hindusom.

– Kogo oddadzą?

– Co – poprawiła ją Izabela. – Excelsior. Diament taki.

Magda nie wiedziała, czy Iza żartuje, ale widząc zacięty wyraz jej twarzy, wołała nie dopytywać.

Od razu po wejściu do mieszkania Izabela wzięła laptopa i otworzyła stronę BBC oraz konto rodziny królewskiej na Twitterze. Nic się nie działo. Odwiedziła profile najbardziej aktywnych celebrytek, na które zawsze można było liczyć. Znalazła prowokacyjne zdjęcie w pościeli i gównoburzę o zabieranie dzieci od kocich kawiarni. To załatwiło sprawę na dobre półtorej godziny.

Poczuła pragnienie. Wyjęła z suszarki niedomyty kieliszek z zaschniętą czerwoną obwódką na dnie. Napełniła go i wypijała zawartość duszkiem. Nie czekała długo, aż przyjemne mrowienie ogarnie jej ciało. Odświeżyła strony z informacjami. Nadal nic. Włączyła *The Curse* Agnes Obel i ustawiła losowe odtwarzanie pozostałych utworów wokalistki. Jakub też ją lubił, okazało się, że byli nawet na tym samym koncercie. Myślała o tym, czy minęli się w tłumie w sali albo przy wyjściu. Zdecydowanie za dużo sobie wyobrażała, a za mało wprowadzała w czyn.

Obudziły ją wibracje telefonu. Otworzyła oczy i od razu wiedziała, że jest źle, bardzo źle. Kilkanaście nieodebranych połączeń od Magdy i naczelnego, tyle samo wiadomości. O dziewiętnastej trzydzieści podano oficjalny komunikat o śmierci królowej. Prawie pół godziny temu. Nie wiedziała, co robić najpierw, oddzwaniać czy wrzucać przygotowaną galerię. Zdecydowała się na to drugie. Gdy wciskała „wyślij”, wybrała numer naczelnego.

– Zlecenie gotowe do opublikowania! Miałam problem z komputerem, strasznie przepraszam!

– Nawet nie będę tego teraz słuchał, nie mam, kurwa, czasu. Za piętnaście minut chcę cię widzieć w redakcji. Będziesz tu siedzieć do rana i klepać o Elce wszystko, co ci przyjdzie do tego pustego łba, jasne? Przegięłaś, Iza, skończyła się taryfa ulgowa dla ciebie.

Wyzwiska naczelnego nie zrobiły na niej większego wrażenia. Nie takich obelg redaktorzy wysłuchiwali na kolegiach, gdy dali ciała, a często nawet przewencyjnie. Stara, dziaderska szkoła pieprzonego dziennikarstwa.

Budynek ośrodka opiekuńczo-leczniczego dla nieuleczalnie chorych połączony z hospicjum miał kształt podkowy, dzięki czemu wszystkie okna pensjonariuszy wychodziły na las. To, podobnie jak ogród zimowy, było pomysłem Agaty. Inni mówili, że najbardziej komfortowym otoczeniem do umierania jest własny dom, ale Agata doskonale wiedziała, że wielu podopiecznych marzy o zaznaniu luksusu choćby w ostatnich tygodniach życia. Wiedziała, bo sami się do tego przyznawali. Ludzie przyznawali się do wielu dziwnych i zaskakujących rzeczy w obliczu śmierci.

Przyjazna architektura, wystrój w stylu zen, nowoczesne łóżka, urządzenia medyczne wspierane sztuczną inteligencją, arteterapia, najlepszy personel. Dzięki fundacji, którą prowadziła, do placówki przyjmowano nie tylko tych,

których było stać na takie warunki. Zresztą wpompowali z Jakubem w ośrodek tyle prywatnych pieniędzy, że mogliby tu umieścić, kogo tylko chcieli.

- Szczęść Boże, pani Agatko! - Duchowny, który codziennie odwiedzał hospicjum, stał w holu.

- Szczęść Boże, szczęść Boże. Mam dla księdza krzyżyk, o którym rozmawialiśmy.

- Wspaniale, wspaniale, ale może później... - speszył się duchowny, ale Agata zdążyła już wręczyć mu puzderko. W środku znajdował się wisiorok w kształcie krzyża, wykonany z jedenastu półkaratowych diamentów zakutych w platynie.

- Och... To naprawdę... naprawdę... robi wrażenie. Zastanawiam się, czy to nie za duży, wie pani, przepych...

- Proooszę księdza... Papieski pektorał Pawła VI jest wykonany z osiemnastokaratowego złota, inkrustowany sześćdziesięciokaratowymi diamentami i kolumbijskimi szmaragdami. Jego wartość to prawie półtora miliona dolarów. Ten skromny krzyżyk tutaj jest wart zaledwie kilka tysięcy... Zresztą cena jest kwestią umowną, bo przecież diamenty to wspólne dzieło Boga i człowieka, prawda?

- No tak, święte słowa.

- Bóg stworzył, człowiek tylko wydobył z tego kruszcu to, co najlepsze. W ten sposób też chwalimy Pana. Pracą i udoskonalaniem jego darów.

- Faktycznie, faktycznie... - Ksiądz kiwał głową. Schował puzderko do kieszeni płaszcza i przycisnął je do serca.

Agata szybkim krokiem przemierzała długi korytarz. Po drodze minęła kilka osób z personelu, które kłaniały jej się, jakby sama była papieżem. Nacisnęła klamkę i weszła do pokoju, który bardziej przypominał hotelowy apartament.

- Jak się dziś czujesz, ciociu?

Leżąca na łóżku kobieta odwróciła głowę w stronę Agaty.

- Lepiej, lepiej - odpowiedziała. Mówiła tak co tydzień, choć wszystko wskazywało na to, że jej stan stopniowo, ale kategorycznie się pogarsza. Agata dbała o to, żeby ciotka, która ją wychowała, miała najlepszą opiekę paliatywną, bo niewiele więcej zostało do zrobienia niż uśmierzenie bólu.

- Ciociu, dzisiaj jestem tylko na chwilę. Przyniosłam te dokumenty do podpisania.

- Jakie dokumenty?

- Twoje. Firmowe.

- Aha. Zamykamy działalność, tak? Przecież ja już nie jestem w stanie... Powinniśmy to zrobić dawno temu.

- Ciociu, nie martw się, na razie ja się wszystkim zajmuję, a doktor Suchecki śmiał się, że chyba trzeba będzie cię wypisać, bo wyniki masz coraz lepsze i tylko zajmujesz miejsce potrzebującym.

- No co ty mówisz... a ja się tak słabo czuję.

- Zaraz otworzę okno i poczujesz się lepiej. A twoją firmę jeszcze zdążymy zamknąć, nie martw się. Na razie mamy świetną okazję na zakup diamentów w bardzo atrakcyjnej cenie i żal z niej nie skorzystać.

- Skarbie, ale przecież ja się nie zajmuję diamentami, tylko ogrodnictwem. Co niby zrobię z tymi kamieniami...

- Mam na nie kupca w Belgii, więc wszystko już załatwione.

- Nie wiem, skarbie... ja się na tym nie znam. Zrób, jak uważasz. - Kobieta wzięła od Agaty długopis i złożyła swój podpis w zaznaczonych różowymi karteczkami miejscach.

Kłęczała na macie w pozycji, w której psy podnoszą nogę do sikania, i cieszyła się, że głośna muzyka zagłusza strzykanie w jej biodrze. Zajęcia pilates o zachęcającej nazwie „brazylijskie pośladki” odbywały się w fitness klubie na ostatnim piętrze gdańskiego biurowca. Agata była tu pierwszy raz. Większość uczestniczek, które przeżyły się na sąsiednich matach, wydawała się od niej młodsza. Pracownicy korporacji mających biura w tym samym budynku. Ale były też dziewczyny, które mogłyby uchodzić za jej córki. Prawdopodobnie studentki pobliskiego uniwersytetu, które w ten sposób zaliczały zajęcia wychowania fizycznego. Powinny mieć zakaz wstępu do takich miejsc.

Na przykład ta gówniara, która wyginała się przed nią. Napięta do niemożliwości skóra, długie, wyrzeźbione nogi, okrągła pupa. Może nie była specjalnie szczupła, ale za to bardzo apetyczna i na pewno nie potrzebowała katorżniczych ćwiczeń. Co tu robiła? Czy w ogóle wydzielała pot? Jeśli tak, to pachniał olejkami eterycznym, który Agata wyczuwała przy każdym ruchu dziewczyny. Oud. Zapach drewna agarowego zainfekowanego pewnym gatunkiem grzyba. Boże, wyglądała jak bogini. I jeszcze te włosy, takie jakie Agata sama kiedyś miała. Lśniaco rude, z czerwonymi pasmami, długie, gęste.



Zmieniły pozycję na leżącą. Oczywiście cycki dziewczyny nie opadały na boki, tylko sterczały na baczność. Za to przynajmniej jednak się pocila, bo jej odkryty umięśniony brzuch lśnił wilgocią. Studentka na chwilę odwróciła głowę i Agata dostrzegła jej twarz. Poczula coś dziwnego. Skądś ją znała, ale nie potrafiła zlokalizować jej w pamięci.

Pod koniec zajęć Agata była tak zmęczona, że chciało jej się wymiotować. Nie opuściła sali wcześniej tylko dlatego, że nigdy nie odpuszczała, no i za nic nie chciała wyjść na mięczaka. Studentka miała szafkę po drugiej stronie szatni. Nie patrzyła na Agatę. Nie odzywała się do nikogo i wyraźnie się spieszyła. Wzięła szybki prysznic i wkładała ubranie na mokre ciało. Zastaniała się przy tym jak mogła. Inne dziewczyny paradowały nago, a ona nie. Wstydziła się. Czego? Wyglądała lepiej niż one wszystkie razem wzięte. Jak bogini.

Agata opłukała się wodą, wytarła, wbiła w dres, adidas i szybko wyszła za studentką do windy. W środku było sporo osób. Dziewczyna wcisnęła przycisk drugiego piętra. To znaczy, że nie miała zamiaru wychodzić z budynku. Wysiadła z windy, ale na korytarzu było pusto, więc Agata stchórzyła i nie poszła za nią. Nie zdążyła nawet zerknąć na tabliczkę z nazwą firmy. Kiedy dojechała na parter, poczekała, aż wszyscy wyjdą, i ponownie wjechała na drugie piętro. Stwierdziła, że cały poziom należy do redakcji znanego portalu internetowego. Teraz ją olśniło. Dziewczyna nie była studentką, tylko dziennikarką. W dodatku całkiem znajomą. Odwiedziła kiedyś ich firmę i przeprowadziła wywiad z Jakubem. W ciągu dwóch miesięcy Izabela Trzosa zmieniła się tak bardzo, że trudno ją było rozpoznać.

Agnieszka Kłosińska stuknęła o blat stolika hybrydowymi paznokciami w marmurkowy wzorek.

- Każą płacić za to dwadzieścia złotych, a smakuje jak rozwodniona ziemia. - Skrzywiła się.

- Piłaś kiedyś rozwodnioną ziemię? - zainteresowała się Agata.

- Wiesz, o czym mówię.

- Wiem, że dwadzieścia złotych to dla ciebie tyle co nic.

- I tu się mylisz. Liczę się z moimi pieniędzmi. Za tę kwotę dostaniemy pyszną kawę w klubie u góry. Nie rozumiem, dlaczego siedzimy tu, a nie tam.

- Bo ona chodzi na lunch tu, a nie tam. Nie stać jej.

- Ta cała Izabela, o której ciągle gadasz? Myślałam, że chciałaś spotkać się ze mną. Nie widziałyśmy się sto lat.

- Trzy tygodnie. Co złego w tym, że upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu?

- Bardzo mi miło - powiedziała z przekazem Agnieszka.

- To ona! - Agata odwróciła się gwałtownie, tak aby siedzieć tyłem do Izabeli, która właśnie szukała wolnego stolika.

- No niezła jest, faktycznie. Przykro mi. - Agnieszka zlizwała bitą śmietaną z łyżeczki. - To mówisz, że Jakub z nią pisze od tamtego wywiadu?

- Na to wygląda.

- Ale przejrzałaś mu wiadomości czy co?

- No wiesz? Sam mi powiedział.

- Hmm... może chciał ci zamydląć oczy. Wyprzedzić fakty... - zastanawiała się Agnieszka. - Myślisz, że on cię naprawdę nigdy nie zdradził? Jesteście małżeństwem od dwudziestu lat...

- Jakub nie musi robić takich rzeczy.

Agnieszka pomyślała, że jej przyjaciółka bredzi. Niby miała głowę na karku, ale chyba była wyjątkowo naiwna. Gdyby to od starań żony zależało, czy mąż ją zdradzi, czy nie, to na świecie żyłyby prawie same lojalne małżeństwa.

Z drugiej strony, gdyby miała wytypować jednego mężczyznę ze swojego otoczenia, który nigdy nie wdałby się w romans, to z pewnością wskazałaby wyłącznie Jakuba Gellera. Był wpatrzony w swoją żonę, mówił o niej w samych superlatywach, opowiadał o niej klientom, nawet kumplom na męskich wyjazdach. Trochę się z niego nabijali z tego powodu. Agnieszka wiedziała o tym od Krzysztofa.

- Ty wiesz co? Ona wygląda trochę jak ty, zwłaszcza w tych rudych włosach. Gdyby jeszcze trochę schudła... Właśnie, a jak twoje brazylijskie pośladki? Chodzisz tam jeszcze?

- Nie. Łatwiej i szybciej będzie wstawić implanty.

- Jak chcesz, to dam ci numer do mojego chirurga. To Michał Anioł ze skalpelem zamiast dłuta. - Agnieszka wyjęła telefon i wysłała przyjaciółce wizytówkę. - Dobra, to idziesz do niej czy na co czekamy?

- Po co mam do niej podchodzić?

- Nooo... powiedzieć jej, że jak nie zostawi w spokoju twojego męża, to wydlubiesz jej ślepiec.

Agata zaczęła się śmiać.

- Albo jej zapłacić. Motywacja pozytywna działa podobno lepiej od negatywnej – ciągnęła Agnieszka, ale jej przyjaciółka nadal tylko się uśmiechała. Co chwilę dyskretnie odwracała wzrok, żeby spojrzeć na Izabelę. – Słuchaj, jak nie chcesz się z nią rozprawić, to po co w ogóle tu przyszłyśmy?

- Nie wiem. Chciałam sobie na nią popatrzeć...

- Aha. Po prostu masz obsesję – skwitowała Agnieszka.

Nie potrafiła jednoznacznie stwierdzić, czego Jakub Geller od niej chce. Czy w ogóle czegoś chce. Zachowywał się co najmniej dziwnie. Pisali do siebie codziennie, czasami dzwonili. Od autoryzacji wywiadu płynnie przeszli do rozmów o muzyce, filmach, podróżach, ulubionej kuchni, wszystkim, co ich kręciło – wcale nie w seksualnym znaczeniu. Jakub był powściągliwy. Nie rzucił podtekstami, nie pozwalał sobie na aluzje. Nie komentował jej wyglądu, nie pokusił się o żaden komplement na temat jej urody. Raz tylko napisał Izabeli, że ma fascynujący umysł. I że wydaje mu się, jakby ich myśli podążały tymi samymi ścieżkami. Nie była pewna, jak to odczytywać.

- Facet cię rwie, to przecież jasne – skwitowała Magda, z którą zeszła na przerwę do redakcyjnej kawiarni. Za oknami było szaro, prószył drobny śnieg, co na początku listopada stanowiło pewne zaskoczenie. – Po co miałyby z tobą rozmawiać?

- Bo jestem inteligentna i chce się ze mną przyjaźnić?

- Błagam cię. Mężczyźni nie chcą się przyjaźnić z kobietami. Zwłaszcza z takimi laskami.

- Dzięki – odpowiedziała Izabela takim tonem, jakby wcale nie wzięła słów Magdy za komplement.

- Nie no, serio. Daj mi link do swojej diety, bo też chcę zrzucić dziesięć kilo w dwa dni.

- Dwa miesiące. Plus katorżnicze treningi na siłowni.

- No ale było warto, poważka. A z włosami co właściwie zrobiłaś? – drażyła Magda.

- Cudowne osiągnięcia trychologii... – Izabela puściła do niej oko.

- No w każdym razie nie mów mi, że wylaszczyłaś się tak tylko dla siebie. Podoba ci się ten jubiler?

- Jest... interesujący. Ale nie dlatego wzięłam się za siebie. Prawda jest taka, że rok temu... – Twarz Izabeli stężała, słowa utkwily jej w ustach. Nie była

w stanie dokończyć zdania. – Zaczęłam się staczać. Wiesz, że przed pracą potrafiłam wypić pół butelki wina?

– No wiem... Siedziałam obok ciebie – przypomniała Magda. – Nie kryłaś się tak dobrze, jak myślałaś.

– Ja pierdołę... Ktoś jeszcze zauważył? – Iza skubała skórki przy paznokciach.

– Słuchaj... Nie łam się tym teraz. Jeśli nawet, to wszyscy i tak rozumieli. Po takiej tragedii...

– Myślałam, że umrę – skwitowała Izabela.

Magda nie wiedziała, jak to jest stracić najbliższą osobę. Sprzed roku pamiętała tylko tyle, że Iza bardziej przypominała zombi niż żywego człowieka. Przychodziła do pracy w byle czym, nie czesała się, nie malowała. Na jej twarzy non stop widniał wyraz bolesnego skupienia. Magda dziwiła się, że w takim stanie da się w ogóle klecić jakieś teksty, zwłaszcza tak idiotyczne, jakie kazano im pisać.

– Skąd właściwie wytrzasnęłaś tego jubilera?

Dopiero teraz wydało jej się dziwne, że Izabela w tamtym czasie w ogóle podjęła taki temat. Zwykle pisały o przepisach na gładkie pięty, sposobach na gęstsze brwi, ewentualnie kreacjach celebrytek. A tu nagle temat „klejnoty gwiazd”. To jeszcze było okej i nawet spodobało się naczelnemu. Trochę kręcił nosem, że Iza wymyśliła sobie prawdziwy wywiad z ekspertem od kamieni szlachetnych. W jego mniemaniu była to strata czasu i pieniędzy. Media workerzy nie robili wywiadów. Co najwyżej dzwoniли do człowieka i prosili o wypowiedź telefoniczną. Byle szybciej. Izka zapewniła, że tak właśnie robi, a potem umówiła się z Gellerem po godzinach. I wróciła z materiałem o diamentowym scamie. Naczelnny oczywiście tego od niej nie wziął. Kazał jej przygotować na tej podstawie galerię o biżuterii zakładanej na Oscary i inne gale. Poważne wątki przekazał do opracowania Jackowi z wiadomości.

Iza popatrzyła na Magdę, jakby nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– To był przypadek – stwierdziła. – Znajoma wspomniła mi o Gellerze. Poznała go na jakiejś imprezie. Opowiedział jej kilka fascynujących historii o diamentach. Pomyślałam, że to ciekawe.

– No... tak czy inaczej, cieszę się, że wychodzisz na prostą. I zazdroszczę, że nawet ta głupia robota cię nie dobija.

– Po prostu przestała mieć dla mnie znaczenie.

Magda nie była pewna, co to znaczy, więc tylko pokiwała głową. Izka czasem rzucała takie dezorientujące, pseudofilozoficzne teksty. Nie wiadomo było, czy żartuje, czy mówi poważnie. Lepiej było nie drażnić. Nie w jej stanie. Może i wyglądała świetnie, ale do stabilizacji psychicznej na pewno było jej jeszcze daleko. Nawet teraz zachowywała się dziwnie, co chwilę odwracała się nerwowo, jakby szukała kogoś wzrokiem.

- Czekasz na kogoś? - zapytała Magda.

Iza zagapiła się na drzwi wejściowe. Czasem się tak odklejała.

- Neeee - odpowiedziała, ale odwróciła się jeszcze kilka razy. - Wydawało mi się, że widziałam kogoś znajomego.

- Aha. - Magda upiła łyk kawy. Zastanawiała się, co powiedzieć, żeby sprowadzić Izę do rzeczywistości i nie wracać już do tamtych spraw. - To mówisz, że zawróciłaś w głowie bogatemu jubilerowi...

- Właśnie nie wiem. Niby jest zainteresowany... ale za każdym razem, gdy rozmowa robi się trochę zbyt poufała, zaczyna gadać o żonie. Agata uważa to, powiedziała tamto, lubi siamto... Cały czas podkreśla jej obecność. - Mówiąc to, Iza znowu odwróciła się w stronę wyjścia.

- Ale czego nie rozumiesz? - Dla Magdy sytuacja była jasna. - Facet chce cię bzyknąć, a o żonie gada po to, żebyś nie robiła sobie nadziei na nic więcej. Romans tak, rozwód nie. Typowe.

Izabela zamówiła jeszcze jedną kawę, tym razem na wynos. W sumie już trzecią tego dnia. Włożyła do kieszeni garść torebek z brązowym cukrem.

- Każdy sposób na oszczędzanie jest dobry - powiedziała z uznaniem Magda i zrobiła to samo.

- Wiem, wiem, widziałam, jak podbierasz papier toaletowy z kibla - zaśmiała się Izabela.

- Ej, to był tylko jeden raz! I nie dlatego, że chciałam go zabrać, po prostu miałam straszny katar...

- Taaa... Mnie nie musisz ściemniać. Wiesz, co jeszcze robię? Jak jestem w spożywczaku, to zamieniam naklejki z cenami. Na przykład te z tanich pomidorów na malinowe. Albo z pomarańczy na pomelo. W H&M ten myk też czasem przechodzi. Trzeba tylko mieć coś ostrego i umiejętnie wyjąć z metki plakietkę z kodem kreskowym.

Podbieranie cukru czy papieru od pracodawcy jeszcze uchodziło. I tak były wyzyskiwane. Żartowały, że niedługo będą pracować za miskę ryżu. Ale

podmienianie cen w sklepie? Izka była naprawdę pomylona.

Śnieg nie prószył już drobinkami jak w ciągu dnia, ale sywał się z nieba grubymi płatami. Izabela wyjrzała przez okno. Wystarczyły dwie godziny, żeby wszystkie samochody na parkingu ugrzęzły pod białymi czapami. Oczywiście nie pomyślała o zmianie opon. Wróciła na kanapę i nakryła się kocem. Włączyła jakiś serial na Netfliksie, ale nie mogła się wciągnąć. Jednocześnie scrollowała na przemian Facebooka i Instagrama.

„Co robisz w ten magiczny piątkowy wieczór?” – napisała na komunikatorze szybciej, niż pomyślała. Jakub odczytał wiadomość, ale nie odpisywał. Wyszła na desperatkę. Włączyła inny serial, który na szczęście był na tyle interesujący, że zapomniała o swojej wtopie.

Po kwadransie przyszła odpowiedź: „Piję paskudnego osiemnastoletniego przereklamowanego glenlivet, który smakuje jak kompot, i słucham, jak pewien biedak próbuje przepiłować violę”.

„*Sounds like fun*. Gdzie jesteś?”

Wysłał jej pinezkę. Po wejściu w aplikację na mapie pojawiła się lokalizacja luksusowego hotelu pod Gdańskiem.

„Sam?”

„W pewnym sensie chwilowo tak”.

Zastanawiała się, czy ją spławił, czy zachęcał. Pewnie ani jedno, ani drugie.

„Może dołączę, żeby podtrzymać cię na duchu?”. Nie miała nadziei na pozytywną odpowiedź, raczej chciała po prostu wiedzieć, na czym stoi. Wóz albo przewóz.

„Zapraszam”.

Wpatrywała się w ekran telefonu i nie mogła uwierzyć.

„To nie impreza zamknięta?”

„Wprowadzę cię. Powołaj się na mnie przy wejściu”.

„Okej. Będę za dwadzieścia minut. Albo za godzinę, sądząc po warunkach”.

„Tylko jedź ostrożnie. Błagam!”.

Ta prośba rozczuliła ją i zmotywowała. Nie zapytała, co powinna na siebie włożyć, ale nie chciała już zawracać mu głowy w obawie, że się rozmyśli. Droga whisky i muzyka klasyczna. To oznaczało jakąś dętą imprezę, więc pewnie obowiązywał strój wieczorowy. Wreszcie będzie mogła zaszczytować figurą

w obcisłej sukience z odkrytymi plecami, którą nosiło się bez stanika. Tygodnie męczarni i głodówki na coś się przydały.

Dziesięć minut zajęło jej samo wykopanie auta z zasy. Kiedy wyjechała na Przywidzką, zrozumiała, że jest bardzo zdesperowana. Ulice odśnieżono jakiś czas temu, ale wszystko zdążyła pokryć nowa warstwa puchu. Za Gdańskiem było jeszcze gorzej. Jechała dwadzieścia na godzinę. Do hotelu dotarła przed dwudziestą drugą.

Osiemnastowieczny pałac był otoczony parkiem zadrzewionym starymi bukami. Pośrodku znajdował się staw, teraz pokryty szklaną skorupką. Izabela miała wrażenie, że wjeżdża na plan filmowy jakiejś baśni. Jakub stał na schodach w samym garniturze i palił papierosa. Czekał na nią. Zaprowadził ją do sali bankietowej, gdzie na stołach stały resztki różnych fikuśnych przystawek. Na przykład coś, co wyglądało jak porośnięty mchem kawałek pnia z surowym prawdziwkiem, a okazało się nie tylko jadalne, ale i całkiem smaczne.

– Czego się napijesz? Glenliveta nie polecam, ale mają tu zacnego taliskera. Nie wiem, czy lubisz mocne alkohole...

– Dzięki, ale muszę jakoś wrócić do domu.

– Możesz nocować tutaj – stwierdził Jakub, jakby to była najbardziej naturalna rzecz w tej sytuacji. – Właściciel to mój dobry przyjaciel, cały hotel jest dla nas, a z tego, co wiem, są jeszcze wolne pokoje.

Pomyślała, że ćwierć szklanki dobrej whisky jej nie zabije. Poza tym zawsze chciała spróbować alkoholu, który kosztuje tyle ile butelka markowych perfum. Spanie w osiemnastowiecznych pałacach też nie zdarzało się codziennie.

Trzy kolejki później Izabela siedziała znudzona przy barze i odpierała zaloty leciwego adoratora. Szukała wzrokiem Jakuba, który zostawił ją na chwilę, bo miał do załatwienia jakiś biznes. Nie wracał od pół godziny, a ją coraz bardziej muliło. Jeśli tak miało wyglądać uwodzenie w jego wykonaniu, to szło mu wyjątkowo kiepsko. Zaczynała się irytować, ale kiedy w końcu pojawił się w drzwiach, złość natychmiast minęła.

– Maciusiu, pani Iza chyba nie jest zainteresowana, prawda? Nie pij tyle, bo tracisz zdolność oceny sytuacji. – Typ przy barze był chyba dobrym znajomym Jakuba, skoro jubiler pozwalał sobie na takie szpile.

– Jasne. Kapuję. Sorry. – Facet się oddalił.

Izabela i Jakub zostali sami. Zamówili jeszcze jedną kolejkę. Mimo robiącego swoje alkoholu jubiler pozostawał powściągliwy. Rozmowa jak najbardziej im się kleiła, ale nie wychodziła poza przyjacielskie ramy. Izabela miała coraz większą zagwozdkę. Rozluźnienie wywołane procentami sprawiało, że zachowywała się coraz swobodniej. Sprawdzała go, ale jej prowokacje trafiały w próżnię.

- Wybacz, ale jestem bardzo zmęczony. Ciężki tydzień. Pokazać ci twój apartament? - zapytał Jakub.

Pomyślała, że to ten moment, że teraz wreszcie coś zacznie się dziać. Może Jakub nie był wylewny albo nie chciał robić sensacji przy znajomych. Skinęła głową i zademonstrowała mu najbardziej uwodzicielski uśmiech, na jaki było ją stać. Poszła za nim na pierwsze piętro. Zatrzymali się, Jakub otworzył jej drzwi, a następnie wręczył kartę z kluczem.

- Dziękuję za miłe towarzystwo i że chciało ci się jechać taki kawał. Mam nadzieję, że nie wynudziłaś się dokumentnie.

- Nie, to ja dziękuję. Było... super.

Patrzyła na niego zdziwiona. Naprawdę to miało się tak zakończyć? Rozejściem do swoich pokoi?

Jakub podał jej dłoń. Nawet jemu ten gest wydał się dość sztywny, więc zbliżył się, żeby ją pocałować, i trafił na jej usta. Izabela przyczepiła się do jego warg. Trwało to może trzy sekundy, po których Jakub się odsunął.

- O cholera... - Czują, jak krew napływa jej do twarzy i zmienia jej kolor na buraczkowy. - Bardzo, bardzo cię przepraszam.

- W porządku. - Jakub wyglądał na speszonego. Rozglądał się, jakby szukał najszybszej drogi ucieczki.

- Bardzo źle cię zrozumiałam.

- Nic się nie stało, naprawdę. Niezwykle mi miło.

- A mnie potwornie głupio.

- To nie twoja wina. Jesteś wspaniała. Ja po prostu... nie mogę.

Parcie na pęcherz było coraz silniejsze. W pewnym momencie poczuła, że jeśli nie wstanie w ciągu pięciu sekund, to nie zdąży dobiec do kibla i zsika się na służbowy fotel. Naczelný posyłał jej ponagląjące spojrzenia znad biurka przy oknie. Izabela załączyła ostatnie zdjęcie do artykułu, wpisała tytuł zlecenia w systemie i kliknęła „wyślij”. Szybkim krokiem przemierzyła open space i weszła do toalety.



Myjąc ręce, patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Wydała się sobie śmieszna z tymi pofarbowanymi na rudo włosami, manikiurem i zielonymi soczewkami, które przez tydzień uczyła się zakładać.

- I co teraz, desperatko? - Chlapnęła wodą w odbicie na wysokości twarzy i wyszła.

Jakub nie odzywał się od feralnego spotkania w hotelu, co w ogóle jej nie dziwiło. Ona też milczała. Nie wiedziała, czy lepiej dać mu teraz spokój, czy może jeszcze raz oficjalnie przeprosić. Nagle przestraszyła się, że wiadomość w jakiś sposób mogłaby trafić do Agaty, choć wcześniej, gdy korespondowali z Jakubem, w ogóle się tym nie przejmowała. Jak widać, fatalnie oceniła sytuację.

Zeszła do kawiarni i stanęła w kolejce. W kółko rekonstruowała w głowie przebieg sobotniego wieczoru. To, co mówił Jakub, jego zachowanie, spojrzenia. Za każdym razem dochodziła do wniosku, że można mu było zarzucić najwyżej serdeczność. Ona z kolei zrobiła z siebie idiotkę. Prowokowała go słowami, patrzyła głęboko w oczy, przeżyła się na wysokim stołku, po prostu była żenująca. Po raz kolejny tego dnia umierała w środku ze wstydu.

Odebrała swoje duże cappuccino i skierowała się do wyjścia. Zapomniała cukru, więc cofnęła się po saszetkę, a kiedy się odwracała, zderzyła się z jakąś kobietą. Patrzyła, jak kawa spływa po jasnym płaszczu tamtej.

- O matko... strasznie panią przepraszam!

- Cholera... - wysyczała kobieta i zaczęła szukać w torebce czegoś do wytarcia plamy. - No trudno.

Izabela sięgnęła po serwetki.

- Zapłacę pani za pralnię albo odkupię... - jąkała się. Płaszcz wyglądał na bardzo drogi.

- Tak, na pewno - rzuciła kobieta, ale jej ton szybko złagodniał. - Okej, to nic takiego.

Dopiero teraz spojrzwały sobie w oczy. Z boku musiało to wyglądać dość dziwnie. Jak spotkanie sobowtórów. Izabeli zrobiło się nagle bardzo zimno. Przed nią stała Agata Geller. Udawanie, że jej nie poznaje, nie wchodziło w grę. Zastanawiała się tylko, co kobieta ubrana w kaszmir, skórę, złoto i diamenty robiła w takim miejscu. Nagle dotarło do niej, że już ją tu kiedyś widziała.

Wtedy uznała to za pomyłkę, wytwór umysłu, który zafiksował się na jednym wątku i nie potrafi odpuścić.

– Spotkałaś się z moim mężem... – zaczęła Agata. Jej uśmiech równie dobrze mógł być czysto uprzejmy, jak sygnalizować, że własnoręczne wyprucie flaków konkurentce sprawi jej ogromną przyjemność.

Izabela nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc po prostu stała jak słup na środku kafejki i czekała na kolejny ruch kobiety. Jeśli miało nim być odwetowe chluśnięcie w twarz gorącą kawą, to i tak nic już nie mogła zrobić. A pewnie na to zasłużyła.

– Jakub mi opowiadał... – Głos Agaty zrobił się całkiem miły, co jeszcze pogarszało sytuację. Izabela nie wiedziała, czego się spodziewać.

– Tak. Ja... Chciałam jeszcze porozmawiać o diamentach – zaczęła się nerwowo tłumaczyć. – Whisky chyba mi nie służy... nie pamiętam... Przepraszam.

Izabela ruszyła do wyjścia, więc trudno było stwierdzić, czy przeprosza swoją rozmówczynię za to, że próbowała uwieść jej męża, czy po prostu chce przejść.

– Iza, zaczekaj – powiedziała Agata stanowczym tonem.

Izabela zatrzymała się, głównie po to, żeby nie robić sensacji w swoim miejscu pracy.

– Nie jestem zła. Chcę tylko porozmawiać.

Otworzyła drzwi swojego gabinetu i skinęła na sekretarkę, dając jej znak, że może wprowadzić oczekującego gościa.

– Nieźle, Izka... Naprawdę szacun.

Zbyszek z newsowej redakcji portalu internetowego – w którym już nie pracowała – cmoknął z uznaniem. Rozejrzał się po gabinecie, a potem otaksował wzrokiem swoją dawną znajomą.

– Zarabiasz tu pewnie ze dwa razy więcej niż u nas?

– Trzy razy więcej... niż ty. – Uśmiechnęła się krzywo.

Niby w redakcji obowiązywały klauzule o poufności wynagrodzeń, ale i tak wszyscy wiedzieli, że nawet zasuwająca jak chomik w kołowrotku redaktorka z lifestyle'u nie ma szans na pensję pana dziennikarza z newsów, który pije wódkę z dyrektorem programowym.

Zbyszek od dwóch miesięcy prosił Izabelę o wywiad. Przetrzymała go z wielką przyjemnością. W końcu nowa praca PR managera w jednym z najlepszych salonów jubilerskich w Polsce bardzo ją absorbowwała. Nie przeszkadzało jej to oczywiście czerpać radości ze spotkania i miny Zbyszka.

- Facet musiał zobaczyć w tobie coś, czego niestety nie chciał widzieć nasz zarząd...

- Nasz zarząd nie miał pojęcia o moim istnieniu.

- A widzisz... czyja to wina? Może trzeba było bardziej o siebie zawalczyć?

- Trzy razy starałam się o przeniesienie do redakcji newsowej, ale dziewczynie od szminek i sukienek nikt nie chciał dać szansy. - Teatralnie rozłożyła ręce. - I bardzo jestem za to wdzięczna.

- Zawsze wiedziałem, że masz diabła za skórą. - Zbyszek puścił do Izy oko.

- Słuchaj, miło się wspomina, ale mam huk roboty, więc jeśli chcesz zapytać o jakieś konkrety, to wal.

- Yyy... jasne. - Zbyszek wyjął swój zapisany maczkiem kajecik. - Przyszedłem porozmawiać oczywiście o diamentach...

- No proszę... - przerwała mu, choć doskonale wiedziała, jaki jest cel rozmowy. - Nagle się okazuje, że diamenty to doskonały temat. Widocznie to zależy od tego, kto go realizuje.

- Daj mi szansę, co? - Zbyszek uśmiechnął się polubownie.

- Strzelaj.

- No dobra. - Jego ton nagle się zmienił. - To powiem wprost, bo widzę, że też się nie certolisz. Jestem szczerze zdziwiony.

- Czymże?

- Izka, nie pierdol. Nie pisałaś tylko o szminkach i sukienkach. Wiem to, bo tak się składa, choć pewnie cię to zaskoczy, że akurat czytałem twoje dawne teksty. Z przyjemnością i podziwem.

Odchyliła się na wygodnym obrotowym fotelu z miękkiej, naturalnej skóry i przeciągnęła.

- Możesz się śmiać albo nie wierzyć, ale mówię serio. Kiedyś miałaś misję. Pisałaś o przekrętach, starsuskach, które wnuki sprzedały razem z mieszkaniem, o kobietach, które uciekły od przemocowych mężów... Jestem pewien, że robiłaś to po godzinach i na własny koszt.

Teraz naprawdę się roześmiała, ale w gardle poczuła gulę, o której już prawie zdążyła zapomnieć.

- Kumam, że pięciocyfrowa pensja może być kartą przetargową, ale... diamenty? Serio? Ty nawet nie nosiłaś biżuterii, oprócz jakichś tam sznureczków i plecionek na rękach.

- Chyba rzeczywiście obserwowałaś mnie baczniej, niż sądziłam – odparła z przekąsem i dodała sucho: – Lubię moją pracę. Mam samodzielne stanowisko, jestem traktowana poważnie, rozwijam się. Tak, lubię też mieć za co wyjść do restauracji, kina, kupić sobie coś ekstra. To zupełnie nowe doznania. I naprawdę nie rozumiem, co masz do diamentów.

- Nie do diamentów, tylko do ludzi, którzy czerpią z nich zyski. Raz, że sztucznie napędzają hajp. Dwa, że metody pozyskania są średnio etyczne.

- Proszę cię.

- Iza, to ja cię proszę. Pół roku temu byłaś na moim miejscu i sama zadawałaś te pytania. Zrozumiem, jeśli kieruje tobą cynizm, ale nie uwierzę, że nagle uwiodła cię magia kamieni szlachetnych.

Kiedy szła na wywiad z Jakubem, tak naprawdę nie miała żadnego planu. Działała na totalnego czuja. Nie sądziła, że ta historia potoczy się w ten sposób, że zajdzie tak daleko. Z czasem wszystko samo zaczęło się prostować. Jakby wreszcie złapała za końcówkę nitki i kłębek rozplątywał się sam.

- Zadawałam te same pytania, bo widocznie miałam o diamentach takie samo blade pojęcie jak ty teraz. Naczytałam się jakichś bzdur rodem z Wykopu o tym, jak wielkie korporacje trzymają łapę na kamieniach i sztucznie windują ich ceny, jakby przemysłowcy nie robili tego samego z innymi aktywami. Ale chyba tak działa świat, prawda? Poza tym diamenty, z którymi my tu mamy do czynienia, to nie są takie same kamienie jak te, których używa się w przemyśle. To jakieś dziesięć, może dwadzieścia procent całego wydobycia, więc nie mów mi o sztucznym hajpie. Tych najcenniejszych kamieni jest coraz mniej, a niedługo w ogóle się skończą, przynajmniej na rynku pierwotnym. Za jakieś trzydzieści, może czterdzieści lat z ziemi zostanie wykopany ostatni diament. Zresztą nie tak dawno zamknięto najsłynniejszą kopalnię i tak bardzo rzadkich, różowych diamentów...

- Argyle w Australii. – Zbyszek wszedł jej w słowo tylko po to, żeby pokazać, jak się przygotował.

- Działała niecałe czterdzieści lat, a co roku organizowano specjalną aukcję Argyle Tender, podczas której licytowano najcenniejsze okazy. Wiesz, ile ich było w ciągu tych wszystkich lat?

– Hm... sto rocznie?

– Rocznie wydobywa się dwie garści różowych diamentów na całym świecie – odparła z satysfakcją. Często prowadziła podobne dyskusje z wyjątkowo dociekliwymi dziennikarzami i bardzo lubiła ten moment. – Wszystkie diamenty zlicytowane na aukcjach Argyle Tender przez trzydzieści osiem lat zmieściłyby się w kilku kieliszkach szampana. Tak rzadkie są to okazy.

Zbyszka przytkało, na co oczywiście liczyła.

– Macie jakiś u siebie? – Rozejrzał się po gabinecie, jakby oczekiwał, że znajdzie w gablocie kamienie za miliony dolarów.

– Zdarzało się. Mamy na nie klientów. Zresztą taki diament to marzenie większości kolekcjonerów. Zamknięcie takiej kopalni jak Argyle to wydarzenie na skalę śmierci Picassa.

– Pięknie powiedziane, bardzo pięknie. – Zbyszek z uznaniem pokiwał głową. – A skoro sama o tym wspomniałaś... Zdaje się, że teren pod tę kopalnię został kupiony od rdzennych mieszkańców za jakiś bezcen, prawda? To była ich święta góra, aż tu nagle przyszli obcy ludzie i zaczęli w niej wiercić.

– Podobno Indianie sprzedali Manhattan za skrzynkę whisky. Może w związku z tym powinieneś obrazić się na Amerykanów i nie latać do Stanów? A tak zupełnie poważnie... Fakt, historia przejścia gruntów nie jest tak różowa jak tamtejsze diamenty. Rio Tinto, koncern wydobywczy, który jest ich właścicielem, wcale się nie wybiela. Wręcz przeciwnie. Przyznał się do błędów i przez ostatnie lata starał się je wynagrodzić lokalnej ludności. Utworzono miejsca pracy, szkoły, przychodnie. Ci ludzie żyli na własnej ziemi jak obywatele Trzeciego Świata. Bez żadnych możliwości. Może szansa zdobycia wykształcenia i kompetencji jest dla niektórych trochę ważniejsza niż dawne miejsce kultu.

Widziała, jak wzrok Zbyszka prześlizguje się po jej dłoniach. Dawny kolega wpatrywał się w pierścionki z kamieniami szlachetnymi, do których Jakub w końcu przekonał Izabelę.

– Jesteś naprawdę dobra. – Zbyszek spojrzął jej prosto w oczy, ale nie potrafiła odczytać, czy mówi szczerze, czy dalej sobie kpi. – Naczelny bardzo cię nie docenił.

– Dziękuję. – Skinęła głową. – Mam nadzieję, że pomogłam. Tekst poproszę oczywiście do autoryzacji.

Jeziro Otomińskie kojarzyło jej się z samymi dobrymi rzeczami. Wakacjami i rodziną. Ojciec był policjantem, a mama nauczycielką w przedszkolu, więc nie spali na pieniądzach. Czasem wysyłali dzieci na kolonie, ale znacznie częściej jeździli nad wodę. Mama mówiła: „Mamy niezwykle szczęście. Są w Polsce ludzie, którzy nigdy nie widzieli morza, a my tutaj mieszkamy. To tak, jakby cały rok być na wakacjach”. Z tą różnicą, że ojciec z jakiegoś powodu nie przepadał za nadmorskimi plażami, mówił, że drażni go piasek i wiatr, więc częściej jeździli nad okoliczne jeziora. Wstawali wcześniej rano w niedzielę, nie jedli śniadania. Mama robiła kanapki z pasztetem i ogórkiem konserwowym, tata szykował mięso na grilla. Pakowali sok, wafelki, papierowe talerzyki, koc i ręczniki. Mieli swoje ulubione miejsce, pod lasem. Kiedyś nad jeziorem nie było tak tłoczno jak teraz.

Izabela wjechała do Otomina i zdała sobie sprawę z tego, że nie była tu od piętnastu lat. Kiedy mama zmarła na raka, przestali jeździć na rodzinne wycieczki. Ojciec był w strasznym stanie, został jedynym rodzicem, ale to nim trzeba było się zająć. Izabela weszła w rolę opiekunki naturalnie, jakby całe nastoletnie życie na to czekała. Robiła to automatycznie i chętnie również z innego powodu. Udawanie mamy pozwalało jej być bliżej niej. To tak, jakby kontynuowała jej istnienie, dzieliła się z nią swoim życiem.

Dom Jakuba znajdował się na końcu ulicy. Brama wjazdowa zaczęła się przesuwać, zanim Izabela do niej podjechała. Albo czekał na nią w oknie, albo miał w domu tyle kamer ile w firmie.

– Jesteś głodna? – zapytał, jeszcze zanim weszła do środka.

– Nie bardzo.

Miała ściśnięty z nerwów żołądek. Była u niego pierwszy raz i nie wiedziała, czego się spodziewać. Zachowywała się, jakby weszła do muzeum, a dotknięcie jakiegokolwiek eksponatu groziło włączeniem alarmu. Wszystko wydawało się jej luksusowe, wykonane z najdroższych materiałów. Zastanawiała się, jak to jest, że ludzie są w stanie rozluźnić się w takim miejscu i po prostu je użytkować: kłaść zakrwawione steki na białym marmurowym blacie, siadać na kanapie z delikatnej cielejącej skóry, chodzić po dywanie, który wydawał się zrobiony z aksamitu, podawać herbatę w porcelanowych filiżankach sprzed dwóch wieków. Ile czasu zajęłoby jej przyzwyczajenie się do takich warunków? Jak szybko by jej spowszedniały?

Owalny dębowy stół nakryto jak na małe przyjęcie. Czarno-białe talerze ze złotą obwódką pokryte były romantycznymi malowidłami, przedstawiały sianokosy i zwierzęta hodowlane. Przy każdym nakryciu stały trzy kieliszki, nieznacznie różniące się kształtem pucharu. Na srebrnych tacach jak od linijki poukładano koreczki i tartinki. W jednym rzędzie okrągłe z łososiem i kawiosem, w kolejnym z awokado i suszonymi pomidorami, następne z *foie gras* i ogórkiem w chili. Wyglądały jak kolorowa układanka.

– To wszystko na moją cześć? – zapytała.

– Wygląda na to, że tak. Włożyłem w to sporo serca.

Nie była w stanie wyobrazić sobie Jakuba stojącego przy blacie i krojącego składniki na tartinki, choć precyzja wykonania rzeczywiście mogła wskazywać na niego.

– Mam nadzieję, że jeszcze nabierzesz apetytu... Wina?

– Nie, dziękuję. Woda mi wystarczy.

Jakub się zaśmiał. Nie widział jej jeszcze takiej spiętej. Nie usiadła, tylko stała oparta o blat w kuchni. Podeszedł i wyjął jej z dłoni szklanę, którą ścisnęła jak deskę ratunkową. Palce miała sztywne i chłodne. Dzieliło ich kilkanaście centymetrów, ale nawet z tej odległości mógł wyczuć napięcie całego jej ciała.

– Więc mogę cię już pocałować?

Skinęła głową i zamknęła oczy.



## V

# Szantaż

Asfalt na końcu ulicy Kaczej, przy której mieszkali Gellerowie, gwałtownie urywał się tuż pod lasem. W tym miejscu stał jeszcze jeden dom. Właściwie domek, który wyglądał, jakby powstał z sześćdziesięciometrowego baraku. Był za to otoczony solidnym i całkiem nowym ogrodzeniem.

Bednar i Gawlik zatrzymali się przed bramą i podeszli do furtki.

- Dzień dobry, dzień dobry! - usłyszeli, zanim któryś z nich wcisnął dzwonek domofonu. - Proszę o chwileczkę cierpliwości!

Powitanie dobiegało z głośnika, który Bednar starał się zlokalizować. W końcu dostrzegł ukrytą w krzakach kamerę. Jedną z kilku, którymi upstrzona była elewacja niepozornej chatki.

Gawlik wzruszył ramionami i zapalił papierosa. Czekali. Dopiero gdy aspirant zgasił niedopałek butem, usłyszeli odgłos silnika samochodowego. Po chwili stary, ale zadbane golf 3 zatrzymał się za ich kiał.

- Paweł Okraska, do usług. - Chłopak, który wysiadł z golfa, nie wyglądał jak stereotypowy, napakowany użytkownik takiego auta. Miał około trzydziestu lat, grube szkła w okularach i długie, ale cienkie włosy, które powiewały teraz we wszystkich kierunkach. Był błady i kościsty. - Dobrze słyhać, co nie? - zapytał z dumą, wskazując na kamerę, którą znalazł Bednar. - Pan naciśnie guzik - zachęcił Gawlika.

Aspirant wykonał prośbę. Sekundę później zapipkał telefon Okraski.

- O, panowie zobaczą. - Chłopak podsunął im telefon. Na ekranie widać było ich troje stojących pod bramą. - Obraz też dobry, co nie?

Okraska otworzył furtkę i przepuścił funkcjonariuszy.



- Przy drzwiach mam drugi dzwonek z kamerą. Tylko wi-fi słabe, więc wolę używać tamtej.

- A właściwie to po co panu tyle kamer? - zapytał Gawlik.

- No wie pan, ma się w domu trochę sprzętu - powiedział z dumą Okraska. - Handluję tym. Głównie to sprawdzam, czy kurier zostawił albo odebrał paczuszkę. Wie pan, jak to z nimi jest. Ściemniają i tak dalej, a ja tu mam wszystko czarno na białym. To znaczy w kolorze. Bo ten obraz to w kolorze akurat jest.

- Rozumiem.

- A jeszcze coś panom pokażę. Tu z boku jest taka kamerka skitrana... o. - Okraska wskazał na urządzenie schowane w bluszczu pnącym się po bocznej ścianie domu. - Ona ma funkcję wykrywania twarzy.

Bednar miał już trochę dość tej prezentacji, ale na hasło „wykrywanie twarzy” nieco się ożywił. Liczył, że wreszcie dojdą do sedna całej tej wizyty i Okraska pokaże im coś interesującego. Na przykład gębę Gellera ciągnącego zwłoki żony do jeziora.

- I na przykład jak mi ktoś tu wejdzie, to kamerka namierzy jego twarz, ale to nie wszystko - ekscytował się chłopak. Znowu podsunął policjantom telefon. - Tu mogę odnaleźć wszystkie zarejestrowane pliki z tą samą twarzą - zakończył z emfazą, czekając na uznanie.

- No i? Udało się panu wychwycić twarz kogoś podejrzanego? - ponaglił Bednar.

- Nooo... nie. W zasadzie to nikt się tu nie zapuszcza. Ludzie nawet nie wiedzą, że ta droga jest przejezdna.

- A jest? - zainteresował się Gawlik. Wydawało mu się, że trasa, którą przejechali, kończy się właśnie tutaj.

- Jak pan wjedzie w las, to można dojechać aż do Lublewa, ale to tylko mieszkańcy wiedzą. Dlatego się zdziwiłem. - Chłopak mrugnął do Bednara, który powoli tracił cierpliwość.

- Czym się pan zdziwił? - Komisarz znał ten typ świadków. Tak bardzo szukali uwagi, że podczas przepytывania tworzyli całą opowieść ze zwrotami akcji i suspensami. Jedynym sposobem postępowania z nimi było zadawanie konkretnych pytań.

- No że ktoś obcy znał ten skrót. - Okraska widocznie zaplanował sobie dozowanie informacji i na tę chwilę nie zamierzał powiedzieć nic więcej.

- Dobra, pokaże nam pan czy nie? - zapytał Bednar.

- To zapraszam do środka - ucieszył się chłopak.

Salon w jego domu wyglądał jak biuro z mnóstwem elektroniki. Na biurku stały dwa wielkie ekrany, płątały się kable. Okraska odpalił komputer i zaczął szukać czegoś w jednym z całego mnóstwa folderów.

- Jest - oznajmił po dłuższej chwili. - Jeśli mam być szczery, to zacząłem przeglądać wszystkie nagrania z kamer z ostatniego miesiąca, jak tylko się dowiedziałem, że zaginęła ta dziana babeczka, moja sąsiadka.

- Znaliście się? Utrzymywaliście bliższe kontakty? - zagadnął Gawlik.

- Pan żartuje? - Okraska się obruszył. - Oni się tu z nikim nie zadawali. Jadźka Maszocka chodziła do nich sprzątać i to by było na tyle, jeśli chodzi o lokalne kontakty towarzyskie. Kiedyś... - Okraska się zawahał - kiedyś nie mogłem uruchomić auta, a że Gellerowa akurat wyjeżdżała z posesji, to pomyślałem, że może podłączę klemy do jej samochodu i odpalę. Gdzie tam! - zaśmiał się chłopak. - Mam do nich co prawda kawałek, więc biegłem drogą i machałem rękami, żeby ją zatrzymać. Żeby pan widział, jak ona na mnie spojrzała... Jak na jakiegoś przybłędę. - Z dezaprobatą pokręcił głową. - Jeszcze docisnęła gazu i tyle ją widziałem.

- Czyli nie lubił jej pan - skonstatował Bednar. - Mielicie jeszcze jakieś zatargi?

Okraska patrzył na niego badawczo przez grube szkła okularów.

- Nie no, bez przesady. Jakie zatargi?

- Wie pan, jak to z sąsiadami. Zwłaszcza takimi, co zadzierają nosa. I myślą, że wszystko im wolno. - Bednar podjudzał chłopaka.

- Nieee... - Okraska się wycofał. - To była jedyna taka sytuacja. Poza tym nie było między nami żadnych... interakcji. Nawet nie mówiliśmy sobie „dzień dobry”. Może się i wywyższali, ale co mnie to obchodzi. Ja nikomu źle nie życzę, nawet takim jak oni.

- Okej, to co z tym nagraniem? - zapytał komisarz, widząc, że jego taktyka naciągnięcia chłopaka na zwierzenia nie wypaliła.

- No tak jak mówiłem, rzadko ktoś tędy przejeżdża samochodem. Raczej jak pomyli drogę czy coś - tłumaczył Okraska, ale jego ton był już inny. Czuło się w nim rezerwę. Insynuacje Bednara go uraziły. Zastanawiał się, czy w ogóle dobrze robi, że dzieli się z policją swoimi odkryciami. Mógł siedzieć cicho, nie wychylać się, a ci dwaj tutaj powinni radzić sobie sami, skoro są tacy mądrzy.

Tak to jest, pomyślał. Człowiek chce pomóc, a jeszcze naraża się na podejrzenia.

Nagranie, które im odtworzył, zostało zarejestrowane w nocy. Widać było na nim przejeżdżającego wzdłuż posesji Okraski nissana qashqai. Obraz był na tyle wyraźny, że bez trudu rozpoznali w kierowcy kobietę. To mogła być Agata Geller albo Izabela Trzos. Co prawda żadna z nich nie posiadała qashqai, ale wynajęcie takiego auta nie stanowiło przecież problemu.

– Kiedy pan to nagrał? – zapytał Gawlik, widząc, że chłopak się zawiesił.

– Trzynastego czerwca.

– Następnego dnia zgłoszono zaginięcie Agaty Geller. – Gawlik spojrzał na Bednara.

– Da się coś zrobić z tą rejestracją? – dopytał komisarz. Kamera podążała za qashqaiem, ale w miejscu tablicy rejestracyjnej widać było tylko białawą poświatę.

Okraska odchrząknął. Nadal sprawiał wrażenie urażonego.

– W trybie nocnym diody odbijają się od tablic, co daje taki efekt... – wyjaśnił i znowu zawiesił głos. – Oczywiście bez problemu można sobie z tym poradzić.

Wszedł w ustawienia aplikacji i zmienił parametry obrazu. Sekundę później ich oczom ukazał się bardzo wyraźny numer rejestracyjny samochodu.

– Jest jeszcze coś... – powiedział Okraska i przewinął nagranie do przodu. Quashqai gwałtownie się zatrzymał, a po chwili wyszła z niego kobieta i zniknęła za samochodem. Dalej film się urywał. Policjanci spojrzeli wyczekująco na chłopaka, który liczył na właśnie taką reakcję. – Złapała ją inna kamera – uspokoił ich i otworzył kolejny plik. Obraz był bardzo niewyraźny i bez powiązania z poprzednim filmem nie miał sensu. Widać było na nim, że kobieta, prawdopodobnie ta sama, która wysiadła z quashqai, oddała się w kierunku jeziora.

– Ona coś niesie... – stwierdził Gawlik. – Tylko co?

– Jakaś paczkę? – zasugerował Okraska.

Bednar wpatrywał się w ekran komputera.

– To ciało psa. Niedaleko tego miejsca znaleziono whippeta Gellerów.

Od kilku dni budził się w ten sam sposób. Nie pamiętał całego snu, tylko ostatni obraz. Pusty skarbiec. Słyszał własny głos, który mówił: „Sprawdź skrytkę”. Czuli

oblewające go zimno i natychmiast otwierał oczy. Z domowego skarbca nie zniknęło wszystko, co posiadał, na pewno nie to, co miał najcenniejszego, a jednak wciąż wystarczająco dużo, by co noc śnił mu się ten sam koszmar.

Dłoń Izabeli, spokojnie spoczywająca na jego torsie, przynosiła ukojenie. Ścisnął ją mocniej. Afera wokół zaginięcia Agaty wywoływała w nim głównie irytację. Odkrycie pustego skarbca było jak cios w podbrzusze. Jednak dopiero myśl o tym, że Izabela również mogłaby zniknąć, sprawiała, że zatykało go z przerażenia. Bardzo chciał, żeby to wszystko już się skończyło. Żeby mogli zamieszkać w willi na Kamiennej Górze i odciąć przeszłość. Albo wyjechać gdzieś bardzo daleko, do Azji albo Ameryki Południowej. Chciał pokazać Izabeli wszystko, co kiedykolwiek go zachwyciło. Szmaragdowe jezioro Cheow Lan w Khao Sok, białą plażę Tanjung Rhu na Langkawi albo kanion Colca w Peru.

Pocałował śpiącą Izabelę w skroń i wstał z łóżka. Wziął prysznic, włożył szlafrok i zaczął szykować śniadanie. Kiedy na patelni zaskwierczały plastry bekonu, wbił jajka i nakrył pokrywką.

Ekran smartfona, który leżał obok deski do krojenia, nagle się rozświecił. Numer prywatny. Ludzie, którzy później zostawali klientami Jakuba, często posiadali zastrzeżone numery.

- Geller, słucham?

Trzy sekundy ciszy i chrząknięcie. Już w tym momencie wiedział, że to nie żaden potencjalny klient.

- Witaj, Jakub. - Głos, który w końcu się odezwał, był zmieniony przez modulator.

- Kto mówi?

- Nie denerwuj się. I tak się nie znamy.

- Czego chcesz?

- Wszystkiego - odpowiedział głos.

Jakub czekał na rozwinięcie, ale w słuchawce zaległa cisza.

- Bardzo zabawne. Dziękuję za rozweselenie poranka, a teraz żegnam...

- No dobrze. Może nie wszystkiego. Nie jestem taki zachłanny jak ty. Wystarczy mi to, co masz najcenniejszego.

Odruchowo spojrzął przez otwarte drzwi do sypialni. Izabela nadal spała na brzuchu.

- Dość żartów. Rozłączam się.

- Ma taki piękny, prawie czerwony kolor...

Rude włosy Izabeli odcinały się od bieli prześcieradła.

– To ostatni taki diament, prawda? I jest teraz twój. Na razie. Ale dasz mi go. Sam. Bo nie chcesz stracić czegoś innego.

– Bo co? Zabijesz Agatę? – zadrwił.

– Nie. Za dużo o tobie wiem, by sądzić, że jej życie jest dla ciebie takie ważne. Jest ci na rękę, że zniknęła, prawda? Z drugiej strony... Tak dużo jej zawdzięczasz. Oddasz mi diament z kilku powodów.

– Mianowicie?

– Po pierwsze dlatego, że mimo wszystko nie życzysz śmierci swojej żonie. Po drugie, pewnie chciałbyś odzyskać te lewe kamienie, które z nią zniknęły, prawda? Gdyby ktoś się o nich dowiedział, twoim nazwiskiem można by się już tylko ewentualnie podetrzeć. To nie byłoby miłe, prawda?

– Prawda... – odpowiedział jubiler. Tak jakby jego usta zrobiły to same. Jeszcze nie docierało do niego to, co słyszał.

– Ale zaczekaj, to jeszcze nie koniec – kontynuował głos. – Gdybyś nadal miał wątpliwości, to pomyślałem o dodatkowej motywacji. Z tego, co się orientuję, leży właśnie w twoim łóżku. Chyba nie chciałbyś, żeby ona także zniknęła, prawda?

Wiedział, że to bez sensu, ale i tak wyszedł na balkon i zaczął się rozglądać. Czego szukał? Tajemniczego mężczyzny w oknie naprzeciwko, ze słuchawką przy uchu? Dawno, może nigdy nie czuł takiej paniki. Chyba nie wiedział nawet, co to słowo oznacza. Teraz zrozumiał, że utrudnia nabranie tlenu do płuc. Tak jakby chciał wziąć oddech, ale jego tchawica odmawiała posłuszeństwa. Czaszka zaciskała się jak stalowa obręcz, a umysł w tych warunkach odmawiał racjonalnej analizy. Musiał odzyskać spokój. Zatrzymał się w sypialni. Izabela ani drgnęła. Złożył usta jak do gwizdania i przez małą szparkę, powoli, zaczął wciągać powietrze. Potem równie wolno je wypuścił.

– Co mam zrobić? – Wypowiedzenie każdego z tych słów sprawiało Jakubowi trudność. Tak musiały się czuć osoby po udarze.

– Odezwę się.

Głos zamilkł, połączenie zostało zerwane. Do nozdrzy Jakuba dotarł smród spalenizny. Podszedł do kuchenki i zdjął pokrywkę z patelni. Bekon był czarny.

– Okna! – usłyszał zza pleców głos Izabeli, która nie czekając na niego, otworzyła na oścież drzwi balkonowe i zaczęła wachlować w powietrzu gazetą. – Kto dzwonił?

- Nie wiem. Może Agata...

- Agata? - Spojrzała na niego zdziwiona. - Znalazła się? Wróciła?

- Neeee... szantażuje mnie.

Izabela usiadła na sofie i sięgnęła po kubek z wczorajszą, zimną herbatą.

- Jak to szantażuje?

Jakub zdawał sobie sprawę, że kolejne kłamstwa nadwyrężą resztki zaufania, które jakimś cudem jeszcze do niego żywiła.

- Ktoś chce, żebym oddał mu Alcheringę. W zamian za inne klejnoty, które zabrał, za życie Agaty i być może... twoje.

Izabela pocierała dłońią o nagie udo. Wyglądała, jakby jeszcze nie do końca się obudziła.

- Moje? - Skrzywiła się. - Dlaczego powiedziałeś, że to Agata?

- To ona albo ktoś, kto ją przetrzymuje.

Bednar od dziesięciu minut siedział w służbowym aucie zaparkowanym przy szeregowcach na Więckowskiego. Stukał palcami w kierownicę w rytm starego przeboju z lat dziewięćdziesiątych, *Entre dos tierras*, który przypominał mu studenckie imprezy. W pewnym momencie uderzył całą dłońią tak mocno, że odezwał się klakson. Odpalił samochód i ruszył w górę, na Chełm. Zatrzymał się po stu metrach i zaczął cofać. Zaparkował tam gdzie poprzednio, pod czarną metalową bramą. Chwilę później stał przy domofonie i zastanawiał się, czy nacisnąć przycisk z napisem „Biuro rachunkowe”. Kiedy w końcu to zrobił, nikt po drugiej stronie się nie odezwał, za to po dwóch sekundach rozległo się bzyczenie przy furtce.

- Hej. - Ewa stała w drzwiach i uśmiechała się do niego. - Przywiozłeś kawę i pączki?

- Yyy... nie... Myślałem, że masz kawę...

- Żartowałam! - Odsunęła się i wpuściła go do środka. - Kawę oczywiście mam, ale ciasta niestety nie. Mogłeś uprzedzić, że wpadniesz...

- Właśnie nie wiedziałem... - Bednar rozglądał się po salonie, jakby sprawdzał, czy z któregoś kąta nie wyskoczy nagle mąż Ewy. Przygotował nawet wymówkę na taką okoliczność. Wyglądało jednak na to, że byli sami. Na podłodze leżały porzucone zabawki, w jadalni stała suszarka z rozwieszonym praniem, w zlewie piętrzyły się brudne naczynia.

- Sorry za bałagan.

- Nic nie szkodzi. Jeśli ci przeszkadzam w pracy, to...

- Nie przeszkadzasz - powiedziała stanowczo, nie pozwalając mu dokończyć.

Ewa, która dotąd przy każdym spotkaniu sprawiała wrażenie wyluzowanej, może nawet przesadnie, teraz nagle zesztyniała. Podeszła do ekspresu i zaczęła przygotowywać kawę. Bednar zauważył, że straciła swoje kocie ruchy. Kiedy się odwróciła, żeby o coś zapytać, stał tuż za nią. Pocałował ją, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Czuł, jak jej ciało momentalnie znowu się rozluźnia. Miała miękkie, ciepłe usta, które nie chciały się od niego odkleić. Oderwał się tylko na chwilę, żeby zsunąć jej z bioder spodnie dresowe, które włożyła na nagie ciało. Podniósł ją do góry i posadził na kuchennym blacie. Kawa bulgotała w ekspresie, ale nawet tego nie słyszeli.

Bednar wyszedł od Ewy dwie godziny później, a kiedy schodził po schodkach do samochodu, czuł, że jeszcze trzęsą mu się nogi. Uprawiali seks w kuchni, potem na stole w jadalni, na kanapie w salonie, a na koniec pod prysznicem. Sam był zaskoczony, że cztery razy z rzędu stanął na wysokości zadania. Zupełnie jak za studenckich czasów. Wsiadł do samochodu i spojrzął na siebie w lusterku. Wiedział, że do końca dnia nie pozbędzie się z twarzy głupiego „banana”, ale w ogóle go to nie martwiło.

Po południu Ewa przysłała mu esemesa z pytaniem, czy jest jeszcze w pracy. Odpowiedział, że tak, i po chwili dostał kolejną wiadomość: „Nie mogę przez ciebie chodzić, draniu. Wpadniesz jeszcze?”. Dodała emotkę z mrugającym oczkiem. Odpisał, że nie może się doczekać kolejnego maratonu.

Chciał być miły, ale pamiętał o własnych ustaleniach. Nie mógł spotykać się z nią za często, żeby nie wpaść w romans na łeb na szyję. Mieli rodziny i tak musiało zostać. Oczywiście chętnie dopadłby ją jak najszybciej, najlepiej jeszcze tego wieczoru, ale tym bardziej musiał trzymać swoją chuć w ryzach.

Ewa też, zanim napisała intymną wiadomość, upewniła się, że Bednar nie wrócił jeszcze do domu. Żeby nie narobić mu, a właściwie im obojgu, kłopotów. Wziął to za dobrą monetę. Było jasne, że grali według tych samych zasad.

- Interesuje cię jeszcze sprawa Gellerów?

- Co? - Komisarz zdał sobie sprawę, że siedzący przy sąsiednim biurku Gawlik usiłuje nawiązać z nim kontakt.

- Nie mów, że od minuty bez sensu się produkuję.

- Sorry, coś z dziećmi. Chyba muszę jechać z Wojtkiem do lekarza. - Bednar odłożył telefon.

- Mówiłem, że nie odebrałaś maila. Mamy właścicielkę qashqai.

- A, tak. Tak, widziałem...

- Malwina Iwańska, lat trzydzieści pięć, okulistka z Gdyni. I zobacz, jest coś interesującego...

Gawlik pokazał Bednarowi zdjęcie kobiety, ale komisarz wpatrywał się w nie bez żadnej reakcji.

- Kolejna ruda - skwitował w końcu aspirant.

To mógł być nic nieznaczący przypadek albo nadinterpretacja Gawlika. Nieobecne spojrzenie Bednara ostudziło entuzjazm aspiranta.

Budynek, w którym mieścił się komisariat, wyglądał jak zapadający się barak, z siemieżnymi kratami w oknach i obłazącym tynkiem. W środku było niewiele lepiej. Izabela dziwiła się, że młodzi ludzie w ogóle decydują się jeszcze na pracę w takich warunkach. Z drugiej strony słyszała, jak ojciec powtarza, że rekrutacje przypominają teraz bardziej łapanki. Nie miał dobrego zdania o swoich następcach. Komisarz Bednar i tak wyróżniał się na tym tle. Przypominał Izabeli jej ojca z czasów młodości. Tak samo rzeczowy, wręcz oschły, dociekliwy. Pierwsze przepytanie, od razu po zaginięciu Agaty, przeprowadził inny policjant, młodszy, o śmiesznym nazwisku. Zdała mu szczegółową relację z tego, co robiła w ostatnich dniach, ale spodziewała się, że na tym się nie skończy.

- Ma pan dziś urodziny? - zapytała Bednara, który wystukiwał na klawiaturze jej zeznania. Na stojącym na biurku talerzu roztapiały się resztki tortu ze spaloną do połowy świeczką.

- Słucham? Tak... - odpowiedział zdeorientowany, przerywając pisanie.

- Wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję. Nie wiedziała pani, że pan Geller spotkał się w weekend z żoną? - Bednar wrócił do tematu.

- Wiedziała, że pojechał do Kłosińskich - doprecyzowała. - Nie wiedziałam, że Agata też tam będzie. Jakub zresztą też się tego nie spodziewał.

- Pani w tym czasie przebywała w mieszkaniu w Gdańsku, na Wałowej? - Spojrzał w notatki, ale Izabela doskonale wiedziała, że nie mógł wyczytać w nich tej informacji.



- Nie - odparła. - Tak jak mówiłam poprzednim razem, spędziłam weekend u ojca.

- Sierżant Jacek Trzos jest pani ojcem?

- Tak. - Uśmiechnęła się z satysfakcją. Alibi w postaci ojca, byłego policjanta, zrobiło na komisarzu odpowiednie wrażenie. - Przekazać mu pozdrowienia od pana?

- Na pewno mnie nie kojarzy. Byłem gówniarzem, kiedy odchodził. Ale tak, proszę go pozdrowić. Zresztą... sam chętnie z nim porozmawiam.

- Wierzę. Adres pan zna.

- Wezwałem panią ponownie, bo znaleźliśmy kilka niepokojących wiadomości w telefonie pani Geller.

Izabela miała wrażenie, że Bednar złagodniał. Wręcz zaczął się tłumaczyć z niedogodności, na które siłą rzeczy została narażona.

- Z pewnością nie ode mnie.

- Nie, ale wie pani, o czym mówię, bo były zaadresowane do pani. Wcześniej pan Geller podkreślał, że rozstał się z żoną polubownie, a znajomość z panią nie miała wpływu na tę decyzję.

- To sprawy pomiędzy państwem Gellerami. Nie mogę stwierdzić, co wpłynęło na decyzję Jakuba.

Bednara zdziwiła odpowiedź Izabeli.

- Dobrze, może zapytam inaczej. Chcę tylko ustalić fakty. Czy zanim zostaliście oficjalnie parą, mieliście romans, o którym Agata Geller nie wiedziała?

- Nic takiego nie miało miejsca. - Twarz Izabeli nie zdradzała żadnego podenerwowania czy wahania. Była pewna swoich słów.

Bednara zaczęło to denerwować.

- „Spotkajmy się”. „Chcę tylko porozmawiać”. „Nie możesz mnie tak ignorować”, „Pożałujesz tego”... - Tym razem komisarz naprawdę czytał z notatek.

- Tak, Agata mogła coś takiego napisać... Ma pan daty tych wiadomości? Pierwsze pochodzą pewnie sprzed pół roku. Agacie zależało na spotkaniu, bo chciała zaproponować mi pracę.

- To Agata Geller zaferowała pani pracę w salonie?

- Oczywiście. To był jej pomysł. Jakub panu nie mówił? - Izabela wyjęła z torebki telefon i zaczęła przeglądać kalendarz. - Spotkałyśmy się trzydziestego

listopada. Może pan to sprawdzić. Zresztą mam nawet maila z podsumowaniem spotkania i ofertą. Proszę... – Pokazała komisarzowi wiadomość, w której żona jubilera wyrażała się bardzo entuzjastycznie o przyszłej współpracy z Izabelą. – Zostałam zatrudniona piątego grudnia.

– Kiedy dowiedziała się pani, że państwo Gellerowie podjęli decyzję o separacji?

– Mniej więcej w połowie lutego – odparła po chwili zastanowienia. – Taak... bo walentynki już spędziliśmy we dwoje.

Romantyk, nie ma co, pomyślał Bednar. Porzucił żonę, żeby móc oficjalnie zabrać kochankę na kolację do restauracji. Komisarz ani przez chwilę nie wierzył, że Izabela Trzos i Jakub Geller do tego czasu trzymali grzecznie rączki przy sobie. Takie rzeczy zawsze przebiegały w ten sam, do bólu banalny sposób. Facet w kryzysie wieku średniego ulegał fascynacji młodą dupą, tracił głowę, a przez to ostrożność, i najczęściej wpadał przez własną głupotę. Do teorii Bednara nie pasowały tylko dwa elementy. Po pierwsze, jeśli typ, tak jak Geller, miał dużo do stracenia, zwykle kulił nastroszony ogon i grzecznie wracał do żony. Chyba że ta już go nie chciała. Albo naprawdę się zakochał. A po drugie... z opinii jej przyjaciół i współpracowników wynikało, że Agata Geller była pewną siebie, inteligentną i przebojową kobietą. Czym się kierowała, zatrudniając w salonie swoją młodszą kopię? Bednar bardzo wątpił, że motywacją była solidarność jajników.

– „Nie możesz mnie tak ignorować”, „Pożałujesz tego”... – powtórzył. – Te wiadomości raczej nie potwierdzają, że pani relacje z Agatą Geller były przyjacielskie.

– To tylko dwa esemesy... Może Agata miała słabszy dzień. Wróciła wieczorem do pustego domu, wypila za dużo wina, wie pan, jak to jest...

Komisarz nie tylko nie wiedział, jak to jest, ale też nigdy nie chciał się o tym przekonywać, przynajmniej nie na własnej skórze. Nie wyobrażał sobie swojej żony w takiej sytuacji. Zresztą to nigdy by nie nastąpiło. Syła prędzej wybiłaby mu z głowy pomysł rozwodu patelnią albo innym twardym przedmiotem. Z ich dwojga to ona miała większe skłonności do agresji. Może zresztą dlatego budziła naturalny posłuch wśród nastoletnich uczniów. Bali się jej podskoczyć, tak samo jak on. Dlatego nigdy, przenigdy nie mogła się dowiedzieć o Ewie. O tym, że Bednar był u niej już trzy razy, choć za każdym obiecywał sobie, że przystępuje z odwiedzinami. Albo przynajmniej zwiększy odstępy między nimi.

Przez pozostałe dni myślał głównie o kolejnej wizycie. Bardzo się bał, że lada chwila popłynie i straci kontrolę nad swoim zachowaniem. Już teraz obraz Ewy towarzyszył mu przez cały dzień, podczas wszystkich czynności, jak odpalony program w tle. Ewa uśmiechająca się na powitanie. Ewa rozpinająca przed nim guziki swojej bluzki. Skupiona twarz Ewy w chwili największej błogości. Jej sniade ciało wyginające się nad nim.

Parkował ulicę dalej i szedł do niej na piechotę. Wchodził tylnym wejściem, do biura rachunkowego, zabierał nawet segregator, w razie gdyby jakiś sąsiad zainteresował się nowym klientem pani księgowej. Ona też dbała o dyskrecję. Nigdy nie pisała, jeśli nie miała pewności, że Bednar jest poza domem. Milczała w weekendy, które spędzał z rodziną. Cierpliwie czekała na wiadomość od niego. Nie złościła się, gdy przez kilka godzin nie mógł odpisać. Nie żądała wyznań ani sama nie wychodziła poza erotyczne czułości. „Pragnę cię”, „Weź mnie wreszcie”, „Myślę tylko o twoim ciełe”. Żadnego „tęsknię” czy – broń Boże – „kocham”. Żadnych poważnych rozmów i pytań o przyszłość. Idealny układ. Bednar aż nie mógł uwierzyć w swoje szczęście.

I ta jej pomysłowość. Na przykład tego ranka. W prezencie urodzinowym dla niego Ewa kupiła sobie lateksowy kostium z otworami w strategicznych miejscach. Sam nie sądził, że coś takiego mogłoby go kręcić. W każdym razie zerznął ją wtedy jakieś pięć razy w ciągu trzech godzin. Spóźnił się do roboty, a teraz kleiły mu się oczy i musiał mocno się skupiać nad tym, co mówiła Trzos.

Ktoś zapukał do drzwi. Komisarz nie powiedział „proszę”, tylko wstał zza biurka. Na korytarzu czekała młoda funkcjonariuszka. Bednar wyszedł i przymknął drzwi.

- Niech zaczeka, już kończę. - Z korytarza dobiegł głos komisarza.

Mimo tej deklaracji przesłuchiwał Izabelę jeszcze pół godziny. Kiedy w końcu wyszła, zobaczyła kobietę – trochę starszą od niej, siedzącą na krześle w korytarzu. Nie zwróciła na Izabelę żadnej uwagi, była całkowicie zafrapowana energicznym stukaniem w klawiaturę swojego laptopa. Dopiero kiedy Izabela ją minęła, kobieta uniosła głowę i odgarnęła kręconą rudą grzywę, która opadała jej na czoło.

- Pani Malwina Iwańska? - upewnił się Bednar. - Zapraszam.

Erotyczne maratony wiązały się jednak z koniecznością solidnej regeneracji organizmu. Kiedy Bednar wracał do domu, marzył tylko o spaniu. Nie miał

nawet siły na analizowanie rewelacji usłyszanych od Iwańskiej. Właściwie jej wersja była do przewidzenia, choć niestety sam na to nie wpadł. Może dlatego, że jego mózg stępiły spotkania z Ewą. Pierwszy wniosek, jaki mu się nasunął, był taki, że obrzydliwie bogaci ludzie prędzej czy później robią obrzydliwe rzeczy. Nie to, że sam był święty, ale jednak poruszał się w granicach moralności zarezerwowanej dla szaraków. Jego zdrada była, obiektywnie rzecz biorąc, banalna i nudna, choć dla niego taka ekscytująca. Widocznie jednak ludzi pokroju Gellerów nie ekscytowały już zwyczajne grzechy. Często spotykał się ze stwierdzeniem, że pieniądze zmieniają człowieka. Z jego doświadczenia i obserwacji – a naoglądał się w robocie chyba wszystkich możliwych wynaturzeń – wynikało coś innego. Pieniądze nikogo nie zmieniają. One po prostu ujawniają prawdziwą naturę konkretnej osoby.

W tej sytuacji jeszcze ciekawsza stawała się rola Izabeli Trzos. Czy była tylko przeciętną oportunistką, robiącą dobrą minę do gry, w której prędzej czy później i tak przegra? Czy miała świadomość, że w tym trójkącie to ona była ofiarą?

– Stooo laaat! Stooo laaat! Niech żyje, żyje naaaaam! – przekrzykiwali się w przedpokoju Paulinka i Wojtuś, podczas gdy Sylwia trzymała w rękach ciasto marchewkowe, w które wbiła świeczki. – Pomyśl życzenie, tato!

Żebyście nigdy się nie dowiedzieli, co odwała wasz stary – to jedyne, co przyszło mu do głowy. A zaraz potem, żeby byli zdrowi. Bednar zdmuchnął świeczki.

Sylwia nawet się postarała. Oprócz ciasta na kolację był jego ulubiony placek ziemniaczany po zbójnicku i śledzie w śmietanie. Jedzenie jeszcze bardziej go zmuliło. Po kolacji ktoś zadzwonił do drzwi i Bednar przestraszył się, że Sylwia zaprosiła znajomych. Na szczęście to była tylko teściowa, która zabrała Wojtusia i Paulinkę na noc do siebie. Nawet się nie zorientował, że to w ramach prezentu przygotowanego przez Sylwię. Kiedy dzieci wyszły, a żona poszła pod prysznic, Bednar padł na łóżko. Zapadał w słodki sen, gdy usłyszał głos Syli.

– Masz ochotę? – zapytała, majstrując przy jego pasku od spodni. Siedziała na nim okrakiem, była w samej bieliznie, chyba nowej, bo wcześniej jej nie widział, ale z drugiej strony od dawna w ogóle nie oglądał jej w takim stroju. Jej mina, co przyjął z ulgą, również nie zdradzała większego entuzjazmu.

– Może jutro...

Przez chwilę patrzyła na niego trochę zaskoczona, ale niespecjalnie przejęta.

- Okej. - Ziewnęła i położyła się obok.

Na stole leżał pierwszy gotowy katalog jej autorstwa. Właściwie cała kolekcja SelfLove była pomysłem Izabeli. Ryzykownym i kontrowersyjnym. Zainspirował ją hit Miley Cyrus *I can buy myself flowers*. Skoro kobieta sama mogła kupić sobie kwiaty, to dlaczego nie mogła zrobić tego samego z pierścieniem zaręczynowym? Jakub początkowo był sceptyczny, ale Agata wpadła w zachwyt. Izabela opracowała nawet ogólny projekt: obła, cienka i okrągła w przekroju obrączka, ze złota o próbie pięćset osiemdziesiąt pięć, gniazdo z sześcioma krapami, a w nim diament o brylantowym szlifie. Do wyboru sześć kolorów: kanarkowy, różowy, koniakowy, niebieski, zielony i oczywiście biały.

Biżuterię prezentowały modelki w wieku od dwudziestu do siedemdziesięciu lat, o diametralnie różnych typach urody i figury. Przytulały się nago, zasłaniając miejsca intymne. Klip z sesji zdjęciowej – zmontowany tak, by udawał zdjęcia z backstage'u – w pierwszym tygodniu od publikacji stał się wiralem. Od momentu uruchomienia zamówień w sklepie internetowym w ciągu doby wyprzedały się wszystkie pierścionki SelfLove, które mieli w magazynie. Musieli szybko nawiązać współpracę z nowymi jubilerami, bo ci, którzy wytwarzali dla nich biżuterię, nie mieli szans nadążyć. Co ciekawe, szczyt nastąpił w dniu, w którym tabloidy opublikowały informację o zatrzymaniu Jakuba G., a potem jego wypuszczeniu. Izabela przypuszczała, że mógł to być rodzaj wsparcia dla zaginionej żony jubilera, która teraz jawiła się jako ofiara. A może to była wydumana nadinterpretacja. Może chodziło po prostu o to, że jeszcze więcej osób dowiedziało się o istnieniu marki Geller. Śledziła oczywiście media społecznościowe i widziała pełne potępienia wpisy pod postami i zdjęciami na ich fanpage'u, ale ostatecznie to były tylko słowa. Wiedziała, jak sobie z nimi radzić. Jak obrócić je na swoją korzyść. Osobiście sporządziła oświadczenie i zadbała o rozpowszechnienie informacji, że firma przekazała ogromny datek dla organizacji kobiecych i antyprzemocowych.

Była ostatnią osobą, która wychodziła dziś z biura, więc do niej należało włączenie alarmu i zamknięcie drzwi. Kiedy szła tu pierwszy raz, nie przyszłoby jej do głowy, że będzie posiadała własne klucze i indywidualny kod do wejścia. Ani że w tak krótkim okresie stanie się najważniejszą osobą w tym miejscu.

Agata zniknęła, Jakub też na jakiś czas musiał się usunąć. Poczła coś w rodzaju odpowiedzialności połączonej z dumą, a na pewno satysfakcją, ale to wszystko było doprawione strachem. Nie wiedziała tylko, czy bardziej boi się, że straci to poczucie, czy tego, co może się wydarzyć w kolejnych dniach.

Kiedy szła Lawendową, wydawało jej się, że ktoś wypowiedział jej imię. Raz, a po chwili drugi, nieco głośniej. Nie zatrzymała się, bo mijała lokal, z którego ludzie wylegali wieczorami na ulicę, i doszła do wniosku, że na pewno nie chodzi o nią. Odwróciła się dopiero wtedy, gdy poczuła czyjąś dłoń na ramieniu.

– Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć. – Stojąca przed nią kobieta szybkim ruchem odgarnęła spadającą na czoło grzywkę. Gest wydał się Izabeli znajomy. – Czy możemy chwilę porozmawiać? Malwina Iwańska. Widziałyśmy się na komisariacie.

– Rzeczywiście. O czym chciałaby pani rozmawiać? – zapytała Izabela, mimo że temat był raczej oczywisty. Coś jednak kazało jej trzymać rezerwę wobec tej kobiety.

– Mówmy sobie na ty – zaproponowała Malwina, ignorując dystans, który chciała stworzyć Izabela. – Usiądziemy? – Wskazała głową wolny stolik przed knajpą. – Już dawno chciałam z tobą porozmawiać, a teraz po prostu nie mam wyjścia. Uwierz, ty też tego chcesz.

Izabela nie skomentowała. Niechętnie usiadła na drewnianym, chybliwym krzeselku.

– Zamówić ci coś? Lepiej, żebyśmy się napiły – stwierdziła Malwina.

Po chwili zniknęła we wnętrzu lokalu. Pojawiła się ponownie z dwoma kieliszkami wiśniowego krieka. Jeden z nich postawiła przed Izabelą, z drugiego od razu duszkiem wypila połowę. Wyciągnęła papierosa, zapaliła i wzięła trzy długie machy, zanim zaczęła mówić.

– Zawsze wiedziałam, że to się źle skończy, ale nie że aż tak. W dodatku, że sama będę miała przez to przejebane. Wystarczająco napsuli mi krwi. A teraz jeszcze to.

– Chyba nie wiem, o czym mówisz. – Izabela obracała w palcach nóżkę kieliszka.

Malwina kolejny raz zaciągnęła się papierosem. Patrzyła na Iżę z mieszaniną współczucia i wyższości.

– Naprawdę jeszcze ich nie rozgryzłaś? No, z drugiej strony... zaszłaś dość daleko. Co prawda mnie nigdy nie interesowała praca u Jakuba ani w ogóle jego

kasa. No, przynajmniej nie aż tak, bo nie ma co ukrywać, że to wszystko robi duże wrażenie. Ale ja jestem okulistką, mam swój biznes, klinikę.

Izabela sięgnęła po torebkę i wstała z krzesła.

- Sorry, nie o to mi chodziło. - Malwina złapała ją za nadgarstek. - Usiądź, proszę. Proszę - powtórzyła. - Nie mam na myśli tego, że jesteś wyrachowana czy coś. Wiem, że Jakub potrafi oczarować.

Malwina wyczuła pod kciukiem zgrubienie na skórze Izabeli.

- Kurwa, ja raz chciałam nażreć się przez niego tabletek, ale na szczęście speniałam.

- Co? - Izabela zabrała rękę i zakryła blizny mankietem marynarki. - To nie przez Jakuba - powiedziała z irytacją.

- Dobra, jak chcesz. Dużo bym dała, żeby mnie kiedyś ktoś ostrzegł. Straciłam na ten syf dwa lata życia. Nie byłaś pierwsza, sorry. - Malwina wzruszyła ramionami. - Ja zresztą też nie. Nie wiedziałaś? O kurwa, chyba nie... - Zmieniła ton, bo Izabela usiadła z powrotem na krześle. - W takim razie jest mi przykro, że usłyszysz to ode mnie.

- Mogę? - Izabela stuknęła palcem w leżącą na stoliku paczkę papierosów.

- Śmiało. - Malwina podała Izabeli ogień i zaczekała, aż tamta się zaciągnie. - Chyba trochę się zazębiłyśmy.

- To znaczy?

- Myślę, że rzucił mnie dla ciebie.

Izabela nie odpowiadała, nawet nie patrzyła na Malwinę, tylko w jakiś niewidoczny punkt w głębi ulicy Lawendowej.

- Słuchaj, wiem, jak się czujesz. Ja też myślałam, że jestem wyjątkowa. Niech zgadnę... na początku chciał się z tobą tylko przyjaźnić. Rozmawialiście godzinami, wysyłaliście sobie kilkadziesiąt wiadomości dziennie, oczywiście zupełnie niewinnych. Muzyka, inspirujące zdjęcia, ciekawe artykuły... A jak tylko pojawiała się jakakolwiek dwuznaczność, Jakub milkł albo zaczynał nawijać o Agacie. - Malwina uważnie obserwowała Izabelę, która nadal wyglądała, jakby zastygła i nie mogła się poruszyć. - Wiesz, po co była ta szopka? Żebyś potem myślała, że to wszystko twoja wina. Uwiodłaś żonatego, zrobiłaś to własnoręcznie, a on się przecież bronił. Któregoś razu, po wielu tygodniach takiej gierki, on, zupełnie przypadkiem i pod wpływem chwili, w końcu dał się ponieść. Oczywiście twojemu urokowi. Bo przecież żaden facet by ci się nie oparł. Bo jesteś jedyna w swoim rodzaju.

W głowie Izabeli migały slajdy. Snopy światła wpadające przez drewniane żaluzje. Rysujące na łóżku jasne pasy. Przyjemny chłód jedwabnej pościeli. Usta Jakuba przy jej palcach. Jego głos: „Jesteś niepowtarzalna. Jak diament”.

– Każdy diament jest niepowtarzalny... – wyrwało się Izie.

– Słucham?

– Skąd wiesz, że były inne? – Izabela cały czas wyglądała na nieobecną. Jakby myślała intensywnie o czymś zupełnie odległym.

Malwina podejrzewała, że tak zadziałał szok. Iza nie potrafiła od razu dopuścić do siebie wszystkich brutalnych informacji, udawała więc, że tylko przepływają obok niej.

– Kiedyś otworzył przy mnie wiadomość z pogroźkami od jakiejś kobiety. Zorientował się, że widzę, i powiedział, że to zwolniona pracownica, ale nie dawało mi to spokoju. Kiedy spał, przejrzałam jego telefon. Esmesów już nie było, za to znalazłam niezłą kolekcję zdjęć. Podobne ujęcia, dziewczyny topless, ubrane tylko w diamentowe kolie. Zrobił ci taką fotkę?

Kolejny slajd. Półmrok rozjaśniony płomieniem świecy. Jej cień na ścianie pokoju. I głos: „Nie chcę, żeby było widać moją twarz”. „Tylko usta, piersi i diamenty” – odpowiedź Jakuba. Ciężar kamieni na odsłoniętym dekolcie.

– Trzeba przyznać, że przynajmniej jest wierny swojemu typowi urody. Ma fisa na punkcie rudych. Farbujesz?

– Co? – Izabela wreszcie na nią spojrzała. – To henna.

– Moje są naturalne. – Malwina pociągnęła palcami zwinięty w sprężynkę kosmyk.

– To wszystko? Muszę już iść.

– Słuchaj... wiem, że to dla ciebie szok i pewnie potrzebujesz czasu, żeby to przetrwać, ale... potrzebuję twojej pomocy. I to szybko.

– Niby w jaki sposób mogłabym ci pomóc?

– To nie wiesz, dlaczego przesłuchuje mnie policja?

– Nie zwierzają mi się.

Malwina zignorowała nieprzyjemny ton Izabeli. Irytowała ją ta jawna niechęć. Może nie spodziewała się wielkiej przyjaźni po takich rewelacjach, ale przecież jedynym winnym był tutaj Jakub. Malwinie przypadła niewygodna rola posłańca. Może zniszczyła czyjąś bajkę, ale przecież nie robiła tego z zemsty. Przynajmniej to nie na Izie chciała się mścić. Poza tym teraz nie miała wyjścia.



- Zrobiłam coś głupiego – kontynuowała Malwina. – Podejrzywałam, że jest już ktoś inny i że tą osobą jesteś ty. Tak, śledziłam cię w mediach społecznościowych, wiedziałam, że przyjęli cię do pracy. Wystarczyło mi jedno twoje zdjęcie, żeby domyślić się reszty. Jesteś idealnie w ich typie. Nie wiem, na co liczyłam. Chyba na to, że mimo wszystko możemy kontynuować nasz układ. Jestem idiotką, wiem. Nigdy nie sądziłam, że przyznam się obcej osobie do najbardziej wstydlivej rzeczy w moim życiu. Ja go naprawdę kochałam, wiesz? I chyba byłam w stanie zgodzić się na wszystko. Nie tylko na bycie tą drugą, ale nawet trzecią i piętnastą. Niezły upadek, co?

Malwina przerwała wywód tylko po to, żeby zaciągnąć się papierosem. Widać było, że zwierzenia nie są dla niej przyjemne, a jednocześnie nie potrafiła już zatrzymać potoku słów, jakby to były wymioty, które mogły oczyścić ją z toksyn.

- Bardzo zabawne jest to, że świetnie sobie radzę w życiu zawodowym, wiesz? Zatrudniam kilkadziesiąt osób, mam filie w różnych miastach, zarabiam kupę szmalu. A Gellerowie poskładali mnie jak kukiełkę. Nie wiem, które z nich jest większym narcyzem, ona czy on... No, w każdym razie... – Odchrząknęła, tuszując fakt, że głos zaczął jej się załamywać. – Chciałam tylko porozmawiać z Agatą. Myślałam... jeśli nie uda się wrócić do tego, co było, to może chociaż będziemy się przyjaźnić, cokolwiek, co przyniosłoby mi chociaż trochę ukojenia. Jedna mała działka, bo cała ta relacja była jak nałóg... – Malwina znów przerwała i wzięła długi oddech. – Nie wpuściła mnie. Następnego dnia przyjechałam znowu, i jeszcze raz. Nawet się z nią nie widziałam, ale policja ma skądś nagrania, jak jeżdżę wokół ich domu jak jakaś nienormalna. Sądzą, że ją porwałam, poćwiartowałam jej ciało i rozrzuciłam w Bałtyku – zakończyła z mieszaniną złości, ironii i żalu. Dopięła do końca swojego krika. – Nie mam nic wspólnego ze zniknięciem Agaty. Przysięgam.

- Okej, powiedz to policji.

- Te esemesy, które znalazłam u Jakuba... Ta niby zwolniona szantażowała ich oboje. I musiała mieć na nich jakiegoś haka, bo groziła, że pójdzie na policję, jeśli nie zapłacą jej kasy. Wtedy pomyślałam o niej to samo co ty o mnie teraz. Że to wariatka. Nie zapamiętałam nazwiska ani numeru telefonu. Tylko to, że groźby miały jakiś związek z fundacją Agaty.

- To też jest raczej informacja dla komisarza, który prowadzi dochodzenie, nie dla mnie.

- Iza... Powiedziałaś mu to i jak sądzisz, co się stało? Twój kochany Jakub wszystkiemu zaprzecza. Twierdzi, że zmyśliłaś bajeczkę, że nikt nigdy go nie szantażował. Robi ze mnie taką samą psycholkę jak wtedy z tamtej kobiety. Dlaczego? Na bank chodzi o jego szemrane interesy. Siedzisz w tym tak samo jak ja kiedyś, tylko że w odróżnieniu ode mnie ty nadal masz dostęp do dowodów i możesz go udupić. Poza tym... fakt, że się pojawiłam, nie skreśliła cię z listy podejrzanych.

- Byłam w tym czasie u ojca, nic na mnie nie mają.

- Nie rozumiem cię... serio. Mówię ci to wszystko, a ty siedzisz, jakby w ogóle cię to nie dotyczyło. Nie masz za grosz instynktu samozachowawczego? - Malwina stuknęła nerwowo paczką papierosów o blat stolika.

- O jaki układ ci chodziło?

- Co?

- Powiedziałaś, że chciałaś wrócić do poprzedniego układu z Jakubem i Agatą.

Malwina popatrzyła na nią z niedowierzaniem i zaczęła się śmiać.

- Nie mów, że nie wciągnęli cię w ten swój chory trójkąt. Nie uwierzę, że sypiałaś tylko z nim.



## VI

# Apartament na piętrze

Śnieg nie przestawał sypać z nieba grubymi płatami. Agata, wyglądająca przez okno osiemnastowiecznego pałacu, czuła się jak w środku śnieżnej kuli. Widok i zimowa aura nieco wynagradzały fakt, że bankiet okazał się o wiele nudniejszy, niż się spodziewała. Nie pamiętała już nawet, co to za okazja. Dwudziestolecie jakiejś firmy, której prezesa dobrze znali, wręczenie nagród, gala na cześć nowego magazynu, bal charytatywny. Chodziła na tyle przyjąć, że wszystko jej się myliło. Na wielu z nich spotykała zresztą tych samych ludzi.

Musiała odbyć kilka rozmów. Część czysto kurtuazyjnych, żeby pogratulować organizatorom osiągnięć, czymkolwiek one tym razem były. W pozostałych przypadkach chodziło o zacieśnienie relacji z potencjalnymi klientami. Kiedyś miała świetną pamięć. Widziała człowieka i recytowała imiona jego dzieci oraz wnuków, wiedziała, gdzie jeździ na wakacje, którą rocznicę ślubu obchodzi i co go kręci poza robieniem biznesu. Zawsze mówiła, że nie sprzedaje diamentów, tylko o nich opowiada. Nadal nie miała z tym żadnego problemu. To ludzie zaczynali ją męczyć. Byli nudni, przewidywalni, zbyt łatwi do rozgryzienia. Wolała zamknąć się z książką w pokoju niż przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę.

Z korytarza dobiegał śmiech Jakuba i Izabeli. Serce Agaty zareagowało szybszymi uderzeniami. Podeszła bosą do drzwi i uchyliła je tak, żeby słyszeć rozmowę.

- Dziękuję za miłe towarzystwo i że chciało ci się jechać taki kawał - mówił Jakub. - Mam nadzieję, że nie wynudziłaś się dokumentnie.

- Nie, to ja dziękuję. Było... super.

Zapadła cisza. Agata otworzyła drzwi szerzej, ale nadal nic nie słyszała. Zastanawiała się, co robią. Szepczą? Całują się? Zniknęli w pokoju Izabeli?

– O cholera... – Izabela odezwała się po dłuższej chwili. – Bardzo, bardzo cię przepraszam.

– W porządku – zapewnił Jakub.

– Bardzo źle cię zrozumiałam. – Kobięcy głos był wyraźnie speszony, przepraszający.

– Nic się nie stało, naprawdę. Niezwykłe mi miło.

– A mnie potwornie głupio.

– To nie twoja wina. Jesteś wspaniała. Ja po prostu... nie mogę.

Potem znowu chwila ciszy, kliknięcie drzwi i szybkie kroki na korytarzu. Agata zamknęła drzwi. Oddychała szybko, czuła gorącą falę rozplywającą się po twarzy i dekolcie. Usiadła na łóżku i czekała.

– Myślałem, że już śpisz – powiedział Jakub, kiedy wszedł do pokoju.

– Jak poszło?

– Jak zwykle.

Jakub pochylił się, żeby pocałować Agatę. Złapała go za kłapy marynarki i pociągnęła na łóżko.

Nie mogła przestać myśleć o Izabeli. Najpierw wyobraźnia Agaty z wielką dbałością o szczegóły zrekonstruowała obrazy jako dopełnienie zasłyszanego dialogu. W jej głowie wyglądało to mniej więcej tak: Izabela miała na sobie czarną sukienkę z lejącego się materiału, przez który prześwitywały sutki. Odkryte plecy, rozpuszczone włosy. Nie, włosy jednak spięte w kok, żeby jeszcze bardziej nęcić nagą skórą. Po kilku godzinach w barze była już nieźle wcięta, więc Jakub podtrzymywał ją, kiedy wchodzili po schodach. Udawała jeszcze bardziej pijaną, żeby móc się na nim oprzeć, usprawiedliwić intymne gesty, na które sobie pozwalała. W pewnym momencie potknęła się i odruchowo przywarła do Jakuba całym ciałem. Czuła jego ciepły tors, złapała go za ramię. Jego organizm też musiał zareagować na niespodziewany dotyk. Może wyczuł, że pachniała drewnem oud. Przed drzwiami podziękowali sobie za miły wieczór. Agata nie dziwiła się Izabeli. Każda kobieta na jej miejscu pomyślałaby, że mężczyzna skorzysta z okazji, żonaty czy nie. Poza tym ona nie była każdą kobietą – była niepowtarzalna, niewinna i ufna. Nawet jej pocałunek nie wydawał się nachalny. Zdziwienie, że spudłowała, było za to słodkie. Agata

widziała w myślach jej minę. Powiększające się oczy, z których w ułamkach sekundy schodzi mgła, opadające kąciaki ust. Spieszenie, wstyd, może cień upokorzenia. Na tę myśl Agata poczuła przyjemny prąd w podbrzuszu. Nie chciał cię, jak się teraz czujesz? Twoja uroda odejmuje rozum, ale on nie zrobił żadnego ruchu, bo ja mu na to nie pozwoliłam.

Wyobrażała sobie, jak Izabela wraca do swojego pokoju, w ubraniu kładzie się na łóżku i analizuje każdą minutę wieczoru w poszukiwaniu swojej pomyłki. Robiła to samo pewnie przez kolejne dni, może nawet w momencie, gdy oblała Agatę kawą w firmowej kawiarni.

- O matko... strasznie panią przepraszam!

- Cholera... - Agata była po prostu zaskoczona. I bardzo lubiła swój kaszmirowy płaszcz. - No trudno...

- Zapłacę pani za pralnię albo odkupię...

- Tak, na pewno. - Ta dodatkowa szpilka sprawiła jej przyjemność, podobnie jak rzednąca mina Izabeli. - Okej, to nic takiego.

Chciała jeszcze bardziej potrzymać ją w niepewności. Od początku musiało być jasne, kto jest górą.

- Spotkałaś się z moim mężem... Jakub mi opowiadał...

Izabela nie mogła pomyśleć, że cokolwiek działa się bez wiedzy, kontroli i pozwolenia Agaty.

- Tak. Ja... Chciałam jeszcze porozmawiać o diamentach. - Jasna cera Izabeli spurpurowiała. - Whisky chyba mi nie służy... nie pamiętam... Przepraszam.

Agata przewidziała, że dziewczyna nie wytrzyma ciśnienia i ucieknie, wymawiając się urwanym filmem.

- Iza, zaczekaj. Nie jestem zła. Chcę tylko porozmawiać.

- O czym chce pani ze mną rozmawiać? - Izabela zatrzymała się i odwróciła z powrotem do Agaty.

- O współpracy. Spotkajmy się jutro o osiemnastej, oczywiście nie tutaj.

Agata siedziała na półokrągłej sofie obitej zielonym pluszem, ustawionej pod panoramicznym oknem. Za nią widać było dachy oliwskich kamienic i miękką linię wzniesień Trójmiejskiego Parku Krajobrazowego.

- Ile znasz synonimów słowa „wyjątkowy”? - zapytała, odrzucając na plecy dobierany warkocz w kasztanowym kolorze. Miała na sobie wełniany płaszcz

o barwie złamanej bieli, ale na pewno nie ten sam, który poprzedniego dnia Izabela załatwiła kawą. Reszta stroju była utrzymana w podobnej tonacji. Kremowy golf i obcisłe bryczesy wpuszczone w beżowe skórzane oficerki. Całości dopełniały delikatne kolczyki z kanarkowymi kamieniami. Izabela mogła tylko strzelać, że były diamentowe.

- Nadzwyczajny, jedyny w swoim rodzaju, unikatowy, fenomenalny... - wymieniała Izabela.

- Zawsze zadaję to pytanie na rozmowie kwalifikacyjnej.

- To rozmowa kwalifikacyjna?

- To zależy, czy wystarcza ci pisanie głupotek w tej smętnej redakcji. Obie wiemy, że to poniżej twoich możliwości. Dlaczego to robisz? Sprawdziłam cię. Pisałaś dla „Forbesa”, dostawałaś nagrody za zaangażowane reportaże. Dlaczego przeprowadziłaś się do Gdańska? Bo chyba nie tylko dla lepszego powietrza i morskiej bryzy...

- Powód jest bardzo prozaiczny. Mój ojciec zachorował, musiałam się nim zająć.

- Rozumiem... Na co choruje, jeśli mogę zapytać?

- Stwardnienie rozsiane.

- Bardzo mi przykro.

- Życie - stwierdziła Izabela. - Nie miałam głowy ani czasu na robienie poważnych materiałów. Pisanie o głupotkach daje mi wytchnienie.

- Byłoby szkoda twojego talentu. Nie tylko talentu do pisania. Masz doskonały zmysł analityczny, umiesz przewidzieć różne zjawiska. Twój tekst o finansowaniu wojny z rosyjskich diamentów był bardzo przenikliwy i powstał, zanim ktokolwiek inny podjął ten temat. Interesujesz się kamieniami szlachetnymi?

- Raczej przekrętami. Bez względu na to, z czym są związane. Ani kamienie, ani inne błyskotki nigdy specjalnie mnie nie ruszały. Nie rozumiem, o co całe to zamieszanie, oprócz tego, że o grube pieniądze.

- Diamenty są czymś niezwykłym. Każdy jest niepowtarzalny. Obcowanie z nimi to przywilej. Nie dla wszystkich, tylko dla wyjątkowych ludzi.

- Widocznie więc jestem całkiem zwyczajna i pospolita. - Izabela uśmiechnęła się prowokująco.

Agatę rozbawiły jej słowa.

- Obie wiemy, że wcale tak nie myślisz. Może potrzebujesz trochę oszlifowania, ale... to dobrze, że chcesz dla siebie czegoś lepszego.

- A skąd pomyśł, że to, co mam, mi nie wystarcza?

Agata znowu się uśmiechnęła.

- Stąd, że bardzo się zmieniłaś od tego dnia, w którym przyszłaś na wywiad z Jakubem. Mam nadzieję, że trochę cię zainspirowałam. - Agata bawiła się końcówką warkocza. - Jeśli tak było, odebrałabym to jako komplement.

Izabela nie wiedziała, co odpowiedzieć, a jej policzki się zaróżowiły. Agata oczekiwała takiej reakcji i sprawiła jej ona przyjemność.

- Moja fundacja pomaga takim osobom jak twój ojciec. Słyszałaś o terapii komórkami macierzystymi?

- Tak, nawet próbowałam ją ojcu załatwić, ale niestety się nie zakwalifikował.

- Nasi podopieczni wyjeżdżają na przeszczep do Izraela. Nawet skomplikowane przypadki. Jeśli chcesz, możemy sprawdzić, czy twój tata spełnia warunki... Oczywiście niezależnie od tego, czy przyjmiesz ofertę pracy, czy nie.

Jakub nakrył stół w jadalni białym lnianym obrusem i wyłożył na niego zastawę, którą dostali z Agatą na dziesiątą rocznicę ślubu. Na srebrnych tacach poukładał przystawki, których przygotowanie zajęło mu całe popołudnie.

Agata chwyciła swoją ulubioną tartinkę z lososiem i kawiozem i wpakowała ją sobie do ust.

- Zrykam, baw się dobrze. - Pocałowała go w policzek, na którym zostały okruszki.

Izabela zjawiła się pięć minut później. Nie chciała jeść, poprosiła tylko o wodę, była spięta. Jakub bał się, że jeśli na chwilę odwróci wzrok, ona ucieknie. Na razie stała wciśnięta w róg kuchni.

- Więc mogę cię już pocałować? - zapytał.

Sztywność w jej ciele powoli zniknęła. Izabela chwyciła Jakuba za szyję i przysunęła się do niego. Wziął ją za rękę i zaprowadził do apartamentu na piętrze. Odwrócił ją przodem do lustra, tak żeby widziała ich odbicia. Stał za nią i delikatnie pociągnął za włosy, aż jej głowa odchyliła się do tyłu. Ugryzł ją w kark. Zsunął w dół zamek sukienki, która bezszelestnie opadła na miękkie, ręcznie tkany dywan. Izabela została w samej bieliźnie. Chciała się odwrócić,

ale Jakub nie pozwolił jej na to, dopóki nie zdjął z niej ostatniej części garderoby.

W łazience, po drugiej stronie weneckiego lustra, stała Agata. Powstrzymywała się, żeby nie nacisnąć klamki i nie wejść do sypialni. Jeszcze nie, jeszcze na to za wcześnie, pomyślała.





## VII

### *Ciao, amore*

Spotkania firmowe w branży jubilerskiej wbrew pozorom były znacznie ciekawsze niż kolegia redakcyjne, na które kiedyś uczęszczała. Może był to jeszcze efekt nowości i zachłyśnięcia się innym światem, którego ciągle się uczyła. Tym razem jednak nie mogła się skupić, jej myśli odlatywały, z wysiłkiem doczekała do końca. Kiedy wreszcie została w firmie sama, zadzwoniła do Jakuba.

- Kochanie, muszę pilnie przygotować ofertę, a zawiesił mi się laptop i za nic nie chce odpalić. Jestem jeszcze w biurze, mogę popracować na twoim komputerze? - zapytała.

- Nie ma problemu. Możesz przy okazji dolać odżywki do storczyków na oknie? Mam wrażenie, że Dorota ciągle o niej zapomina.

- No pewnie, szefie.

- Pin znasz. Data naszej rocznicy.

- Mmm... liczonej od pierwszego razu czy od oficjalnej randki? - drażniła go.

- A to nie był ten sam dzień? - Nie pozostał jej dłużny.

Otworzyła folder z pocztą i zaczęła się zastanawiać, czego właściwie powinna szukać. Lista wiadomości była pełna nazwisk, które nic jej nie mówiły, więc to nie był dobry trop. Po namyśle zaczęła po kolei wpisywać w wyszukiwarkę hasła, które przychodziły jej do głowy. Malwina miała rację. Kluczem była „fundacja”. Izabela szybko znalazła wiadomość od niejakiej Aleksandry Ałaszewskiej. Mail tak naprawdę skierowano na fundacyjny adres Agaty, dopiero ona przesłała go do Jakuba. Tekst był chaotyczny, napisany

niedbale i chyba pod wpływem emocji, bo Izabela musiała przeczytać go trzy razy, zanim wyciągnęła logiczne wnioski. Kobieta zarzucała Gellerom, że ją wykorzystali i oszukali. Z jakiegoś powodu wspominała też o chorym synu, któremu fundacja Agaty miała pomóc. Na końcu żądała pieniędzy za milczenie i zadośćuczynienie.

Izabela zapisała jej dane i adres mailowy. W facebookową lupkę wpisała nazwisko. Wskoczyła jej tylko jedna osoba, w dodatku pisana przez „l” zamiast „I”. Na tablicy były tylko dwa rodzaje postów. Pierwsze linkowały do zbiorów pieniędzy na pomoc choremu chłopcu, prawdopodobnie synowi Ałaszewskiej. Kolejne do witryny z rękodziełem, a konkretnie – ubrankami dla niemowląt i małych dzieci.

Kobieta na zdjęciu profilowym nie była ani zbyt młoda, ani specjalnie urodziwa. Nie miała nawet rudych włosów. Z drugiej strony, fotka była bardzo niewyraźna, może nieaktualna. Izabela kliknęła ikonę wiadomości i przez chwilę zastanawiała się, co napisać.

Jakub przerzucał wieszaki w poszukiwaniu czystej koszuli. Ubrania Izabeli wisały byle jak, niektóre powpychane na siłę i pogniecione. Znalezienie czegokolwiek w tym galimatiasie było niemożliwością, więc w przypiływie złości zaczął wyrzucać wszystko na podłogę w przedpokoju. Pomyślał, że nawet gdyby poupychał to z powrotem do środka, Izabela nie zorientowałaby się, że zaszła jakaś zmiana.

Irytowały go jej niefrasobliwość i niechlujstwo. Czasem miał wrażenie, że nie szanuje rzeczy materialnych. Nic dziwnego, że nie dorobiła się żadnego większego majątku. Pieniądze nie trzymały się osób, które nie potrafiły o nie zadbać.

Mieszkanie na Wałowej, które w chwili podpisywania papierów na wynajem wydawało mu się po prostu przytulne, teraz stało się klaustrofobiczne. Formalności związane z kupnem domu na Kamiennej Górze się przeciągały. Nie mógł też wrócić do Otomina, chociażby dlatego, że kleiło się tam od argentoratu, którego nawet ekipa sprzątająca nie potrafiła się pozbyć. Poza tym było to jedno z ostatnich miejsc, w których chciał teraz przebywać. Najchętniej kupiłby dwa bilety lotnicze i wyjechał z kraju, ale z powodu toczącego się dochodzenia to także leżało w sferze marzeń.

Na stole w aneksie kuchennym wibrował telefon. Odebrał go i wyszedł na balkon.

- Witaj, Jakub.

Zmieniony w modulatorze głos i to samo powitanie co tydzień wcześniej. Jakub poczuł, jak na klatce piersiowej zaciska mu się niewidzialna obręcz. Agata nigdy nie zwracała się do niego w ten sposób, ale przecież gdyby wpadła na pomysł udawania kogoś innego, to na pewno nie przywitałaby się z nim swoim zwyczajowym *Ciao, amore*.

- Pożegnałeś się już ze swoim czerwonym cudem? To wasze ostatnie wspólne chwile... - mówił głos. - Trudno się rozstać, rozumiem to. Zostały ci jeszcze dwa dni. Naciesz się.

- A co potem? - zirytował się Jakub.

- Potem zapakujesz ładnie kamyczek i zawieszysz go tam, gdzie ci powiem. Sam. Osobiście.

Jakub nie odpowiedział, zacisnął szczęki. Żwaczki poruszały się szybko i mimowolnie.

- Wiem, że powiadomienie policji nie leży w twoim interesie. - Człowiek po drugiej stronie czytał w jego myślach. - Ale jeśli spróbujesz odwinąć jakiś numer i kamień nie trafi tam, gdzie powinien, to będziesz żegnał się z kimś innym. I nie mówię wcale o twojej żonie, ale o tej drugiej rudej niuni, która właśnie wraca do domu.

Jakub spojrział w dół, na ulicę, a potem na ścianę przeciwległego bloku. Miał wrażenie, że z okien obserwują go nieznajomi. Schował się w mieszkaniu.

- Skąd mam wiedzieć, że Agata w ogóle żyje? Przynajmniej mi ją pokaż.

Usłyszał odgłos przerwanej rozmowy, a po chwili przekręcany w zamku klucz.

Izabela ominęła leżącą w przedpokoju kupkę ubrań, nalała sobie wody do szklanki, wypła ją duszkiem, a potem usiadła na kanapie w salonie. Wyglądała na bardzo zmęczoną.

- Posłuchaj... - Jakub usiadł naprzeciwko niej, na stoliku kawowym. - Chciałbym, żebyś bardziej na siebie uważała przez najbliższe dni. Nie zauważyłaś nikogo podejrzanego? Po drodze z pracy albo gdzie indziej? Nikt za tobą nie szedł?

- O czym ty mówisz? - Izabela była zniechęcona i poirytowana.

- Ten człowiek, który mnie szantażuje... Myślę, że jest niebezpieczny. Może lepiej, jeśli nie będziesz na razie wychodziła z domu.

- Co takiego?

- Chociaż to nie jest najlepszy pomysł, żeby tu zostawać. - Jakub wstał i podszedł do leżącego na szafce laptopa. Zaczął przeglądać jakieś strony. - Wynajmę coś i wyjedziesz w nocy.

- Nigdzie nie jadę, Jakub.

- Tylko na kilka dni, do czasu, aż się dowiem, co to za człowiek, i się nim zajmę - mówił zdecydowanym tonem, jakby tylko informował ją o dokonanych faktach.

- Zajmiesz się nim? Jak? Co mu zrobisz? - Izabela wstała i zrobiła krok w jego stronę. - Co jeszcze masz w repertuarze? Sprzedajesz diamenty bez papierów, seryjnie uwodzisz kobiety, potem je porzucasz, zabijasz ludzi... - Zbliżała się coraz bardziej.

Jakub oparł się o blat.

- O czym ty mówisz...

- Malwina Iwańska, mówi ci coś to nazwisko?

- Tak. Wariatka, która przejechała psa Agaty. - Jakub zauważył, że ta informacja zaskoczyła Izabelę, więc postanowił to wykorzystać. - Zapomniała ci powiedzieć? To chora baba.

- Wszystkie były chore? Ile ich było? Dziesięć? Pięćdziesiąt? Sto? Od kiedy się tak bawiliście? I przede wszystkim... dlaczego mnie też nie rzuciłeś? A może to jakaś bardziej skomplikowana gra? Może zaplanowaliście to z Agatą na później?

Izabela oparła głowę na jego torsie i zaczęła płakać. Chciał ją objąć, ale go odepchnęła.

- Już o tym rozmawialiśmy... - zaczął. - Mówiłem ci, że to był pomysł Agaty. Zawsze miała chorą fantazję, ale nie sądziłem, że będzie chciała ją zrealizować. Zgodziłem się ją przy sobie zatrzymać. Nie wyobrażałem sobie, że mogę funkcjonować bez niej. Skarbie, rozmawialiśmy o tym. Sama mówiłaś, że Agata jest doskonałą manipulatorką, że tkwimy w koluzji, to twoje słowa. Ty otworzyłaś mi oczy. - Jakub starał się zachować swój zwyczajowy spokój i łagodność, ale w jego głosie coraz wyraźniej przebijała się nuta desperacji, może strachu. Izabela zastanawiała się, czy to możliwe, że ten człowiek naprawdę się boi. - Mówiłaś, że rozumiesz, o wszystkim wiedziałaś...

– Nie o tym, że były inne.

Szczęki Jakuba mimowolnie zaciskały się coraz bardziej. W skroni pulsowała napęczniała żyłka. Było mu duszno, jakby powietrze zrobiło się bardzo rzadkie. Serce uderzało szybciej, ale z większym trudem, jak gdyby coś wokół stawiało opór. Jakub pomyślał o diamencie, którego miał się pozbyć, potem o tym, że Izabela także odejdzie, a on zostanie bez niczego, tutaj, w tym mieszkaniu, z którego chciał natychmiast wyjść.

Drzwi otworzyła przysadzista farbowana brunetka w luźnym dresie. Wyglądała na jeszcze starszą i bardziej zmęczoną niż na zdjęciu. Na pewno nie była w typie Jakuba ani Agaty, chyba że naprawdę bardzo się zaniedbała od tamtego czasu. Izabela nie umiała znaleźć w niej nic, co mogłoby zainteresować Gellerów.

– A gdzie dziecko? – zapytała Ałaszewska.

– Słucham?

– No jak mam zmierzyć, jak nie ma dziecka? – Jej głos był skrzypiący.

– Aaa, mam zapisane wymiary. – Izabela się ocknęła.

– No to nie będzie to samo. Potem pretensje, że coś nie pasuje.

– Żadnych pretensji z mojej strony. Obiecuję. Mogę wejść?

– Prosz...

Ałaszewska zostawiła otwarte drzwi i zniknęła w głębi długiego korytarza. Po drodze Izabela zajrzała chyłkiem do mijanego pokoju. Uderzyło ją, że w środku stało bardzo nowoczesne łóżko rehabilitacyjne. Zamontowano także urządzenie do terapii chodu. Taki sprzęt kosztował krocie.

Ałaszewska zaprowadziła ją do znacznie mniejszego pomieszczenia. Ledwo mieściły się tu meble, za to olbrzymi telewizor zajmował prawie całą ścianę. Oglądanie czegokolwiek z takiej odległości na pewno nie było komfortowe. Na kanapie leżały rozłożone materiały.

– Jak to ma być sukienka na wesele, to może koronka albo taka satyna? – Ałaszewska zaczęła demonstrować próbki różowych tkanin. – Albo wiskoza, ale jest droga i się nie uciąga...

– To pani synek? – zapytała Izabela, wskazując zdjęcie.

– Tak, tu jeszcze chodził... – W głosie kobiety nie było smutku, tylko złość i pretensja.

– Przykro mi. To stwardnienie? – dopytywała Izabela i dodała wyjaśniająco: – Mój tata na to choruje.

- Tymek ma dziesięć lat. - Znowu wyrzut. Dla Izabeli zresztą całkiem zrozumiały. Choroba dla sześćdziesięciolatka nie jest tak niesprawiedliwa jak dla dziecka.

- Rozumiem... - odparła Izabela, bo nic lepszego nie przyszło jej do głowy. - Chcieliśmy się załapać na terapię komórkami macierzystymi, ale na razie się nie udało.

- Nam się nie udało, mimo że się załapaliśmy.

- Jest taka fundacja, nie wiem, czy pani słyszała, prowadzi ją Agata Geller, może oni mogliby pomóc.

- Geller - burknęła Ałaszewska. - To przez nią Tymuś jest na wózkach. Dostał jakiś nieprzebadany lek i tydzień później... - Kobieta machnęła ręką.

- Wyjechał na testy do Izraela? - domyśliła się Iza.

- Tak, a skąd pani wie?

- Nam też to proponowali...

- No to niech pani lepiej uważa - zaśmiała się złośliwie. - Ale przypadek, co nie? Że też zna pani Gellerów.

Po drodze Izabela zastanawiała się, jak podejść tę kobietę, kręcić czy od razu wyłożyć karty. Malwina jednak się pomyliła. Ałaszewska nie miała żadnego romansu ani z Jakubem, ani z Agatą. Najwyraźniej chodziło po prostu o nieudaną terapię dla syna. Z jednej strony nie powinna mieć pretensji do fundacji, która chciała tylko im pomóc. Pacjenci biorący udział w pionierskich badaniach nad nowym preparatem zawsze musieli liczyć się z ryzykiem. Podpisywali nawet stosowne oświadczenia. Z drugiej strony, frustracja matki po nieudanej terapii była całkowicie zrozumiała. Tylko czy do tego stopnia, żeby aż szantażować fundację? Co na nich miała? I dlaczego napisała, że ją wykorzystali?

- To nie do końca przypadek. - Izabela postanowiła zagrać *va banque*. - Znam państwa Gellerów.

- Jest pani od nich? - Ałaszewska gwałtownie podniosła się z kanapy. - Nasłali tu panią?

- Nie, nie... spokojnie. Przyszłam prosić o pomoc. Przepraszam, że nie napisałam tego wprost.

- A co, już pani zaoferowali przewiezienie paczuszki?

Izabelę zaskoczyło to pytanie, ale starała się nie pokazać po sobie, że nie ma pojęcia, o czym mowa.

- Tak.

- Chuje, nie? Tak wykorzystywać zdesperowanych ludzi. Przecież wiadomo, że zgodzimy się na wszystko, żeby tylko zdobyć pieniądze na leczenie. - Ałaszewska westchnęła ciężko. - Co chce pani wiedzieć? Jak to przewieźć? Oni pani powiedzą, co ja mogę doradzić. Schowaliśmy kamienie w rączce wózka inwalidzkiego, bo nie zgodziłam się połknąć... ale wiem, że inni tak robili, bo to niby najpewniejsze.

- Są inni?

- A co pani myśli? Przecież tak działa ten ich biznes.

Izabela wiedziała już na tyle dużo, że mogła wstać i wyjść. Zrobiło jej się jednak żal tej kobiety.

- Może przyjdź do pani policja - powiedziała. Chciała ją ostrzec, nie przestraszyć, ale Ałaszewska nagle usiadła, jakby zrobiło jej się słabo.

- Dowiedzieli się o kamieniach? Ja się wszystkiego wyprę. Nic na mnie nie mają. To było dwa lata temu i wszystko poszło gładko. Nikt mnie nie zatrzymywał, nikt nie wie, że to ja... Nie było tematu.

- Nie o to chodzi - przerwała jej Izabela. - Agata Geller zaginęła. Nie słyszała pani o tym?

- Jezus, nic nie wiem. Ja nie czytam internetów, wie pani... nie mam czasu na takie rzeczy. O Boże. - Przytknęła palce do ust, jakby nagle coś sobie przypomniała. - O mój Boże, Boże... - Ałaszewska była coraz bledsza. - Boże, ja jej groziłam. Gellerowej. A jak nie chciała zapłacić, to pojechałam do niej do domu i się z nią pobiłam. - Spojrzała przerażona na Izabelę, jakby oczekiwała od niej jakiegoś rozwiązania tej sytuacji. - Myśli pani, że oni mają monitoring?

- Z tego, co wiem, w ostatnich tygodniach był wyłączony.

Niewykluczone, że włosy znalezione w odłamkach rozbitego lustra należały właśnie do Ałaszewskiej, ale Izabela pominęła tę informację. Nie chciała dodatkowo stresować kobiety. Raczej nie posunęła się do niczego więcej niż bójka w celu wyegzekwowania pieniędzy. Gellerowie zapłacili za drogi sprzęt rehabilitacyjny dla jej syna; dostała to, na czym jej zależało, i dała im spokój. Poza tym gdyby miała więcej za uszami, nie śpiewałaby przed Izabelą w tak otwarty i prostolinijny sposób. To nie świadczyło o wielkiej przebiegłości. Może nawet nie uważała, że zrobiła coś szczególnie złego. Po prostu walczyła o lepsze życie dla swojego syna. Pozostawało pytanie, czy podzielić się tą historią

z policją. W tym momencie jednak to mogłoby jej bardziej zaszkodzić niż pomóc.

Jakub czekał na zielone światło razem z tłumkiem innych przechodniów, których na Hucisku było sporo o każdej porze dnia i tygodnia. Minął Nowy Ratusz i wszedł do niewielkiego parku, w którym dla odmiany straszły pustkami. Centrum miasta, obok jeden z najbardziej reprezentacyjnych budynków, a tu nie zapuszczał się nikt, kto nie chciał się narazić na dwuznaczne zaczepki. Nawet w biały dzień, a co dopiero po zmroku, jak teraz.

Jeszcze raz spojrzął na ekran smartfona, na którym widniała czerwona pinezka. W tym miejscu, obok ławki, stał okrągły śmietnik. Jakub włożył dłoń do kieszeni i przez chwilę mocno ścisnął znajdujący się w niej niewielki pakunek. W końcu wrzucił go do śmietnika. Rozejrzał się. Wokół nie było nikogo. Na pobliskim przystanku autobusowym stali jacyś ludzie, ale żaden z nich nie zwracał na niego uwagi. Oprócz zamkniętego o tej porze ratusza nie było w pobliżu żadnego innego budynku, z którego ktoś mógłby go obserwować. Telefon zawibrował, a na wyświetlaczu pojawiła się informacja o zastrzeżonym numerze.

– Załatwione? – zapytał głośno.

– Tak.

– No to spierdalaj do domu. Już cię tam nie ma.

Jakub był oczywiście przygotowany na taką okoliczność. W drodze powrotnej na Hucisko minął się z Waldkiem.

Chłopak przeszedł kawałek parkową alejką, usiadł na ławce obok śmietnika i zapalił papierosa.

– No cześć, piękny, czekasz na kogoś? – Momentalnie przysiadł się do niego pulchny blondyn, który pojawił się nie wiadomo skąd. – Jesteś już ustawiony?

– Może...

Blondyn poczuł się zachęcany i bez zbędnych wstępów złapał Waldka za kolano.

– Wypierdalaj!

Waldek szybkim krokiem odszedł na przystanek autobusowy i stanął w takim miejscu, żeby nadal widzieć śmietnik, do którego Geller kilka minut wcześniej wrzucił paczkę. Teraz musiał tylko poczekać, aż ktoś przyjdzie ją odebrać. Godzinę, trzy, nawet do rana. A kiedy tamten się zjawi, nie może



opuścić parku. Taka była umowa z Gellerem. Waldek wymacał rączkę noża sprężynowego. Potem sięgnął do drugiej kieszeni i zapalił kolejną fajkę. Zostało mu tylko pięć. Oby tamten gość przyszedł szybciej.

Izabela wbiła kod, by uruchomić alarm, a potem zatrzasnęła za sobą ciężkie drzwi kamienicy. W pierwszym momencie nie zauważyła kobiety, która stała po przeciwnej stronie ulicy Złotników.

- Hej! - zawołała Malwina.
- Będiesz teraz tak na mnie dybać?
- Miałas zadzwonić.

Izabela zatrzymała się gwałtownie.

- Przejechałaś im psa?

Malwina się skrzywiła.

- To był wypadek... Mówiłam ci, że pojechałam do nich, żeby porozmawiać. Kiedy cofałam, Lea wpadła mi pod koła... Przecież nie zrobiłabym tego specjalnie!

- Wrzuciłaś ją do jeziora...
- Nie wiedziałam, co robić. Spanikowałam.

Izabela nie była pewna, czy wierzy w te wyjaśnienia. Szła powoli, Malwina cały czas podążała za nią.

- Nic nie znalazłaś? - zapytała po chwili.
- Jakub nie miał romansu z tamtą kobietą. Pomyliłaś się.
- Jednak go sprawdziłaś, dobre i to.

- Tak jak ci powiedział, chodziło o sprawy służbowe. Miała do nich pretensje, zresztą nie do końca uzasadnione.

Izabela uznała, że to koniec rozmowy, ale Malwina nie rezygnowała.

- I co? Tak to zostawisz? Naprawdę się pomyliłam, ale co do ciebie. - Kobieta podniosła głos, więc Izabela zatrzymała się, speszona, i weszła w boczną bramę. - Czytałam o tobie. Byłaś dziennikarką śledczą, myślałam, że udupiasz takich ludzi jak Geller, a nie wchodzisz z nimi w konszachty.

- Gównu o mnie wiesz.

- Tak ci kasa przesłoniła oczy? A może jesteś taka naiwna i wierzysz, że on się dla ciebie zmieni? Nie kumas, że tak działają psychopaci? Będziesz płakać. Zobaczysz.

Kiedy Bednar był zły, zamykał się w sobie i do nikogo nie odzywał. Gawlik znał ten mechanizm i wołał nie pogarszać sytuacji, więc obaj w milczeniu pracowali przy swoich biurkach. Na odprawie zebrali srogi opierdół od naczelnika za brak postępów. Mieli trzech potencjalnych podejrzanych – Gellera, Trzos i Malwinę Iwańską – mnóstwo poszlak i zero konkretnych dowodów. Nadal nie wiedzieli, do kogo należały włosy znalezione w odłamkach lustra ani nawet czy Agata Geller w ogóle padła ofiarą przestępstwa. Jeśli osoba zaginiona żyje, zazwyczaj prędzej lub później pojawia się jakieś logowanie do sieci, płatność kartą, próba przekroczenia granicy. Nic takiego nie nastąpiło. Kobieta się zdematerializowała i tylko to mogło świadczyć o tym, że stało się jej coś złego.

Jedyne, co na obecną chwilę przychodziło Bednarowi do głowy, to po raz kolejny i jeszcze dokładniej prześwietlić wspomnianą trójkę. Odkrycie, że Gellerowie lubili zabawiać się z młodymi dziewczynami, może i było sensacyjne, ale równie dobrze mogło tylko zasłaniać coś znacznie bardziej istotnego. Co jeśli policjanci skupiali się na pobocznym wątku tylko dlatego, że pobudzał wyobraźnię? Bednar kliknął w folder i wyświetlił wszystkie informacje, jakie zebrali na temat Izabeli Trzos.

Na ekranie smartfona wyświetliła się ikona kolejnej wiadomości od Ewy. To był jeszcze jeden powód, dla którego komisarz Bednar nie miał dziś ochoty na pogaduchy. Ewa poprosiła o spotkanie i rozmowę, a to nie brzmiało jak zaproszenie na schadzkę. Bednar nie był mistrzem konfrontacji w prywatnym życiu, a wyobraźnia podpowiadała mu bardzo nieciekawe scenariusze, wołał więc od razu zweryfikować przynajmniej część z nich. Zadzwoił do niej natychmiast po odprawie i zapytał wprost, czy jest w ciąży. Odetchnął dopiero po uzyskaniu przeczącej odpowiedzi. To była najgorsza z możliwości, zwłaszcza gdyby Ewie strzeliło do głowy powiększyć rodzinę. Ona i rodzina to był oksymoron. Przynajmniej w połączeniu z nim. Ewa nie zdradziła nic więcej, stwierdziła, że to nie na telefon i że czeka na niego dziś po południu.

Odezwało się w nim coś dziwnego, jakaś przekora. Skoro uzyskał już informację, na której mu zależało – a mianowicie, że nie będzie żadnych pisklątek – przeszła mu ochota na spotkanie. Czy oni w ogóle kiedykolwiek umawiali się na poważne rozmowy albo inne konfrontacje oprócz czysto cielesnych? Cała czułość, jaką miał dla Ewy, wywietrzała. Nie czuł nic oprócz tego oporu, jakby wszystko nagle w nim zamarzło. Dopiero teraz, gdy Ewa przysłała kolejnego esemesa z pytaniem, czy do niej wpadnie, nieznacznie się

ożywił. Nie była to jednak przyjemna ekscytacja, raczej podenerwowanie. Może trochę strachu, że jeśli nie spełni jej żądania, Ewa narobi dymu.

Koło osiemnastej stał na schodkach przed drzwiami jej domu. Ze środka słyszał było wesołe krzyki dziewczynek.

– No hej. – Ewa pocałowała go w usta na powitanie. – Nie wchodzisz?

– Nie chcę, żeby dzieci nas widziały w takiej sytuacji. To chyba nie najlepszy pomysł – stwierdził, może trochę zbyt oschle, bo Ewa zrobiła wielkie oczy.

– No luz, przecież są w swoim pokoju.

Ten argument nie przekonał Bednara. Stał i patrzył na nią, jakby zaproponowała mu przejście po rozżarzonych węglach.

– Okej, zostanmy tutaj. – Przepuściła go, żeby mógł przynajmniej wejść do holu, który od części domowej oddzielały jeszcze jedne drzwi.

W środku było chłodno i niezbyt czysto. Wcześniej nie zwrócił uwagi, że na podłodze wśród porzuconych butów walają się stare zabawki i miski z kocim jedzeniem. W rogu stało wiadro z mętną wodą i podgniły mop. Wszystko to wydziało specyficzną, nieprzyjemną woń.

– Chyba musisz poszukać innej mężatki – wypaliła prosto z mostu Ewa.

Bednara dosłownie zatkało, zupełnie nie spodziewał się takich słów. Teraz jego powieki otworzyły się szerzej.

– Coś się stało? To przeze mnie?

– No chyba tak... – Zawahała się. – Dzięki tobie opadły mi klapki. To znaczy wiesz... od dawna zdawałam sobie sprawę, że moje małżeństwo to iluzja, ale teraz do mnie dotarło, że już nie chcę tak żyć. I tak ciągle go nie ma. Dziewczynki nawet nie skojarzą, że zaszła jakaś zmiana.

– Powiedziałaś mu już?

– Rozmawialiśmy. Zadzwiwiająco, ale nie oponował. Może też kogoś ma. – W głosie Ewy dało się wyczuć odrobinę smutku.

– A jak to się ma do... naszego układu?

Zaśmiała się.

– Tak, że nie wyobrażam sobie dalszego spotykania się, kiedy ten układ jest nierówny.

– To znaczy?

Ewa wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze.

- Słuchaj, nie chcę się oszukiwać. Ani ciebie. To wszystko trochę za bardzo mi się spodobało. Jeśli będziemy kontynuować, to spodoba mi się jeszcze bardziej. Znam siebie. Ciebie może nie za dobrze, ale wystarczająco, żeby nie robić sobie złudzeń. Nie jestem głupia, wiem, że to było tylko urozmaicenie.

Bednar słuchał, kiwał głową i mówił, że ją rozumie. Bardzo niewielka cząstka Ewy, nie większa od źrenicy oka, ta cząstka, którą ludzie nazywają nadzieją, liczyła, że Bednar zaprzeczy jej słowom. Powie, że może spróbować zakończyć tę relację, ale nie obiecuje, że mu się uda. Bo i tak nie myśli o niczym innym jak tylko o tym, żeby jak najszybciej i najdłużej poczuć ją blisko siebie. Najbliżej, jak można kogoś poczuć. I że to nie ma nic wspólnego z urozmaiceniem. To raczej reszta codziennych zdarzeń jest tłem tego, co dzieje się między nimi. Dla niej tak właśnie było.

- Czyli co, mam ci nie zawracać głowy?

- Chyba lepiej nie...

- Okej. To będę się zawijał. Dasz sobie radę?

Ewa pomyślała, że głupie pytania jednak istnieją. To, które zadał Bednar, właśnie takie było. Po pierwsze, wymuszało odpowiedź twierdzącą. Co by zrobił, gdyby odparła, że nie? Rzucił wszystko i zamieszkał z nią? Po drugie, potwierdzenie tak naprawdę służyło wyłącznie uspokojeniu jego sumienia. Równie dobrze mógłby po prostu zapytać, czy może już iść, i więcej się nią nie przejmować. Byłoby w tym więcej prawdy niż w udawanej trosce, w której wcale nie chodziło o Ewę.

- Chyba dziewczynki mnie wołają. Leć.

- Dzięki za miłe chwile. - Bednar nachylił się i pocałował Ewę w policzek.

Zdobyła się na ostatni uśmiech i zamknęła za nim drzwi.

Po dwóch godzinach czekania na przystanku Waldek doszedł do wniosku, że zostawienie samochodu pod Biblioteką Główną na Targu Rakowym było dużym błędem. Gdyby zaparkował na Podwalu, mógłby siedzieć wygodnie w aucie i bez problemu obserwować park. Nie zrobił tego, bo był przekonany, że cała akcja potrwa najwyżej pół godziny.

Papierosy skończyły się już jakiś czas temu. Waldek spojrzał w stronę biblioteki. Gdyby się postarał i streścił, doszedłby do samochodu w niecałą minutę, kolejne dwie zajęłoby mu przestawienie auta. Oczywiście musiałyby po

drodze złamać kilka przepisów. To i tak wystarczająco dużo czasu, żeby tamten wyjął pakunek i niezauważenie opuścił park.

W samochodzie czekała nie tylko nowa paczka fajek, ale też butelka coli, która teraz wydawała się nektarem. Waldek podskakiwał na palcach, starając się rozruszać mięśnie. W końcu zaklął i ruszył szybkim krokiem w stronę auta. Co chwilę się odwracał, żeby rzucić okiem na park, ale nie miało to najmniejszego sensu. Było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec z takiej odległości.

Przeciął Hucisko na zakazie i pod prąd wjechał w Podwale Grodzkie. Zawrócił na podjeździe do ratusza i zatrzymał się przy murze. Śmietnik był stąd doskonale widoczny. Wysiadł z samochodu i się rozejrzał. Na jednej z ławek siedziało dwóch gości, ale byli bez reszty zajęci sobą. Podszedł do śmietnika i popatrzył do środka. Pakunek wciąż tkwił na swoim miejscu. Gdyby go nie było, Waldek mógłby od razu się spakować, wyjechać z kraju i tylko się modlić, żeby Geller nigdy go nie namierzył.

Myśl o tym, że ostatni różowy diament z kopalni Argyle leży bezpiecznie w pierwszym lepszym śmietniku w centrum Gdańska, doprowadzała Jakuba do szału. To dziwne, ale wołałby, żeby kamień trafił do kogoś, kto mocno go pragnie, niż w zupełnie przypadkowe ręce. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego osoba, która go szantażowała, pozwalała teraz kamieniowi tkwić tak długo w publicznym koszu na śmieci. Po kolejnych czterdziestu minutach zaczął się nawet zastanawiać, czy Waldek nie gwizdnął kamienia i nie nawiął.

– Wychodzisz? – zapytała Izabela, która właśnie skończyła brać prysznic.

– Muszę coś sprawdzić – odparł, wkładając buty.

Telefon zadzwonił, zanim Jakub zjechał windą na dół.

– Chyba nigdzie się nie wybierasz, kolego? Chcesz, żebym odwiedził twoją przyjaciółkę? Wracaj grzecznie do domu i jej pilnuj.

– Kiedy będę mógł wyjść?

– Kiedy ci powiem.

Niebo ze stalowego zrobiło się szaroniebieskie. Szyby w najwyższych oknach budynku Urzędu Miejskiego rozbłysły od wschodzącego słońca. Waldek ocknął się nagle pod wpływem jakiegoś impulsu. Było jasno.

– Kurwa!

Na widok odjeżdżającej śmieciarki przeszył go lodowaty prąd, który natychmiast go otrzeźwił. Waldek wyskoczył z samochodu i w kilka sekund znalazł się przy koszu na śmieci. Był pusty. Mężczyzna dopadł do auta i próbował przekręcić kluczyk, który oczywiście w takim momencie musiał się zablokować w stacyjce. Kiedy w końcu mu się udało, z całej siły nadepnął pedał gazu. Na sygnalizatorze zapaliło się czerwone światło, ale w tej sytuacji Waldek oczywiście je zignorował. Zerknął w lewo. W ułamku sekundy zadziały się dwie rzeczy: Waldek zarejestrował zbliżający się samochód i jednocześnie postanowił wyjechać z podporządkowanej w stronę Nowych Ogrodów. Ta decyzja nie była przypadkiem, ale odruchem. Wiele razy wymuszało pierwszeństwo. Może nie na czerwonym świetle, ale zawsze kierowała nim jedna myśl: dlaczego ktoś miałby w niego uderzyć, zamiast po prostu zahamować i go przepuścić? Normą było, że to inni się bali, nie on.

Kierowca białego nissana navary z przednim orurowaniem, który zbliżał się od strony Węzła Hucisko, prawdopodobnie postąpiłby dokładnie w sposób przewidziany przez Waldka. Z całej siły wdepnąłby pedał hamulca, żeby przynajmniej zminimalizować nieuniknione, wydawałoby się, uderzenie. Jednak tego dnia zasnął i wychodząc z domu, zdążył tylko chwycić wafelek, który właśnie w tym momencie spadł mu na podłogę auta. Był wczesny ranek, zielone światło, na ulicach pusto, a on schylił się tylko na sekundę. Kiedy się podniósł, było już za późno na reakcję. Pick-up wbił się w bok audi i wepchnął je wprost pod jadący z Kartuskiej tramwaj.

Izabela spała w swojej ulubionej pozycji na brzuchu. Jakub nie widział jej twarzy, bo zasłaniały ją włosy. Sam przez całą noc nie zmrużył oka. Waldek nie odbierał – i to wywoływało coraz dziksze domysły. Jedna z możliwości była taka, że chłopak dorwał tamtego, wyjął nóż, ale facet był przygotowany i wywiązała się bójka. Waldek leżał właśnie w krzakach i się wykrwawiał. Nigdy nie dowiedzą się, kto zabrał kamień, nie będzie więc szans na jego odzyskanie. Jakubowi przemknęło przez myśl również to, że jego protegowanemu strzeliło coś do łba i zwyczajnie uciekł z kamieniem. Może nawet sam Waldek stał za całą intrygą związaną z zaginięciem Agaty i szantażem. Biorąc pod uwagę, że Jakub wiele lat temu wyciągnął ze skrajnej biedy całą rodzinę Waldka – jego rodziców i dwie małe siostry – i nadal zapewniał im byt, było to bardzo mało prawdopodobne. Chyba że chłopak doszedł do wniosku, że z diamentem

poradzi sobie na własną rękę. Jakub jednak dobrze czytał ludzi i takie działanie nie pasowało do Waldka – już nieraz miał okazję do kradzieży czy kłamstwa, ale zawsze okazywał lojalność.

Zgodnie z ostatnimi instrukcjami Jakub miał siedzieć w domu i czekać na kolejny telefon. Pewnie by tak zrobił, gdyby tylko udało mu się do Waldka dodzwonić.

– Kochanie... obudź się. – Potrząsnął delikatnie ramieniem Izabeli.

– Co jest?

– Musimy iść... Spakuj najpotrzebniejsze rzeczy, zaraz ktoś po ciebie przyjedzie.

W tym momencie do Jakuba dotarło, że nie załatwi na już ochrony dla Izabeli. Z takimi sprawami zawsze dzwonił właśnie do Waldka, który od razu kogoś przysyłał.

– Weź to i jedź do Otomina. Przyjadę, jak tylko będę mógł. – Wręczył jej glocka, którego wyjął wcześniej z szafki. – Pamiętasz, jak go użyć? Pokaż.

Izabela posłusznie zademonstrowała sposób odbezpieczania pistoletu, a potem ułożyła na nim dłonie tak, by kciuki wskazywały wylot lufy, i wycelowała przed siebie. Jakub skinął głową. Nauczył jej podstaw obsługi broni na jednej z pierwszych randek, kiedy zabrał ją na strzelnicę. Nalegała. Wtedy to było ekscytujące, po powrocie do domu kochali się do rana i nie byli w stanie przyjść do pracy. Jakub poczuł nieprzyjemne ukłucie w podbrzuszu.

– W domu jest pomieszczenie, o którym ci nie mówiłem... Skarbiec. Pancerny, z łóżkiem i toaletą. Zamknij się w nim i nie wychodź, dopóki nie przyjadę.

Wyjaśnił Izabeli, jak otworzyć panic room, po czym zeszli do garażu. Ich samochody stały obok siebie.

– Błagam, napisz, jak tylko dojedziesz i wejdiesz do środka. – Przycisnął ją do siebie mocno i pocałował w skroń.

– Nie mogę się doczekać.

To była zaskakująca odpowiedź, zupełnie niepasująca do sytuacji, ale rozbawiła Jakuba. Na chwilę zeszło z niego ciśnienie. Izabela często to robiła – celowo i w żartobliwy sposób wytrącała go z równowagi, kiedy stawał się zbyt napięty lub kontrolujący. Zawsze działało, teraz też.

Jeden pas na Hucisku nadal był wyłączony z ruchu, przez co na całym węźle powstał korek. Jakub doszedł do przystanku autobusowego, na którym dzień wcześniej minął się z Waldkiem. Nie musiał iść dalej, żeby zauważyć rozbite na barierkach audi. Odczuł pewną ulgę na myśl o tym, że chłopak jednak go nie wykiwał. Karetka odjechała pewnie jakiś czas temu, ale ustalenie szpitala, do którego go zabrali, trochę potrwa. Zwłaszcza że nie chciał wchodzić w oczy funkcjonariuszom, nadal spisującym zeznania świadków wypadku.

Minęła godzina, zanim otrzymał informację, że Waldek leży tuż obok, w szpitalu wojewódzkim, i prawdopodobnie będzie operowany. Tymczasem Izabela już dawno powinna była dotrzeć do Otomina i wysłać mu wiadomość, ale tego nie zrobiła. W drodze na Kartuską Jakub bezskutecznie próbował się do niej dodzwonić. Irytowało go to, ale musiał schować telefon po wejściu na izbę przyjęć. Zignorował pielęgniarki za szybą recepcji, które zresztą i tak nie zwróciły na niego najmniejszej uwagi. Poczekałnia była pełna pacjentów.

Najlepszym sposobem na zdobycie tego, na czym człowiekowi zależy, jest pewność siebie. Jakub zawsze zachowywał się tak, jakby już udało mu się osiągnąć zamierzony cel. Nie pytał, nie tłumaczył się, poczekał na okazję i działał.

Kiedy z jednego z gabinetów wyszedł lekarz, Jakub po prostu wszedł do środka. Szczęście sprzyjało mu jak zawsze, bo na wieszaku wisiał kitel. Zwinął go i wyszedł na zewnątrz wprost na ratownika medycznego.

- Co pan tu...

- Przepraszam, pomyliłem się.

Zanim mężczyzna zdążył zareagować, Jakub oddalił się i zniknął w toalecie.

Wyszedł w białym kitlu i od razu skierował się do sali, w której między parawanami leżeli przyjęci na izbę chorzy, oczekujący na podstawowe badania i dalsze decyzje – powrót do domu lub przyjęcie na oddział.

Znalezienie Waldka, którego podłączono do kroplówek i różnych urządzeń monitorujących funkcje życiowe, zajęło Jakubowi kilka sekund. W nogach łóżka, na prześcieradle, ktoś położył jego adidas. Chłopak miał opatrzoną głowę, poranioną, siną twarz i spuchnięte powieki. Trudno było stwierdzić, czy po prostu nie może ich otworzyć, czy też jest nieprzytomny.

- Waldek... - Jakub złapał go za przegub. W odpowiedzi usłyszał jęknięcie. Odzew ze strony chłopaka go zachęcił. - Kto to był?

Tym razem nic, Waldek leżał cicho i nieruchomo.

- Złapałeś go? Rozmawiałeś z nim? - Jakub potrząsał rękę chłopaka.



Jękniecie.

– Gdzie jest kamień?

Głośne, przeciągłe jękniecie. Gwałtowny szelest przesuwanej kotary. Zdziwione oczy pielęgniarki, która otaksowała Jakuba od dołu do góry.

– A gdzie doktor Sawicki?

Nie było nawet sygnału oczekiwania na połączenie. W telefonie Izabeli od razu odzywała się poczta głosowa. Jakub nie brał pod uwagę, że stało jej się coś złego. Wyłączył się. Jechał w skupieniu do Otomina, jego głowę wypełniała puszczone na całą parę muzyka. Jeśli wpuści do środka choć przeblysk zwątpienia, wszystko zacznie się sypać. Nie mógł na to pozwolić, musiał zachować jasny cel. Przed oczami miał ostatni uśmiech Izabeli, który posłała mu, siedząc już w aucie, zanim każde pojechało w swoją stronę. „Nie mogę się doczekać”. Bardzo chciał już ją zobaczyć i przycisnąć mocno do siebie. Niemal czuł zapach jej włosów.

Ani przed bramą, ani na podjeździe nie było mazdy. Za to ktoś rozbroił alarm. Musiała to zrobić Izabela, nie było innej opcji. Nie wiedział, jak się tu dostała, jeśli nie samochodem, ale to nie miało teraz znaczenia. Może zauważyła, że ktoś ją śledzi, chciała zmylić trop, wzięła ubera albo trafficara. Jakub wszedł do biblioteki i wyszukał znajome grzbiety książek. *Solaris*, *Wilk stepowy*, *Nieznosna lekkość bytu*, kliknięcie. Odsunął regał i wbił kod do skarbca. Wszystko znajdowało się na swoim miejscu, ale Izabeli nie było w środku. Doznał *déjà vu*. To samo nieprzyjemne ukłucie w podbrzuszu i ucisk w klatce piersiowej co kilka tygodni temu, gdy to wszystko się zaczęło, a on odkrył, że część kamieni zniknęła. Teraz ból był jednak dotkliwszy, a strach – bardziej paraliżujący.

Przeszukał cały dom, Izabeli jednak nigdzie nie było. Dzwonił do niej raz za razem. Wrócił do Gdańska, ale nie zastał jej ani w mieszkaniu na Wałowej, ani w pracy. Zadzwoił do jej ojca, który oznajmił, że nie widział córki od tygodnia. Oczywiście, jak to stary policjant, natychmiast się zirytował i zaczął go przepytywać. Jakub nie miał teraz siły ani czasu na wyjaśnienia, więc niezbyt grzecznie, ale stanowczo się pożegnał. Prawdopodobnie pierwszy raz w życiu poczuł całkowitą bezsilność.

Komisarz Bednar stał na środku kwaciarni i nie mógł się zdecydować, czy lepiej kupić róże, czy tulipany. A może coś bardziej efektownego, na przykład lilie albo te dziwne bordowe kwiaty o pąkach przypominających kielichy. Wyglądały bardzo oryginalnie.

– Piękne kalie, prawda? – odezwała się ekspedientka. – Robią wrażenie, ale mogą być źle odebrane. Na jaką okazję bukiet?

– Eee... na przeprosiny – wybąkał Bednar. Nie miał ochoty się tak uzewnętrzniać, babka go zaskoczyła.

– Dla ukochanej? To chyba jednak najlepiej czerwone róże...

Zadzwoił telefon i Bednar odszedł kilka kroków, żeby odebrać.

– Dzień dobry, Jakub Geller. Chciałbym zgłosić zaginięcie. Albo porwanie, nie wiem.

W pierwszej chwili komisarz pomyślał, że to głupi żart. Nie odezwał się, czekał na ciąg dalszy.

– Izabela Trzos. Moja... narzeczona. Grozi jej niebezpieczeństwo. Proszę...

Bednara zaskoczył ton głosu Gellera. Facet był rozwalony.

– Spokojnie. Proszę powiedzieć, co się stało.

– Ktoś nam groził. Mieliśmy się spotkać w Otominie, ale ona nie dojechała... Ma wyłączony telefon.

– Proszę przyjechać za pół godziny na komisariat. – Bednar rozłączył się i spojrzał na ekspedientkę, która wyglądała na jeszcze bardziej zaintrygowaną. – Wezmę róże.

Zeznania Jakuba były zgodne z prawdą i wszystkimi szczegółami – oprócz jednego faktu. Różowy diament zamienił w opowieści na inny kamień, taki, na który posiadał fakturę i raport poświadczający jego autentyczność oraz pochodzenie. To i tak nie miało znaczenia w kontekście poszukiwań Izabeli.

Do Otomina pojechał dopiero wieczorem. Ciągle miał nadzieję, że ją tam zastanie, ale nic takiego się nie wydarzyło. Teraz nienawidził tego domu jeszcze bardziej. Nie był w stanie wejść do apartamentu na piętrze, bo kojarzył mu się wyłącznie z Izabelą, mimo że wcześniej bywało w nim wiele różnych kobiet. Sypialnia wciąż była najbardziej utyłana białym proszkiem. Przeszedł do salonu i nalał sobie pół szklanki taliskera. Wziął trzy duże łyki. Usiadł na sofie. Kolejne trzy. Poczł wreszcie miękkość w ciele. Powoli pozwał napłynąć myśli, którą odpychał od siebie cały dzień. Że Izabela zniknęła przez niego. Nie

dotrzymał warunków umowy. Nie zczekał na telefon od tamtego. Wyszedł z domu i to samo nakazał jej. A przecież tamten ostrzegał: „Chyba nie chciałbyś, żeby ona także zniknęła, prawda?”. Nie chciał, ale dokonał rano złego wyboru. Liczył, że jakimś cudem odzyska kamień. Przacenił swoje siły, możliwości, a przede wszystkim swojego farta, który najwyraźniej tego ranka postanowił go opuścić. Jeśli to była kara za zuchwałość, to bardzo dotkliwa.

Dzwonek telefonu wywołał łomotanie serca. Na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer.

– Dobry wieczór, dzwonię w sprawie domu na Kamiennej Górze. Papiery są gotowe. Jeśli państwo chcą, mogą jutro przyjechać je podpisać.

– Tak. Dziękuję.

Nie wiedział, co innego odpowiedzieć. Położył się na kanapie i zwinął jak embrion. Próbował sobie wyobrazić, że jest piękny, słoneczny dzień, jadą z Izabelą do Gdyni, a potem składają podpisy na umowie zakupu nieruchomości. Już prawie udało mu się przywołać radość i spełnienie, które powinny mu towarzyszyć, kiedy znowu poczuł ukłucie w podbrzuszu.

Miał dobre i przyjemne sny, w których była Izabela. Tym gorzej, bo po przebudzeniu rzeczywistość wydała się jeszcze trudniejsza do zniesienia. Kleiło mu się w ustach, ból chciał rozłupać czaszkę. Jakub wstał i prawie zwymiotował na dywan. Powłókł się do łazienki, zdjął ubranie, w którym położył się poprzedniego wieczoru, i wszedł pod prysznic. Stał pod strumieniem wody bardzo długo, stracił poczucie czasu. Celowo przywoływał w myślach obraz diamentu, ale nie poruszało to w nim żadnej struny. Taki kamień i tak był czymś nieosiągalnym. Czymś, czego się szuka po to, żeby codzienne wstawanie z łóżka w ogóle miało sens. Może lepiej nigdy go nie znaleźć.

W pewnym momencie miał wrażenie, że słyszy trzaśnięcie drzwi. Zamknął kran, poślizgnął się, wychodząc, i upadł na kafelki. Zabolalo, ale szybko się pozbierał i owinał ręcznikiem. Z walącym dziko sercem wybiegł na korytarz. W holu było ciemno i choć jego umysł nie dowierzał, oczy rejestrowały zarys kobiecej postaci. Średniego wzrostu, zgrabnej, z długimi włosami zaplecionymi w dobierany warkocz.

– *Ciao, amore...*



## VIII

# Rubin

Kucała w pozycji narciarskiej nad dziurą w podłodze służącą za ubikację. Starala się nie wykonywać niepotrzebnych ruchów. Każdy gwałtowny gest sprawiał, że cykadę wielkości ludzkiej dłoni odrywały się od ścian wychodka i latały w amoku, na oślep uderzając ją w głowę i inne części ciała.

Po dwóch dniach w Kuala Tahan wyjście w nocy do znajdującej się na zewnątrz toalety nadal było dla Luizy survivalową wyprawą. Brodziła by w lepkim, gęstym, gliniastym błocie, gdyby wynajmujący pokoje mieszkańcy wioski nie ułożyli drewnianych kładek w strategicznych miejscach. I tak trzeba było na nich balansować, żeby nie skrzyć kostki. Pierwszego dnia pod nogami Luizy przepełzył wąż grubości ramienia. Hanka stwierdziła, że w takich warunkach nie zaśnie bez zolpidemu. Luiza wspomagała się bimbrem, którym częstował ją Sasza.

Wracała z wychodka i jednocześnie walczyła z cykadą, która zaplatała się jej we włosy. W takich chwilach przypominała sobie słowa przewodnika, spotkanego dzień wcześniej przy wejściu do parku narodowego: *It will not kill you, it will only make you cry.*

Sasza ustawił dwa plastikowe krzesła przed guest house'em, który wynajmowano spragnionym dziczy turystom.

– Proszę, specjalnie dla ciebie, miejsce w pierwszym rzędzie.

W dole, pod nimi, płynęła mętna, brunatnożółta rzeka. Poza tym scenę stanowiła znajdująca się na drugim brzegu ciemnozielona gęstwina palm, bambusowych pałaków, kolczastych rattanów i tapangów o pniach, w których mogłaby zamieszkać kilkuosobowa rodzina. Największe wrażenie robiły jednak efekty dźwiękowe dochodzące z najstarszego lasu deszczowego na świecie.

Brzęczeniu, świergotaniu, piskom i skrzekom towarzyszył puszcany z głośników i słyszalny w całej wsi śpiew muezina, nawołujący do wieczornej modlitwy.

- Co ty robisz?! - krzyknęła Luiza na widok Saszy przytykającego do łydki zapalniczkę.

W odpowiedzi odsunął nogawkę spodni i zademonstrował czarną pijawkę, która przykleiła mu się do skóry.

- Nie ma innego sposobu?

- Żal ci mnie czy tego stworzenia? - zapytał, a Luiza się roześmiała. - Widziałem, jak przewodnik zrywa w lesie jakiś listek, przykłada go do skóry, a pijawka sama odpada. Niestety nie zdążyłem zapytać, co to było.

- Pewnie jakieś narkotyki...

- *À propos...* w Kucie uważajcie na wesołych Australijczyków, a w drodze powrotnej koniecznie zafoliujcie walizki.

Zamilkli. Luiza poczuła niemiłe ukłucie na myśl o tym, że następnego dnia ich drogi się rozejdą.

- Może mógłbyś zmienić plany i pobyczyć się z nami na rajskich plażach... - zażartowała.

- Plaże na Bali nie są rajskie, zwłaszcza w Kucie. Można się rozczarować, zresztą same zobaczycie. Jeśli chcesz białego piasku i przezroczystej wody, popłynij na Gili.

- No widzisz, co ja bez ciebie zrobię?

- Mówisz poważnie? Chciałabyś, żebym się za wami ciągnął jak ten ogon?

- A ty pytasz poważnie?

Z głośnej, zatłoczonej i zaśmieconej Kuty od razu uciekli do Ubud, które oszołomiło Luizę wszechobecnym zapachem trawy cytrynowej, nachalną zielenią i misterną architekturą. Zwyczajne domostwa wyglądały jak muzea. Kamienne mury chroniły je przed złymi duchami. Rzeźbione bramy prowadziły do zacisznych dziedzińców, pośrodku których znajdowały się rytualne pawilony. Na przydomowych ołtarzykach, udekorowanych białymi i różowymi kwiatami plumerii, paliły się kadzidła. Sasza znalazł tani hostel, który kojarzył się Luizie z muzeum albo galerią sztuki. Dostali domek z własnym pawilonem wypoczynkowym i tradycyjnym dachem pokrytym suchą trawą.

Potem zabrał je na Gili Meno, gdzie – tak jak obiecał – wylegiwali się na białym piasku, snurkowali, jedli najlepsze czerwone curry w życiu i codziennie zamawiali lokalny specjał, sałatkę *urap urap* z blanszowanej zielonej fasolki, liści szpinaku wodnego i świeżo startego kokosa. Mieszkali w bambusowym domku przy plaży, z którego mieli czterdzieści kroków do morza. Hanka policzyła i nie omieszkała podzielić się tą informacją na Instagramie. Tak samo jak setką relacji z wysepki.

– Może byś tak odłożyła telefon i trochę poprzyżywała, zamiast tylko nagrywać? – żartował z niej Sasza. – Nic nie zapamiętasz z tego wyjazdu.

Odpoczywali we trójkę na leżankach ustawionych na tarasie.

– Odtworzę na filmie – odparła Hanka i wróciła do poprzedniej czynności, którą było ustawianie stóp w powietrzu w taki sposób, by kadr objął zarówno niebo, liście palm, jak i niebieską wodę.

Irytowała Saszę do tego stopnia, że uciekał za każdym razem, gdy widział ją z telefonem. Zabronił robić sobie zdjęć. Mówił, że urodził się analogowy i taki chce umrzeć. Bez mediów społecznościowych, rolek, oznaczeń, rozpoznawania twarzy i stargetowanych pod niego reklam.

– Czy naprawdę muszę tego słuchać? – zapytał z przekąsem, bo Hanka przewijała rolki z włączonym na pełną parę dźwiękiem.

– A czy ja muszę słuchać w nocy waszych jęków? Jesteście głośniejsi niż gekony, a przypominam, że te ściany są z bambusa! Zresztą podłoga też, cały domek się trzęsie...

– Nie martw się, kochanie, nie jęczysz jak gekon. – Sasza pocałował Luizę w rozgrzane ramię.

Zaśmiała się, ale Hanka była ewidentnie wkurzona. Wstała gwałtownie, zarzuciła na bikini coś w rodzaju dzierganej narzutki, wsunęła nogi w japonki i zeszła po schodkach na piasek.

– Idę do baru – oznajmiła. – A wy może wyżyjcie się teraz, to później dacie mi spać.

Hanka zrobiła niepewny krok w przód, potem drugi i spojrzała w dół na wystające z betonu wieżowce. Położyła się na szklanej podłodze czterysta metrów nad ziemią.

– Poproszę o fotkę! – zawołała.

Po sesji zdjęciowej poszła szukać toalety, a Luiza i Sasza zostali na tarasie widokowym i obserwowali rozświetlone nocne miasto.

- Pewnie na mnie nie zaczekasz. Miesiąc to dużo czasu. Znudzi ci się. No i w tydzień po powrocie znajdziesz chłopaka.

- Taaa... - westchnęła Luiza. - A ty pewnie dojdiesz do wniosku, że zamiast do Polski lepiej kupić bilet do Paryża. Albo dalej w świat...

- W takim razie może spotkamy się jeszcze kiedyś przypadkiem. W Meksyku albo na Islandii... - podjudzał Sasza.

- Dureń. - Trąciła go łokciem.

- Uważaj, młoda panno! Jeszcze mnie zrzucisz i zamiast do domu trafisz do azjatyckiego więzienia. A tam jest średnio przyjemnie.

Chciała zrobić wesołą minę, ale zamiast tego wyszedł jej krzywy grymas. Sasza gwałtownie przycisnął Luizę do siebie, tak mocno, że z trudem złapała oddech. Całował ją po twarzy i włosach.

- Będę tęsknił jak wariat. Najwyżej tym razem daruję sobie Nepal i skrócę podróż. Nie wiem, jak wytrzymam bez ciebie jeden dzień, a co dopiero trzydzieści.

- Przecież marzyłeś o trekkingu wokół Manaslu. Poza tym straciłbyś dużo pieniędzy. A miesiąc minie, zanim mrugniesz okiem.

Sasza sięgnął do kieszeni i wyjął z niej jakieś zawiniątko.

- Przepraszam, nie zdążyłem zapakować... - wyjaśnił, wyciągając z białej kaszетки długi naszyjnik z wisiorkiem i przekładając go Luizie przez głowę.

Zanim się zorientowała, poczuła między piersiami coś zimnego. Chwyliła w palce ażurową kulę, przez którą przebłyskiwał czerwony kamień.

- Zaraz... to rubin Ravięgo... Skąd go masz? - Po trzech tygodniach historia z Hindusem wydawała się bardzo mglistym i niegroźnym zdarzeniem. W ogóle nie zaprzętała jej myśli, a jeśli już się pojawiła, to jako anegdota, którą będzie opowiadać bliskim po powrocie do Polski.

- Przekonała go odpowiednia kwota. - Sasza był z siebie dumny. - Podejrzewam, że to wcale nie żadna rodzinna pamiątka. Tacy ludzie wciskają bajki bez opamiętania, żeby tylko opchnąć towar. Zresztą... nie był taki drogi.

- Ale... kiedy?

- Przed wyjazdem do Taman Negara. Jak przyszedł po pieniądze za kolczyki Hanki.

Sasza miał coś do załatwienia w hinduskiej dzielnicy, a Hanka koniecznie chciała zaliczyć przed wyjazdem jakiś nocny klub. Luiza była zmęczona, ale ostatecznie się zgodziła, pod warunkiem że przyjaciółka nie będzie jej ciągnęła na parkiet.

– Nie mogę uwierzyć, że jutro o tej porze będziemy w Gdańsku. To takie nierealne. – Hanka naprawdę wyglądała, jakby się odkleiła. Kreśliła dłońmi w powietrzu esy-floresy. Wpatrywała się jak zahipnotyzowana w swoje pomalowane na biało paznokcie, które pod wpływem ultrafioletowych światła w klubie świeciły żaróviaście zielono.

Z kolei Luiza, jak zwykle przed podróżą, odczuwała objawy reisefieber.

– Znowu piszą o tym wirusie... – powiedziała, scrollując ekran smartfona.

– O czym ty do mnie mówisz? Ja jestem jeszcze na różowej chmurce...

– O tym z Chin... Liczba zakażeń w Malezji wzrosła po zgromadzeniu w meczecie. W Europie już podobno też są chorzy...

– Eee... rozejdzie się po kościach jak świńska grypa.

– Oby.

Z twarzy Hanki nie znikał błogi uśmiech. Sądząc po rozmiarze jej źrenic, różowa chmurka była raczej wspomagana jakąś pigułką. Luiza zastanawiała się, gdzie i kiedy przyjaciółka zdążyła ją sobie zorganizować.

– Ty, ale jaja! – Hanka złapała wisiorek, który dyndał pomiędzy piersiami Luizy. – To świeci!

Luiza spojrzała w dół na złotą kulę w palcach przyjaciółki. Rzeczywiście, ukryty w niej kamień mienił się niebieskimi refleksami.

– Jaki czad! Musimy to nagrać. – Hanka zabrała Luizie telefon i włączyła kamerę. Poruszała kamieniem tak, żeby wydobyć jego elektryczny blask.

W dzień wylotu Kuala Lumpur od rana tonęło w deszczu. Hanka pierwsza zeszła na śniadanie, Sasza i Luiza zostali jeszcze w łóżku i wykorzystywali ostatnie chwile razem.

– Mogę mieć do ciebie prośbę? – zapytał Sasza, kiedy skończyli się kochać. Wstał i wyciągnął ze swojej walizki mały pakunek. – Przyjaciel, który mieszka w Warszawie, jest fanatykiem kopi luwak. – Spojrzał na Luizę niemal przepraszająco i na potwierdzenie swoich słów wyjął z papierowej torby kilka torebek kawy, którą kupił w trakcie pobytu na Bali. – Jeśli to oczywiście nie problem dla ciebie...



- No pewnie, nie ma sprawy.

- Super, wyślę mu twój numer telefonu i adres.

Sasza pojechał z nimi kolejką na lotnisko KLIA i towarzyszył im aż do odprawy bagażowej.

- Dzięki jeszcze raz za wszystko. - Luiza miała łzy w oczach. W palcach trzymała kulisty wisiołek. Ten gest trochę ją uspokajał. Uczucia i deklaracje Saszy były dzięki niemu bardziej namacalne.

W końcu musieli się od siebie odkleić i dziewczyny dołączyły do tłumu czekającego na kontrolę bezpieczeństwa. Luiza zagapiła się na kobietę schowaną pod czarną burką. Jedyny prześwit stanowiła wąska siateczkowa przesłona na wysokości oczu. Luiza pomyślała, że ten strój jest jak mobilne więzienie. Mąż muzulmanki zademonstrował jej paszport celnikowi.

- Ciekawe, po czym ją zidentyfikują - zastanawiała się głośno Hanka. - Albo czy mogą ją wziąć na przeszukanie. Czy to z mojej strony brak szacunku i zrozumienia dla innej kultury, że wkurwia mnie coś takiego?

- Nie wiem...

Luiza była jeszcze nieco oszołomiona rozstaniem. Spędziła z Saszą prawie każdą minutę ostatnich trzech tygodni i czuła się jak wyrwana z innej rzeczywistości. Nie myślała nawet o tym, że za miesiąc ta znajomość może być dla nich już tylko miłym przebłyskiem przeszłości. Oczywiście było dla niej, że się spotkają.

Z kolei Hanka sprawiała wrażenie podekscytowanej powrotem. Może z powodu prezentów, które wiozła dla bliskich. Mówiła też, że tęskni za zwykłymi gotowanymi ziemniakami, mielonym i mizerią, a nawet deszczem ze śniegiem, który teraz niechybnie padał w Polsce.

- Proszę wyjść z kolejki...

- Słucham?

Luiza zastanawiała się, czy Hanka była zdziwiona prośbą celniczki, czy naprawdę nie zrozumiała jej angielskiego.

- Proszę przejść - powtórzyła celniczka.

Hanka oddaliła się i zatrzymała we wskazanym miejscu.

- Proszę otworzyć plecak. - Głos kobiety był spokojny, mówiła powoli, ale to nie pomagało. - Plecak. Otworzyć plecak.

Hanka w końcu wykonała to polecenie i wszystkie następne, choć jej irytacja związana z trudnością w komunikacji rosła z minuty na minutę. Celniczka

kazała jej wyjąć każdą pierdołę, otworzyć każdą buteleczkę i opakowanie, rozpakować starannie zawinięte prezenty. W efekcie po dwudziestu minutach wszystko było rozparcelowane i walało się po blacie, a Hanka stała obok wściekła i zawstydzona.

– Macała szelki w moich spodniach, kumasz? – mówiła do Luizy, kiedy kobieta wreszcie się oddaliła. – Co można przemycać w szelkach? W ogóle co to było? Wyglądam jakoś podejrzanie czy co?

Luizie, która przeszła kontrolę bez mrugnięcia okiem, chciało się śmiać. Przyzwyczajona do przywilejów Hanka raz została potraktowana tak samo jak inni ludzie.

Ze swojego mieszkania w wieżowcu przy Kamiennej Grobli na Żabi Kruk miała dziesięć minut piechotę. Uwielbiała tę trasę, oddzielającą stare kamienice od nowoczesnych budynków. Szła ścieżką wzdłuż rzeki, potem skręcała na most Toruński. Czasami siadała na schodkach przy Nowej Motławie i napawała się tym miejscem. Nie mogła się doczekać, kiedy pokaże jej Saszy.

Dochodziła szósta rano. Luiza wylądowała w Warszawie zaledwie dziesięć godzin temu, a potem musiała jeszcze wsiąść w pociąg do Gdańska. Jet lag tak rozregulował jej organizm, że pora dnia nie miała już właściwie znaczenia. Poza tym chciała jak najszybciej zobaczyć ojca i zrobić mu niespodziankę. Po drodze zamierzała jeszcze wstąpić do sklepu, żeby kupić jego ulubione grahamki, kefir i jajka na śniadanie. Wkładała w przedpokoju buty, kiedy zadzwonił domofon.

– Cześć, tu Waldek, kolega Saszy.

– Ooo... hej... Tak wcześnie? Myślałam, że najpierw zadzwonisz. To znaczy normalnie, przez telefon.

Najście trochę ją zirytowało, ale pomyślała, że nie chce zaczynać znajomości z przyjacielem Saszy od wyrzutów. Zależało jej na zrobieniu dobrego wrażenia.

– Przepraszam, ale jutro wyjeżdżam i trochę mi się spieszy. Akurat załatwialem coś w okolicy. Mogę wejść?

– Wiesz co... właśnie wychodziłam, więc wezmę przesyłkę od Saszy i już do ciebie schodzę.

– Spoko...

Luiza odłożyła słuchawkę i natychmiast poczuła wyrzuty sumienia. Chyba nie była zbyt miła. Może powinna zaprosić Waldka na górę, zaproponować

herbatę, chwilę z nim porozmawiać. Teraz i tak już nie było wyjścia, więc wyjęła z nierozpakowanej walizki paczkę i zjechała windą na dół.

Kiedy drzwi się otworzyły, czekało na nią dwóch mężczyzn.

– Już po dwójeczce? – zażartował wyższy, z wytatuowanym wężem na szyi.

– Słucham? Ty jesteś Waldek?

– Nie. To jest Waldek, a na mnie możesz mówić Ogór, tak jak inne dziewczyny. Dawaj, co masz, i się zwijamy.

Luiza wręczyła Waldkowi torbę z kawą. Mężczyzna był wyraźnie zaskoczony.

– Kurwa, żartujesz sobie ze mnie? – Spojrzał na nią ze złością, a potem zademonstrował zawartość torby koledze.

Ogór zrobił krok w kierunku Luizy, chwycił ją mocno za szczękę i przycisnął jej głowę do drzwi windy. Zawyla. Wydawało jej się, że mężczyzna zaraz podniesie ją do góry.

– Morda, bo pożałujesz. Jaja sobie z nas robisz?

Luiza nie była w stanie wydusić słowa przez zaciśnięte gardło, więc tylko pokręciła głową.

– Ty, a może to w tej kawie jest. – Waldek wyjął nóż i rozpruł najpierw jedną, potem drugą torebkę, po czym wysypał ich zawartość na podłogę. Drobne brązowe ziarenka kopi luwak posypały się na splekane, brudne lastryko.

– Dobra, mała, *game over*. Gdzie to jest?

Gadzi mózg, który w takich sytuacjach przejmował kontrolę, skompresował wszystkie procesy myślowe w jej głowie do krótkich haseł. Sięgnąć do kieszeni po telefon. Zadzwonić do Saszy. Uciekać. Żadna z tych opcji nie była na razie możliwa, bo Ogór nadal zaciskał dłoń na jej szyi, a drugą wbijał pod jej lewe żebro.

– Czy możemy zadzwonić do Saszy? – zapytała drżącym głosem. – Nie wiem, czego szukacie, ale to chyba nieporozumienie.

– Czy ty myślisz, że my mamy cały dzień na pogaduszki? Wydaje ci się, że jesteś taka cwaniara?

Dźwig ruszył w górę. Waldek zdał sobie sprawę, że ktoś z wyższego piętra przywołał windę, zaraz do niej wsiądzie i zacznie zjeżdżać w dół, prosto na nich. Luiza pomyślała o tym samym i poczuła ulgę.

– Proszę. Zadzwońmy do Saszy i wszystko zaraz wyjaśnimy.

Doszła do wniosku, że w tej sytuacji mężczyźni i tak nie mają wyjścia, więc poruszyła się, licząc, że Ogór ją puści. W tym momencie poczuła silnie

uderzenie w żołądek. Tyle że Ogór nadal stał nieruchomo i wpatrywał się w nią dzikimi oczami. Jego czarne źrenice, rozlane po całej tęczęwce, były ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła.

- O kurwa... - Ogór cofnął się, ale nadal przytrzymał bezwładną Luizę. Powoli cofnął prawą rękę.

Waldek spojrział na zakrwawione ostrze, które Ogór powoli wysunął z brzucha Luizy.

- Ja pierdołę... Do samochodu!

Winda była coraz niżej. Mężczyźni wzięli Luizę między siebie i powlekli ją do wyjścia, gdzie tuż pod klatką stało zaparkowane audi. Na chodniku i ulicy nie było nikogo. Załadowali ciało do tyłu, a Ogór usiadł obok, tak aby wyglądało, że Luiza śpi oparta o jego ramię. Odjechali w momencie, gdy otworzyły się drzwi i z bloku wyszedł otyły mężczyzna z maltańczykiem.

- Ty debilu! Nawciągałeś się czy co? - wysyczał Waldek. - To miała być czysta akcja. Wpadamy na chatę, bierzemy kamień, spierdalamy i tyle nas laska widziała. Ja pierdołę, ona nie żyje. - Dla pewności zerknął do tyłu.

Ogór był blady i spocony. Półprzytomnym wzrokiem wpatrywał się w zakrwawiony nóż, który wciąż trzymał w dłoni.

- Dźwignia, zepsuła się dźwignia. Ostrze wyskoczyło samo - próbował tłumaczyć. - Nikt nas nie widział...

- Kurwa, jak twoim zdaniem znajdziemy teraz diament? Rozprujesz ją?

- Nie jestem rzeźnikiem... To był wypadek.

- Jesteś ćpunem i debilem.

- To zadzwoń do Saszy.

- Świetny, kurwa, pomysł - wycedził wściekle Waldek.

- Zatrzymaj się! - zawołał nagle Ogór. - Ona coś tu ma...

Dojechali do końca Dobrej. Dalej można było już tylko iść na piechotę - do Kamiennej Śluzy albo na Redutę Wilk.

Ogór próbował wysupłać coś, co zaplątało się we włosy Luizy. W tym momencie zadzwonił Sasza i Waldek przeszedł na łamany angielski. Rozmowa trwała krótko.

- No to ostro zjebaliśmy - stwierdził po zakończeniu połączenia i odwrócił się.

Ogór trzymał w dłoni purpurowy kamień. Nie mógł zdjąć łańcuszka, oderwał sam wisiorek.

- Co robimy z ciałem?



## IX

# Zabójstwo

Jakub cały czas stał bez ruchu, Agata podeszła do niego i się przytuliła. Zaskoczyło go, jak obce wydało mu się jej ciało. Prawie go nie pamiętał, a już na pewno nie było tym, które chciał teraz trzymać w objęciach. Mogła wyczuć jego sztywność, ale chyba w ogóle jej to nie przeszkadzało.

- Nic ci nie jest? - ocknął się.

- Nie, wszystko w porządku. Hej, cieszysz się chociaż trochę, że mnie widzisz? - Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Oczywiście. Cieszę się, że jesteś cała - zapewnił.

- To było okropne. Strasznie za tobą tęskniłam - powiedziała, zdejmując buty i prochowiec. Nie wyglądała jak ofiara porywacza, dopiero co wypuszczona z jakiejś obskurnej kryjówki. Raczej jakby wróciła z zakupów albo weekendu u przyjaciółki. - Zaraz ci wszystko opowiem, tylko wezmę prysznic, okej? - powiedziała wesoło.

Agata zmierzała do łazienki, zdejmując po drodze ubrania. Może jej osobliwe zachowanie było skutkiem szoku albo jakiegoś innego mechanizmu. Ludzie dziwnie reagowali na silny stres i zagrożenie życia. Żona Jakuba Gellera z pewnością nie była typem ofiary rozgrzebującej swoje rany. Zazwyczaj to ona kontrolowała sytuację, więc prędzej wyparłaby traumatyczne doświadczenie. Tym bardziej musiał być wobec niej delikatny. Nie naciskać, mimo że zżerało go pragnienie dobrania się do skóry draniowi, który ją porwał. Ją i Izabelę, a to przecież do niej Jakub musiał jak najszybciej dotrzeć.

Poszedł do kuchni i włączył ekspres do kawy. Pomyślał, że może przygotuje jej jakieś śniadanie, ale przecież w lodówce od dawna nie było nic do jedzenia. W szafce znalazł karton mleka roślinnego, kakao i płatki owsiane,

a w zamrażarce maliny. Kiedy Agata wyszła spod prysznicza, na stole czekał na nią całkiem pożywny posiłek i świeżo zaparzona kawa.

- Dziękuję, skarbie, wygląda pięknie. Właściwie nie jestem specjalnie głodna. Zjadłam croissanty.

Kolejne zdziwienie. Jakub nie wyobrażał sobie, że porywacz wyskoczył do francuskiej piekarni przed wypuszczeniem Agaty na wolność.

- Kto to był? Widziałaś go? Przywiózł cię tutaj?

Oczy Agaty straciły swój zawiądy, niemal bezczelny wyraz i złagodniały. Może nie wyglądała na speszoną - bo to jeszcze nigdy jej się nie zdarzyło - ale poważna mina sugerowała, że ma mu do powiedzenia coś niewygodnego.

- Jestem ci winna przeprosiny - powiedziała. - Na początku byłam na ciebie taka wściekła. Na nią też. Chciałam was ukarać. Gdybyś poszedł do więzienia... Nie moglibyście być razem, a ty miałbyś bardzo dużo czasu na przemyślenie tego, co zrobiłeś.

Jakub słyszał, co mówi żona, ale jego umysł nie do końca chciał wpuścić jej słowa do świadomości.

- Poczekaj, poczekaj... Co ty do mnie mówisz? Chciałaś mnie zrobić w zabójstwo?

- Nie patrz tak na mnie! Nie wyobrażasz sobie, jak cierpiałam! - Agata wstała od stołu i z hukiem wrzuciła naczynia do zlewu. - Oboje mnie zostawiliście, zajęliście się sobą, co miałam robić?

- No nie wiem, rozmawiać ze mną? Iść do psychologa, zamiast fingować własną śmierć? Do kurwy nędzy, czy zdajesz sobie sprawę, że zostałem zatrzymany? Mogłem zgnić w więzieniu za coś, czego nie zrobiłem...

- Taki był plan, Jakub - powiedziała Agata suchym tonem, zdziwiona, że musi tłumaczyć taką oczywistość. Następnie wróciła do swojego wywodu. - Na początku to było nawet urocze... ta wasza zabawa w związek. Myślałam, że chcesz mnie sprowokować. Że to nowy etap naszej gry. Ta niby-separacja mogła nas nawet ożywić. Ale, kurwa, Jakub, wspólne wicie gniazdko z nią? Może jeszcze dzieci, co? Nie, ja w ogóle nie wierzę, że to naprawdę było coś poważniejszego, ale i tak zdecydowanie przesadziłeś. Musiałam zrobić coś, co cię otrzeźwi.

- I co sobie myślałaś? Że znikniesz gdzieś na zawsze i nikt cię nie znajdzie?

Agata nie odpowiedziała. W ciele Jakuba narastało nieprzyjemne mrowienie. Miał wrażenie, że jego żona przez ostatnich kilka miesięcy

stworzyła sobie w głowie alternatywną rzeczywistość i nie dopuszczała do siebie faktów. Najgorsze było jednak to, że najwyraźniej straciła kontrolę nad swoimi iluzjami.

- Zrobiłaś jej coś? - zapytał sucho.

- Komu?

- Izabeli. Gdzie ona jest?

Twarz Agaty rozjaśniła się jak u dziecka, któremu ktoś zrobił miłą i zaskakującą niespodziankę. Zaczęła się śmiać.

- Zostawiła cię? Tym lepiej. Kochanie, wiedziałam, że wszystko się ułoży, że to naprawimy, i zobacz, idzie jak z płatka...

- Zwariowałaś...

- Wręcz przeciwnie, skarbie. Jestem w tym momencie bardzo racjonalna - powiedziała ostrym, zdecydowanym tonem. - Co oczywiście nie znaczy, że nie kieruje mną miłość.

Jakub pocierał dłonią czoło i choć rzucił oskarżenie w kierunku żony, tracił pewność także co do swoich zdrowych zmysłów. W jego głowie pojawiła się myśl, że może Izabela naprawdę go zostawiła, ale to nie było możliwe. Nie dlatego, że nie mogła mieć dość jego kłamstw. Że nie przeraził jej wystarczająco jego cień. Na pewno nie zostawiłaby go bez słowa wyjaśnienia, po kryjomu, w taki sam sposób, jak próbowała to zrobić Agata. „Nie mogę się doczekać”, przypomniał sobie jej uśmiech - i ten widok trochę go ukoił.

Agata podeszła do męża i przytuliła jego głowę do swoich piersi. Czula jego drżenie. Gładziła go po włosach.

Jakub ostatni raz w życiu płakał, kiedy był małym chłopcem. Po każdej naganie od ojca, która zazwyczaj następowała przy rodzinnym obiedzie, kiedy już udawało mu się zjeść wszystko z talerza i powstrzymać wymioty, biegł do swojego pokoju i szlochał. Przestał to robić nie dlatego, że ojciec wymagał od niego twardego, męskiego zachowania. Jakubowi płacz kojarzył się tylko z upokorzeniem. Teraz wstyd przestał być dla niego istotny. Wydał z siebie coś, co bardziej przypominało spazm, potem drugi. Agata nie przestawała gładzić go po włosach. Wreszcie popłynęły łzy.

- Nigdy nie dopuszczałam do siebie myśli, że nie będziemy razem - mówiła łagodnie. - Jesteśmy dwiema połówkami jabłka, Jakub. Bez siebie nie istniejemy. Nie ma cię beze mnie, nie poradzisz sobie.

- Agata, ja ją kocham...



Uśmiechnęła się wyrozumiale.

– Miłość nie jest najważniejsza. To tylko uczucie. Mija. W związku chodzi o coś innego. Kompatybilność. Wspólną wizję. Zrozumienie. Cel...

Mówiła rzeczy, które ustalili dawno temu, na początku swojej relacji. To poczucie, że mają podobne podejście do życia, że ich umysły działają niemal identycznie, było nawet lepsze niż chemia, która połączyła ich ciała. Mimo to Jakub patrzył na nią zaczerwienionymi oczami, jakby ledwo docierały do niego jej słowa.

– Mnie też przez chwilę wydawało się, że się w niej zakochałam. – Agata postanowiła zmienić taktykę. – Przecież po to wymyśliłiśmy tę grę, prawda? Żeby czuć te emocje. Ale bądź szczerzy. Zakochałeś się w niej tylko dlatego, że wcale cię nie chciała... – Przynalęła się i pozwoliła, żeby Jakub położył głowę na jej ramieniu. – Przynajmniej nie tak jak inne. To i tak by się nie udało. Sam zobacz. Zostawiła cię, gdy tylko pojawiły się problemy. Albo nie rozumiała, kim jesteś, albo tego zwyczajnie nie zniosła. A ja jestem tutaj i przyjmuję wszystko. Nawet ten ból, który mi teraz zadajesz. I pomogę ci przez to przejść. Wiesz dlaczego? Bo przez to uczucie, które zaraz ci przejdzie, widzisz teraz tylko jakiś zamazany wycinek rzeczywistości, a ja widzę wyraźnie cały obraz.

Stali tak, aż Jakub całkiem się uspokoił. Wytarł mokrą twarz i odsunął się od Agaty.

– Będziesz miała problemy. Policja wszczęła dochodzenie. Była tu prokurator, byli technicy, nurkowie przeszukiwali jezioro...

– Zajmę się tym. Przecież *de facto* o niczym nie wiedziałam... Ty zresztą też. Byłam odcięta od świata, powiem im, że po prostu potrzebowałam odpocząć na odludziu, w Puszczy Białowieskiej. Wiesz, jak tam cudnie? Może kupimy tam dom, co? Zabiorę cię. No nie rób takiej miny. Od kiedy w ogóle policja tak bardzo się przejmuje małżeńskimi problemami? To nie my wszczęliśmy ten raban. Poza tym... Chyba stać nas na to, żeby to jakoś polubownie załatwić.

Jakub wyglądał na coraz bardziej pogodzonego z sytuacją, ale nagle zapytał:

– To ty zabrałaś diamenty ze skarbca?

– Och, daj spokój, nie dramatyzuj. Musiałam mieć jakieś zabezpieczenie na wszelki wypadek. Byłam na ciebie taka wściekła, że całkiem poważnie rozważałam rozpoczęcie nowego życia w Meksyku albo na Bahamach. Oczywiście dość szybko zrozumiałam, że bez ciebie nie chcę nigdzie jechać. – Znowu uśmiechnęła się łagodnie.

On pozostawał poważny. Skupiony. Teraz liczyło się tylko ustalenie faktów i dotarcie do Izabeli.

- W porządku. Wzięłaś kamienie, ale nie dzwoniłaś do mnie potem, nie szantażowałaś mnie, udając porywacza?

- Skarbie... Może mnie poniosło, ale potem już tylko chciałam do ciebie wrócić. Zaplanowałam dla nas wszystko na nowo, sprzedamy dom, wyjedziemy...

Jakub uciszył ją gestem dłoni.

- Jeśli to naprawdę nie byłaś ty... to kto ma teraz Alcheringę?

- Straciłeś kamień? - zapytała z wyrzutem. - Może Izabela...

- Nie - uciął, zanim dokończyła. - Była cały czas ze mną. Poza tym to nie miało by sensu. I tak miała go dostać. Chciałem go dla niej oprawić.

Agata odsunęła się od Jakuba. To, co powiedział wcześniej o miłości do Izabeli, nie zabolalo tak jak wyznanie, że chciał jej podarować ostatni diament z Argyle. Jeśli mówił poważnie, to tym lepiej, że kamienia już nie było. Nie mogłaby znieść myśli, że leży gdzieś w sejfie w ich domu jak bezcenna pamiątka po czymś, co powinno zostać unicestwione. Nie zamierzała więc poruszać tego tematu.

- Gdzie jest Lea? - zapytała.

Gdyby nad ranem nie zerwał się silny północny wiatr, pewnie tak szybko nie znaleziono by ciała. Minęło zaledwie kilka godzin, więc tak naprawdę nikt nie wiedział, że w ogóle należy rozpocząć poszukiwania.

Na Bałtyku wciąż utrzymywał się wysoki stan wody, co w połączeniu z wiatrem wiejącym z północy spowodowało cofkę na Motławie. Kajakarze, którzy utknęli za Kamienną Śluzą, trafili na ciało Luizy przypadkiem. Jej najbliżsi, czyli ojciec i starsza siostra, nie zdążyli nawet zgłosić zaginięcia.

Nawet taki wyjadacz jak sierżant Trzos - a może szczególnie on - musiał zdawać sobie sprawę z tego, że funkcjonariusze mieli wyjątkowo trudne zadanie. Nie było świadków, nie znaleziono narzędzia zbrodni, a mimo przesłuchania rodziny i przyjaciół Luizy nie pojawił się żaden motyw. Była skromną, cichą dziewczyną, skupioną na pracy i nauce. Skończyło się tak zwaną „enką”, czyli umorzeniem wobec niewykrycia sprawcy.

Komisarz Bednar przejrzał notatki z dochodzenia w poszukiwaniu czegoś, co mogli przegapić jego koledzy. Sam nigdy by nie wpadł na jedyny sensowny

motyw, gdyby nie zaginięcie Agaty Geller, a później Izabeli. Musiał przyznać, na tyle obiektywnie, na ile był w stanie, że z największą dokładnością zrobiono wszystko, czego wymagały procedury. I właśnie to nie dawało spokoju ojcu, który wiedział, że można zrobić znacznie więcej, jeśli jest się emocjonalnie zaangażowanym w sprawę.

W przedpokoju mieszkania na Żabim Kruku stał wózek inwalidzki. Mężczyzna, który otworzył komisarzowi drzwi, poruszał się o własnych siłach, ale jego ruchy były spowolnione. W przejściu leżała częściowo spakowana i otwarta walizka na kółkach.

– Wybiera się pan gdzieś? – zainteresował się Bednar.

– Miałem lecieć jutro na badania do Izraela. Terapia eksperymentalna. W tej sytuacji nie wiem, czy będę w stanie.

Usiedli w dużym pokoju, który wyglądał jak wyjęty z pierwszego katalogu Ikei. Miękka sofa z tapicerką w kwiaty, otwarty regał na książki, okrągły stół i krzesła z giętego drewna. Kiedyś to musiało być synonimem luksusu, ale od ponad dwudziestu lat nikt chyba nie przestawił tu nawet jednego bibelotu. Kiedy Trzos parzył w kuchni herbatę, Bednar przyglądał się zdjęciom w złotych ramkach. Obie córki w przebraniach księżniczek, prawdopodobnie na szkolnej zabawie, ze złożonymi rączkami w sukienkach komunijnych, rodzinne fotki z czyichś urodzin, bo na stole stał tort, z gór, znad jeziora. Duży portret szatynki o ładnie wyciętych, migdałowych oczach.

Trzos postawił na stole kubki z herbatą i spodek na zużyte torebki. Bednar zastanawiał się, jak rozmawiać z mężczyzną, który stracił już dwie najważniejsze kobiety w swoim życiu, a teraz być może straci trzecią. Choć w to ostatnie komisarz nie do końca wierzył.

– Wie pan, gdzie przebywa Izabela Trzos?

– Nie, a pan wie? – oburzył się były policjant.

– Myślę, że szybko ją znajdziemy. Przykro mi z powodu młodszej córki. Mam dwoje dzieci. Wyobrażam sobie, co musi pan czuć.

– Tak? Co?

– Ja byłbym wściekły. I nie zniósłbym bezsilności. Chciałbym coś zrobić. Cokolwiek, nawet gdyby to było niezgodne z prawem.

Trzos siorbał gorącą herbatę i milczał, więc Bednar mówił dalej.

– Jedynym niezbadanym wątkiem był pobyt Luizy w Malezji i Indonezji oraz znajomość z jakimś Saszą. Wiemy o nim tylko tyle, co zeznała przyjaciółka

Luizy, Hanna Konrad. Nie znała nawet jego nazwiska, ale podejrzewam, że i tak podał dziewczynom fałszywe dane. Oczywiście jako policjant dobrze pan wie, dlaczego ten trop nie został pociągnięty... Pomijając już to, że pozornie nie ma on żadnego związku z przypadkową śmiercią Luizy.

Trzos nadal się nie odzywał, ale wyglądał, jakby miał ochotę walnąć Bednara w pysk.

- Wtedy to wszystko wyglądało jak bezsensowne zabójstwo na tle rabunkowym – ciągnął Bednar. – Zaginął telefon Luizy, w portfelu były tylko dokumenty. Pan przecież wie, że na Dolnym Mieście nie brakuje meneli, którzy gotowi są wsadzić nóż pod żebro dla dwudziestu złotych. Powiązanie tego z przygodą w Azji wydawało się absurdalne. I bardzo odległe. Zaraz przyszła pandemia i wszyscy skupili się na niej. Nawiazanie kontaktu z tamtejszą policją, przesłuchania ewentualnych świadków... zwłaszcza gdy nie mamy ani żadnych zdjęć człowieka, ani jego prawdziwych danych... Bardzo bym chciał, żeby takie rzeczy były oczywiste, ale pan zna realia naszej pracy. – Bednar zawiesił się na chwilę. – Przeczytałem akta tamtej sprawy bardzo uważnie. Prawie przeoczyłem wzmiankę o kamieniu, bo to słowo pada tam tylko raz. Co ciekawe, nie w zeznaniach Hanny Konrad, ale Izabeli Trzos. Mogę się tylko domyślać, że nikt nie wziął jej wtedy na poważnie. Widzi pan, że sam nie wpadłbym na ten trop, ale w tamtej sprawie mamy kamień szlachetny, a w tej wszystko kręci się wokół małżeństwa jubilerów. I tak sobie pomyślałem, że może to nie jest przypadek...



## X

### *Dreamtime*

Myślała, że to budzik. Zwykle kilka razy wciskała drzemkę, zanim na dobre otworzyła oczy. Teraz zrobiła tak samo, ale telefon po chwili znowu zaczął wydawać dźwięki.

Dochodziła czternasta, ale Izabela wróciła ze służbowej imprezy dopiero przed siódmą rano. Spojrzała na ekran smartfona. Dzwonił ojciec.

- Iza... - zaczął tonem, który od razu ją otrzeźwił. - Muszę jechać zidentyfikować ciało.

- Jakie ciało, o czym ty mówisz?

Nie pracował w policji od lat, to nie miało żadnego sensu.

- Chyba znaleźli Luizę.

- Luiza jest w Malezji, tato. Wraca... o cholera. Wróciła wczoraj, miałam do niej dzwonić.

- Był u mnie kolega z komisariatu. Rano wyłowili ją z Motławy.

Dziwne, ale jedyne, co potrafiła zrobić, to położyć się z powrotem na łóżko i zwinąć w embrion. Nie chciała przyjąć do wiadomości tego, co powiedział ojciec. To było niemożliwe. Dwa dni temu rozmawiała z siostrą przez wideoczat. Chciała odebrać ją z lotniska, ale Luiza odmówiła. Zależało jej na jak najszybszym powrocie do Gdańska, musiała przygotować się do pracy. Obiecała, że odwiedzi ją za dwa tygodnie. Była taka radosna.

Izabela pomyślała, że jeśli nie wstanie, to nie będzie musiała stawić czoła słowom ojca. Przyszłość się nie wydarzy. Zawieszenie w próżni było lepsze niż życie bez Luizy. Potem doszła do wniosku, że ojciec nie może jechać na

identyfikację. Nie po tym, jak mama umarła w nocy w łóżku obok niego. Jak zobaczył nad ranem jej stężałą twarz. Nie może zapamiętać w ten sposób Luizy.

Przez kolejny miesiąc działała jak na autopilocie. Najpierw czekali na sekcję i wydanie zwłok. Nie wiedzieli, kiedy będą mogli zorganizować pogrzeb. Czasem Izabela wyobrażała sobie, że Luiza po prostu nie wróciła z wakacji. Mieszkała gdzieś tam, na drugim końcu świata, może zwiedzała kolejne kraje, może pracowała, poznawała nowych ludzi, była zadowolona, a przede wszystkim żywa. Innym razem besztła się za to, że jednak nie pojechała po nią na lotnisko, nie zmusiła siostry, by wzięła u niej prysznic, odpoczęła, zjadła coś ciepłego. Izabela nawet osobiście mogła ją odwiedzić do tego pieprzonego Gdańska. Wtedy Luiza nie szłaby w niedzielę o szóstej rano Kamienną Groblą i nie trafiłaby na nożownika. Nie potrafiła zatrzymać obezwładniającej fali nienawiści do samej siebie za to, że nie uchroniła młodszej siostry. Mogła tylko trochę stępić ból za pomocą dwóch, trzech szklanek whisky. Potem potrzebowała ich już nie tylko wieczorem, ale też przed pracą. Przestała chodzić na kolegia, nie była w stanie skupić się na żadnym temacie, który nie dotyczył zabójstwa Luizy. Któregoś dnia stwierdziła, że w ogóle nie ma sensu iść do redakcji.

Trzeba było posprzątać mieszkanie na Kamiennej Grobli, bo właściciel chciał wynająć je kolejnej osobie, więc Izabela na jakiś czas przeniosła się do ojca, do Gdańska. Siedziała w małym pokoju, w którym spędziła z siostrą większość dzieciństwa, i przeglądała jej rzeczy. Nie wiedziała, co sprawi jej większy ból. Kiedy to wszystko odda albo sprzeda czy kiedy je zatrzyma. I jak ojciec był w stanie zostać w tym miejscu po śmierci matki? Izabela jakieś pięć razy dziennie miała ochotę skoczyć z balkonu na szóstym piętrze. Nie zrobiła tego tylko dlatego, że chciała najpierw napłuć w twarz typowi, który zabił jej siostrę.

– To wszystko? – zapytała ojca na widok paczki z rzeczami Luizy, którą mu przysłano. – Nie zatrzymują tego jako dowodu?

– Nic nie mają. „Koniec półrocza, trzeba morzyć”. – Trzos zacytował tekst, który znał aż za dobrze.

Izabela zastanawiała się, jaki idiota wpadł na to, żeby wysłać rodzinie ubrania, w których zginęła bliska im osoba. Pocięte, zakrwawione. Musiała być chyba jakaś granica bezmyślności w przestrzeganiu procedur.

Wyjęła z torby gruby złoty łańcuszek, którego wcale nie kojarzyła z siostrą. Najpierw pomyślała, że ktoś się pomylił. Potem przypomniała sobie o zdjęciu i filmiku, które Luiza przysłała jej dzień przed wylotem z Kuala Lumpur. Na obu była jakaś błyskotka, pewnie kupiona na straganie na pamiątkę. Siostra miała ją też na sobie tego dnia, kiedy rozmawiały przez wideoczat. Czerwony kamień w złotej kuli na łańcuszku. Na zdjęciu, zrobionym w świetle dnia, widać było różowe refleksy. Z kolei na nagrany w dyskotecce filmiku mienił się na granatowo. Luiza podpisała nagranie „Dreamtime”. Izabela początkowo sądziła, że to odnosiło się do cudownych wakacji w Malezji.

Nie znalazła kamienia w rzeczach siostry. Pomyślała, że ktoś miał jednak inne zdanie i przywłaszczył sobie świecidełko, ale to nie był powód do wszczynania afery, tylko kolejny dowód na niekompetencję policji. Mimo to obraz kamienia nie zniknął z jej myśli.

Nie miała numeru telefonu do Hanki, ale znalezienie dziewczyny na Facebooku nie stanowiło żadnego problemu. Izabela napisała do niej na komunikatorze.

„Hej. Czy możemy się spotkać? Chciałabym porozmawiać o Malezji”.

„Jasne, ale nie w przyszłym tygodniu, okej? Ryję do egzaminu. Dramat”.

Izabelę ścisnęło w dołku. Dramatem było to, że jej siostra nie mogła ryc teraz do egzaminu, bo ktoś włożył jej nóż w żołądek, a potem wykrwawiającą się wrzucił do rzeki. Nienawidziła, kiedy ludzie bezmyślnie szafowali słowami, choć wcześniej jej to nie raziło. Ani to, gdy ktoś za szybko przechodził do porządku dziennego nad prawdziwą tragedią.

Umówiły się w kawiarni na Głównym Mieście. Hanka wpadła spóźniona. Wyglądała, jakby już dawno zapomniała o egzaminie. Miała zrobione paznokcie i brwi, zaróżowione od biegu policzki muśnięte opalizującym pyłkiem. Była za młoda i za piękna. Izabela starała się nie patrzeć na nią z wrogością, którą czuła teraz do wszystkich dziewczyn beztriosko chodzących na kawę i zakupy. Zresztą miała świadomość tego, że drażni ją każdy przejaw radości i życia. Nawet słońce świeciło za jasno.

– To co chciałaś wiedzieć? Bo wszystko powiedziałam policji.

– Właściwie nie wiem... Chyba jak się bawiliście. I czy Luiza była zadowolona z wyjazdu.

Oczy Hanki automatycznie zaszczyły łzami. Może Izabela zbyt surowo ją oceniła.

- Nigdy nie widziałam jej takiej szczęśliwej. Wszystko było cudowne. Słońce, jedzenie, nawet upał i wielogodzinne transfery. Nawet cykady, które wlatywały we włosy, i pająki w dżungli. Boże, tyle bym dała, żeby cofnąć się do tamtego momentu... - Hanka sięgnęła po serwetkę i przytknęła ją delikatnie do mokrego policzka. - Poza tym, wiesz, poznałyśmy Saszę, Luiza na pewno ci powiedziała.

- Wspomniała tylko, że poznała kogoś naprawdę wyjątkowego i że opowie mi po powrocie, bo nie chce zapeszać.

- Kumam. Wyglądali na naprawdę zadurzonych. Nie mogli się od siebie odkleić. Boże, on pewnie nawet nie wie, że Luiza nie żyje. Myśli, że go olała, bo nie odbiera telefonu. Żal mi go, a nie mam pojęcia, jak miałabym go powiadomić. Nie ma Facebooka ani Instagrama. Jest całkiem analogowy. Chyba naprawdę się w nią wkrcił, bo chciał przyjechać tu do Gdańska. No i dał jej ten kamień od Ravięgo...

Izabela się ożywiła. Wyjęła telefon i podsunęła Hance zdjęcie, które dostała od Luizy.

- Ten?

- Tak, odjazdowy, co nie? Podobno to rubin, ale szczerze... Stawiam dolary przeciwko orzechom, że jest sztuczny. Ravi sprzedał mi niby-diaamentowe kolczyki i co? Dałam je w Polsce do ekspertyzy i okazało się, że to zwykłe cyrkonie. Zrobił nas w bambuko.

W pokoju panował półmrok przecięty pionowym słupem światła, które padało z lampy prosto na masywny dębowy blat.

Po jednej stronie stołu siedział Jacek Trzos, po drugiej starszy mężczyzna w granatowym wełnianym kardiganie z łatami na łokciach, nałożonym na białą koszulę. Zamiast krawata nosił fular.

- Przyniósł pan kamień? - ponaglił mężczyzna, bo nie wyglądało na to, jakby Trzos spieszył się z rozpoczęciem rozmowy.

- Mam tylko to... - Policjant pokazał zdjęcie i film, który Izabela przesłała mu na telefon. Nalegała, by przyjść z nim, ale jej zabronił. Nie chciał jej płatać w tę sprawę.

Mężczyzna w kardiganie miał na nazwisko Karlikowski, handlował złotem i kamieniami szlachetnymi. Na widok zdjęcia w telefonie komórkowym chciał się roześmiać. W jaki sposób miał przeprowadzić poważną ekspertyzę?



Powstrzymał się tylko przez wzgląd na marsową minę swojego gościa. I na to, co o nim usłyszał od znajomego, który zaaranżował to spotkanie. Facet stracił córkę, był w kiepskiej kondycji psychicznej. Karlikowski nie miał sumienia sztydzić z niego, nawet w żartobliwy sposób, jak robił to czasem w przypadku innych klientów, którzy przychodzili do niego na przykład po wycenę „diamentu” kupionego na aukcji internetowej albo w innym dziwnym miejscu, oczywiście bez faktury, i byli zaskoczeni, że otrzymali szkło. Niejeden po takiej diagnozie rzucał się na niego z łapami. Albo pytał, co robić. Karlikowski radził wtedy spacer dwie ulice dalej, do bazyliki Mariackiej, i modlitwę o to, by udało się zwrócić zakupiony towar. Szanse na to ograniczyły z cudem.

– Wiem, że ciężko ocenić po zdjęciu, ale... zastanawiam się, czy ten kamień ma jakąś wartość. Powiedziano mi, że to rubin.

Karlikowski wziął od niego smartfon i z pełną powagą oraz skupieniem obejrzał zdjęcie. Było dobrej jakości, zresztą to, co zobaczył, od razu go zaciekawiło. Kamień miał niepokojąco czystą, prawie czerwoną barwę o ekstremalnie rzadkim wysyceniu. Dodatkową ekscytację wzbudzała jego przejrzystość, która sprawiała, że wydawał się niemal nieskazitelny.

– Rubiny przed oszlifowaniem to raczej rdzawe, poprzerastane kryształami z ciemnymi wypustkami. Nie powiedziałbym, że to rubin. – Karlikowski przesunął kciukiem zdjęcie i odtworzył nagranie. Na karku poczuł ciarki. – Niesamowite... To jest rodzaj fluorescencji, która zdarza się tylko w przypadku diamentów z konkretnej kopalni, ale... gdyby to był diament, w tej wielkości, kolorze i wysyceniu, to byłby unikat na skalę światową. Wart fortunę... Właściwie jak pan trafił na to zdjęcie?

Trzos popatrzył na niego przepaszająco. Karlikowski pokiwał w zrozumieniu głową.

– Wie pan co, lepiej, żebym nie wiedział. – Mężczyzna obrócił swoje pytanie w żart. Westchnął. – Piękna rzecz, ale nie wiem, czy jestem w stanie pomóc. Jeśli miałbym oceniać... według mnie to diament, tyle że nigdy nie widziałem czegoś aż tak spektakularnego. Musiałbym zobaczyć go na żywo.

– Niestety nie jest w moim posiadaniu.

– No tak. Gdyby był, to pewnie siedziałby pan teraz u De Beersa, a nie u mnie – zaśmiał się. – Ale wie pan? Jest pewien człowiek. Jeśli chodzi o diamenty, to nikt w Polsce nie ma większej wiedzy od niego. I lepszego oka.

Gdybym naprawdę musiał się dowiedzieć, co to za kamień, to poszedłbym do niego. Zresztą może obilo się panu o uszy to nazwisko. Geller. Znany jubiler.

– Gdyby pan naprawdę musiał się dowiedzieć? Dlaczego dopiero wtedy? Karlikowski się zawahał.

– Poleciał mnie panu mój stary przyjaciel i tylko dlatego zgodziłem się na spotkanie. Traktuję tę rozmowę jako poufną...

– Oczywiście.

– No więc na pana miejscu nie obnosiłbym się za bardzo z tym zdjęciem. Takie kamienie są niebezpieczne. Ludzie, którzy ich pragną, rzadko mają skrupuły.



## XI

# Zemsta

Bednar dopił resztę herbaty, która zdążyła już wystygnąć. Komisarz zdawał sobie sprawę z tego, że jego teoria opiera się głównie na domysłach i nie będzie w stanie jej udowodnić, o ile Trzos nie zacznie mówić. A były policjant nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Pana córka nie zainteresowała się Gellerem przypadkowo. Zaplanowaliście to, choć domyślam się, że to był jej pomysł. Pan raczej chciał ją chronić, prawda? Jedyne dziecko... Najpierw myślałem, że zemstą miało być porwanie Agaty Geller. Może nawet zabójstwo i wrobienie w to jej męża.

- I co pana odwiodło od tej przebiegłej teorii? - burknął Trzos.

- Fakt, że Agata Geller wróciła wczoraj do domu. Co więcej, twierdzi, że nigdy nie została uprowadzona, nikt jej nie groził. Nie zgłoszono także żadnej kradzieży.

- Mażeńskie sprawy... Po tylu latach w służbie nic mnie już nie dziwi. Ludzie potrafią fingować własną śmierć, żeby uwolnić się od małżonka.

- Może pana córka wcale nie zaginęła, tylko uciekła od Gellera? - prowokował Bednar.

- Może - odpowiedział sucho sierżant. - Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że tak właśnie jest. Wie pan, ja już nie mam oczekiwać, że służby zajmą się swoją robotą tak, jak powinny, ale to... to już jest bezczelność. Zamiast szukać mojej córki, przychodzi pan do mnie i oskarża ją o jakieś intrygi. Gellerom nie spadł włos z głowy, sam pan to powiedział.

- I to właśnie nie daje mi spokoju. Że tak nagle im odpuściliście.

Jacek Trzos wstał i wykonał ręką gest zapraszający policjanta do wyjścia.

- Jeśli będzie pan miał jakieś konkrety, to proszę o kontakt. Teraz żegnam.

Młoda kobieta w uniformie szybkim krokiem przemierzała halę odlotów. Podeszła do mężczyzny, który wjechał na wózku inwalidzkim

– Pan Jacek Trzos? – zapytała i wyciągnęła dłoń. – Dagmara Kęcik, jestem z obsługi lotniczej, będę asystować panu przy odprawie. Czy chce pan poruszać się dalej na wózku, czy mogę go zabrać?

Zamiast odpowiedzieć, Trzos podniósł się i złożył wózek. Złapał kobietę za ramię, które wyciągnęła w jego kierunku. Podeszli do stanowiska odprawy bagażowej, gdzie zostawili walizkę i wózek.

– To już? – upewnił się.

– Tak, teraz przejdziemy do kontroli bezpieczeństwa.

– A bagaż? Nie zostanie prześwietlony? – dopytywał Trzos.

Kobieta uśmiechnęła się do niego.

– Zostanie, wszystkim się zajmą. Nie lata pan zbyt często?

– Szczerze mówiąc, to mój pierwszy raz – powiedział, a kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– W takim razie czekają pana niesamowite wrażenia. Nie ma się czego obawiać, proszę przejść tutaj.

Minęli kolejkę i podeszli do taśmy, przy której czekał celnik. Trzos wyglądał na coraz bardziej podenerwowanego. W dodatku Kęcik cały czas go zagadywała.

– W Tel Awiwie jest piękne słońce, aż panu zazdroścę...

Trzos kiwał głową. Pocierał palcami prawej dłoni o grzbiet drugiej i wpatrywał się w celnika, jakby na coś czekał. Mężczyzna skinął głową i sierżant przeszedł przez bramkę. Po jej minięciu poczekał, aż z taśmy wyjedzie plecak, który był jego bagażem podręcznym.

– I po krzyku – oznajmiła Kęcik. – Teraz pojedziemy do góry.

– Chwila... – Ton Trzosa był na tyle nieuprzejmy, że kobieta natychmiast zamilkła.

Postawił plecak na blacie i czegoś w nim szukał. Kątem oka widział dwóch celników zmierzających w jego kierunku. Taką miał przynajmniej nadzieję.

– Pan Trzos? – zapytał szorstko jeden z nich. – Prosimy z nami.

Były policjant wypuścił powietrze, które wstrzymywał w płucach od dłuższej chwili. Kęcik obserwowała w pracy wielu pasażerów, których zabierano na dodatkową kontrolę. Nigdy jednak nie widziała, żeby któryś z nich uśmiechał się tak jak Jacek Trzos.

Leżał na wznak w swoim małżeńskim łóżku i nie mógł zasnąć. Sylwia skuliła się na boku po swojej stronie. Na jej nocnej szafce stał wazon z przyschniętymi czerwonymi różami. Bednar nie mógł znieść ich mdlącego zapachu.

- Co robisz? - zapytała Sylwia rozespanym głosem, przebudzona ze snu nagłym hałasem.

- Sorry... Wyniosę je, co?

W odpowiedzi żona przewróciła się na drugi bok.

Komisarz wyszedł do kuchni. Nalał sobie wody. Po raz kolejny tego wieczoru sprawdził wiadomości w komunikatorze. Ewa milczała, pewnie nie chciała go znać.

Pocieszenie dawała mu wiadomość o aresztowaniu Jakuba Gellera. Niestety komisarzowi nie było dane widzieć jego twarzy. Musiał zadowolić się wyobraźnią i opowieściami kolegów z prokuratury, która wkroczyła do akcji natychmiast po zatrzymaniu Trzosa na lotnisku. W poręczach i oparciu wózka inwalidzkiego znaleziono czterdzieści diamentów o łącznej wartości półtora miliona dolarów. Zgodnie z wyjaśnieniami byłego funkcjonariusza policji, który miał być zmuszony do przemytu przez Gellerów, kamienie pochodziły z Rosji i miały trafić do klientów w Tel Awiwie. Proceder trwał od lat, a małżeństwo wykorzystywało do niego zaufanych i urobionych podopiecznych fundacji, którym w odpowiednim momencie oferowano dwie opcje: rezygnację z leczenia albo zostanie „mułem”. Dodatkowo w skarbcu otomińskiej willi znaleziono kolejne diamenty o nieudokumentowanym pochodzeniu. Ich wartość oszacowano wstępnie na pięćdziesiąt milionów złotych. W skrytce znajdowały się także sfabrykowane faktury świadczące o wyludzeniu VAT-u. Co ciekawe, o istnieniu tajnego skarbcza i znajdujących się w środku kamieniach policję powiadomił anonimowy informator. Bednar wiedział tylko, że była to kobieta.

Nie był pewien, ile kroków, które doprowadziły w końcu do zatrzymania Gellerów, Trzos i jego córka zaplanowali wcześniej, a ile było efektem przypadku. Fakt, że były sierżant postanowił się podłożyć, dowodził jego determinacji. A tej Bednar absolutnie się nie dziwił. Miał rację jeszcze w jednej sprawie. Emerytowany policjant, który stracił już żonę i jedną córkę, za wszelką cenę chciał chronić Izabelę. Tak samo jak ona nie chciała narażać na niebezpieczeństwo rodzica, który tyle wycierpiał. I wobec którego od śmierci matki żywiła macierzyńskie uczucia. A jednak byli do siebie zbyt podobni.

Kiedy Trzos wykorzystywał stare znajomości, te policyjne i te z półświatka, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Gellerze, Izabela prowadziła własny research. Oczywiście ojciec zaoponował, kiedy córka przedstawiła mu plan zbliżenia się do jubilera. Surowo jej tego zakazał. Ona zresztą zareagowała podobnie, kiedy Trzos doszedł do wniosku, że najpewniejszym sposobem ujawnienia machloii Gellerów będzie „wpadka” na lotnisku. Tylko on mógł być zatrzymanym mułem – żeby nie narażać już nikogo więcej.

Bednar miał nadzieję, że zemsta przyniosła Trzosom choć trochę satysfakcji. Wiedział, że nie do końca chodziło im o sprawiedliwość, bo tej przecież i tak nie mogli uzyskać. Mimo że Gellerowie stracili znacznie więcej niż pieniądze – bo również firmę, markę i reputację – to wszystko wciąż nie miało takiej wartości jak życie Luizy Trzos. Byłemu policjantowi i dziennikarce zależało jednak na czymś innym. Na działaniu. Dla niektórych ludzi najgorszym uczuciem na świecie była bezsilność. Nie potrafili znieść egzystowania w zawieszeniu. Tego właśnie Bednar im zazdrościł.

Komisarza zastanawiała jeszcze jedna rzecz. A może dwie, tego nie był pewien. Kamienie. Ten, który według dziennikarki miał być przyczyną śmierci jej siostry, i ten, który skradziono Gellerowi. Czy to był ten sam diament? Czy Izabela Trzos od początku wiedziała, że znajduje się on w posiadaniu gdańskiego jubilera? Bednar lubił sobie wyobrażać, że dziennikarka opuszcza kraj z purpurowoczerwonym diamentem, sprzedaje go jakiemuś miliarderowi, a za uzyskaną fortunę wiedzie w ciepłym kraju życie, o którym marzy każdy szary człowiek. Ta myśl sprawiała mu przyjemność.

Pierwszym, co uderzyło ją na lotnisku w Denpasar na Bali, był wszechobecny zapach trawy cytrynowej połączony z jakimś kadzidłem. Na początku myślała, że to wymyślny sposób witania turystów, coś w rodzaju aromamarketingu, jak specjalnie komponowane perfumy, rozpylane w sieciówkach po to, żeby budziły w klientach pozytywne skojarzenia.

Kiedy Izabela wyszła na zewnątrz, orzeźwiająca, słodko-cytrusowa woń jeszcze się wzmogła, rozgrzana dusznym, wilgotnym powietrzem.

Spojrzała na zegarek. W Polsce dochodziło południe. Wyszukała w telefonie ostatnie połączenie.

– Cześć, tato, jestem na miejscu. Tu jest obłędnie. Szkoda, że nie ma cię ze mną.

- Może niedługo dolecę - zażartował Jacek Trzos. - Ale to trochę potrwa, bo pewnie będą mnie bardzo długo przeszukiwać.

Oboje się zaśmiali. Przyjazd ojca może nie był zbyt realny, ale łagodny wymiar kary, którą będzie musiał odbyć, już tak. Izabela bez wahania spieniężyła wszystkie kosztowności otrzymane od Jakuba. Wystarczyło na najlepszego prawnika, a gdyby tylko chciała, z reszty mogłaby utrzymać się w Malezji czy Indonezji przez całe lata.

- Wiesz, że znowu odwiedził mnie ten komisarz? Pytał o kamień. Chyba myśli, że nieźle się za niego urządziłaś.

- Biedaczek.

- Byłby rozczarowany - przytaknął ojciec.

- Nie tak jak Geller - dodała. - Trochę żałuję, że nigdy się nie dowie, co się stało z jego diamentem.

- Powiem szczerze, że sam czasem trochę żałuję tej decyzji. Ale skoro na tym ci zależało...

- Nie mogło być inaczej - powiedziała stanowczo. - Diament zdobyty w nieuczciwy sposób zawsze się zemści. Teraz w to wierzę.

Zaległa między nimi cisza, w której oboje pomyśleli o Luizie.

- Baw się dobrze, córeczko. I... wszystkiego najlepszego z okazji urodzin. Masz jakieś specjalne życzenie?

- Tak, żebyś dostał zawiasy.

Znowu się zaśmiali.

- To się nie liczy. Wymyśl coś, czego chcesz dla siebie.

- Dobrze, ale będę musiała poważnie się nad tym zastanowić. Zadzwońię jutro, pa.

Izabela schowała telefon i odszukała stanowisko z busami odjeżdżającymi do Kuty. Zamierzała spędzić dwa tygodnie na Bali i Gili, potem ruszyć do Taman Negara, a ostatecznie dotrzeć do Kuala Lumpur. Czego mogła pragnąć tylko dla siebie? Na pewno nie Alcheringi. Kamień budził w niej na przemian strach i obrzydzenie. Tak jak Jakub, od chwili gdy zrozumiała, że diament należał do niego. Chciała tylko, żeby jubiler stracił coś tak cennego, jak straciła ona.

Wyjęła z portfela karteczkę, na której Hanka skreśliła kilka słów: Happy Monkey, Warung B&R, Ravi, Sasza. Do głowy przychodziło jej tylko jedno życzenie. Móc pozbyć się tej kartki tak łatwo jak kamienia i więcej o niej nie myśleć.



## Epilog

Strumień odpadów wjechał na taśmociągu do kabiny preselekcyjnej. Sortowacz pracował w rękawiczkach, oddzielając od reszty zbyt duże lub niebezpieczne śmieci, które mogłyby zablokować dalszy proces. Pomagał sobie niewielkim nożykiem z dość długim, ale tępym ostrzem. Odruchowo chwycił papierową torbę i wysypał jej zawartość na wolno przesuwającą się taśmę. Wypadło z niej coś ciężkiego, ale szum maszyn prawie zagłuszył odgłos uderzenia o twardą nawierzchnię. Mężczyzna sięgnął po przedmiot tak samo automatycznie. Szybko i bez zastanowienia. Może nie chciał, żeby kamień wypadł na podłogę. Trzymał go w dłoni, a drugą ręką nadal przesuwał pozostałe odpady. Zerknął w bok. Nikt z pozostałych pracowników nie zwracał na niego uwagi.

Kamień był twardy i miał nietypowy, czerwonawy kolor. Mężczyzna włożył w dłoni jego ciężar. Było w nim coś dziwnego. Coś, co sprawiało, że sortowacz zaczął się zastanawiać, czy puścić go z powrotem na taśmę, czy włożyć do kieszeni fartucha.





## Podziękowania

Ta książka nie powstałaby, gdybym któregoś razu nie została poproszona o przeprowadzenie wywiadu z Marcinem Marcokiem, ekspertem rynku kamieni szlachetnych i specjalistą od diamentów. Już po kilku minutach rozmowy wiedziałam, że to nie będzie zwykły wywiad, ponieważ Marcin ma nie tylko olbrzymią wiedzę, ale coś jeszcze cenniejszego i rzadszego – niesamowity dar opowiadania, którego tak szukam u moich rozmówców. To właśnie ten dar sprawia, że historia ożywa na naszych oczach, wciąga i nie pozwala o sobie zapomnieć. Dzięki opowieściom Marcina nie mogłam zapomnieć o diamentach, mimo że nigdy wcześniej się nimi nie interesowałam. Jak nakręcona zaczęłam mówić o nich kolejnym osobom. Rodzinie, znajomym, mojej wydawczyni...

Tak się złożyło, że w tym czasie umówiłam się na kolację z dawną niewidzianą koleżanką, a przy okazji świetną redaktorką, Kamilą Reclaw. I spotkałyśmy się: ja ze swoimi diamentowymi historiami oraz Kamila z pomysłem na książkę, w której małżeństwo prowadziłoby ze sobą pewną grę... Już wiedziałam, że muszę to połączyć i napisać. Reszta głównej intrygi, z diamentami w tle, powstała w zasadzie w ciągu tego jednego wieczora.

Kamilo, dziękuję Ci za tamto i wiele innych spotkań oraz Twoje rady. Marcinie, jestem ogromnie wdzięczna za to, że zechciałeś podzielić się ze mną swoją wiedzą oraz niezwykłą etyką pracy związaną z – bądź co bądź – kontrowersyjnym przedmiotem pożądanym, jakim są diamenty. Dziękuję za Twoją cierpliwość i wyczerpujące odpowiedzi na niezliczone pytania, które zadawałam w trakcie pisania tej książki.

Do opowieści zawartej w *Ostatnim diamencie* idealnie pasowała też pewna historia, którą znalazłam od lat. Wątek związany z Ravim jest oparty na prawdziwych wydarzeniach. Namawianie czy wręcz wrabianie turystów w przemyt kamieni szlachetnych nie jest wcale wymyślonym czy nawet rzadkim procederem. Podobnych sytuacji doświadczyli moi znajomi podróżujący między innymi po Indiach czy Tajlandii. Za podzielenie się swoimi przeżyciami w tej materii dziękuję mojemu przyjacielowi, Piotrowi Gortatowi. Na potrzeby fabuły zmieniałam szczegóły tego wydarzenia.

Kolejną osobą, bez której ta historia nie miałaby racji bytu, jest Rafał Reclaw. Dziękuję Ci za wszystkie informacje dotyczące pracy policyjnej i przebiegu dochodzenia, a także za cudowną gościnę. Niektóre wątki konsultowałam także z prokuratorem, który pragnie pozostać anonimowy – niezmiennie mu jednak dziękuję i cieszę się na przysłą współpracę.

Sekretami związanymi z zawodem jubilera podzielił się ze mną prawdziwy mistrz w swoim fachu, Zbigniew Tądel. W tym miejscu składam też podziękowania mojej wieloletniej przyjaciółce, Nataszy Uryasz, dzięki której poznałam pana Zbigniewa. Z kolei niewyczerpanym źródłem specjalistycznej wiedzy muzycznej, którą czasem przemycam w powieściach, jest moja przyjaciółka, Magda Jędrzejewska.

Wspaniała ekipo Wydawnictwa Mięta – biję przed Wami pokłony. Kasia Miszczuk i Agnieszka Trzeszkowska-Bereza zawsze we mnie wierzą i mam nadzieję, że nigdy tego nie pożałują. Agnieszko, dziękuję Ci za Twoje wsparcie w trudnych momentach. Magdo Matuszewska – jesteś opoką, dzięki której autor może spać spokojnie. Marto Kucharz i Agu Czajkowska, czyli dziewczyny gejzery – dziękuję za Wasze pomysły, zapał, wsparcie i cierpliwość do moich upierdliwych pytań.

Po raz kolejny miałam szczęście pracować ze wspaniałą redaktorką, Gabrysią Niemiec – bardzo Ci dziękuję za niezwykłą czułość do mojego tekstu i jednoczesne trzymanie go w ryzach.



Naturalne diamenty się kończą. Prawdopodobnie za czterdzieści-pięćdziesiąt lat człowiek wykopie z ziemi ostatni tego typu kamień.

W listopadzie 2020 roku zaprzestano wydobycia różowych diamentów z Argyle w Australii. Jedna z najsłynniejszych kopalni, z której pochodziło aż dziewięćdziesiąt procent różowych diamentów, została zamknięta. Co roku przez cztery dekady jej istnienia około sześćdziesięciu najpiękniejszych kamieni trafiało do specjalnej kolekcji Argyle Tender wystawianej na najbardziej prestiżowych aukcjach świata. Część klejnotów znajduje się więc w posiadaniu prywatnych właścicieli, kolekcjonerów, ale też sprzedawców diamentów (w tym między innymi konsultanta tej książki, Marcina Marcoka) czy domów jubilerskich; część nadal można kupić. Ostatnich trzydzieści pięć diamentów z kopalni Argyle nabył słynny Tiffany & Co.

Mimo panujących w kopalni obostrzeń i procedur związanych z wydobyciem wyniesienie cennej bryłki nie było rzeczą niemożliwą. Pewne jest, że taki kamień byłby wart fortunę. Czy naprawdę istnieje? Eksperci z branży mówią, że za każdym wydobytym diamentem kryje się jakaś historia. Jaka będzie historia prawdziwego ostatniego diamentu wykopanego z ziemi? Może kiedyś ją poznamy.